

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Władysław Łoziński**

**OKO PROROKA  
CZYLI  
HANUSZ BYSTRY I JEHO  
PRZYGODY**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# I

## MÓJ OJCIEC WYJEŻDŻA DO TUREK

Było święto Trzech Królów. Ojciec mój ubrał się od święta, przywdział kopieniak podbity lisami, bo mróz był mocny, a nim się jeszcze matka zebrała, aby z nim pójść do kościoła, wziął z półki kredę święconą, wyszedł z izby na dwór i nad drzwiami kowanymi, na ocapie, wypisał ciężką ręką, bardzo dużymi a nie bardzo foremnymi literami:

K+M+H

1614

Owoż ten tu wypisany rok Zbawienia Pańskiego 1614 to jest najdawniejszy czas żywota mego, jaki zapamiętam. A miałem tego czasu rok szósty. Jako zaś potem się działo i co ze mną było i z rodzicami, i co Bóg dawał złego i dobrego, to mi to już tak w pamięci się chowa, jakoby w zamczystej skrzyni, gdzie wszystko bezpiecznie leży, że kiedy i po mnogich lecjach odewrzesz, wszystko znajdziesz, jako było. Jeno że to wszystko było jeszcze jakoby w samym oku, a nie w rozumie; aż dopiero, kiedy rozum z laty przyszedł, to zaczął czytać w pamięci jak w księdze, co już dawno drukowana była, nimeś ty czytać się nauczył.

Ta wieś, gdzie moi rodzice żyli i gdzie ja się rodził, nazywa się Podborze, a leży przy samym trakcie głównym, który wiedzie w rozmaite dalekie strony i kraje Bożego świata, boś nim jechał i do Węgier na Sambor, i do Wołoszy na Stryj, i do Krakowa na Felsztyn i Przemysł, a także do Lwowa i dalej, na Ukrainę albo do Turek nawet. Pisze się ta wieś na Ziemię Przemyską, a na ekonomię samborską; należy do królewskiej i nie ma dziedzica, a siedział w niej za moich najmłodszych lat podstarości a raczej wiernik tylko pana wojewody Jerzego Mniszcha, a podstarościem, to go tylko zwano, bo tak chciał i kazał, wydając się z pychy za zacniejszą osobę, niżeli był po prawdzie.

Ojciec mój nie był poddanym chłopem, bo siedział na sołtystwie. Ale i sołtysem też nie był takim, jako bywają inni, bo ani ludzi nie sądził, ani czynszów i danin królewskich nie wybierał, ani na wojnę nie chadzał i pachołka w pole nie stawiał. Ale grunt ojca mego, półtora łana niespełna, to było kiedyś sołtystwo dawniejszymi czasy, a teraz już tylko wolnictwo, a ojciec wziął te grunta w macierzystym spadku i miał wolność na nich, tak jakby był szlachcicem, tylko do ekonomii samborskiej płacił czynszu i żyrowszczyzny 20 złotych, a to na św. Marcin i na św. Wojciech po równej połowie. Gdyby bezpiecznie siedział na tym wolnictwie, byłoby mu dobrze, bo chleba ono dać mogło dostatek – ale cóż, kiedy mu przeciono prawa posesji i ruszyć go z niego chciano koniecznie, jako się o tym później powie.

Gospodarstwem na roli to się mój ojciec nie bardzo parał, jeno matka, jako że go mało było w domu, bo był dostatkowym furmanem i kupieckim rozwoźnikiem, i co roku przez kilka miesięcy był w drodze. Wyuczył się wprawdzie mój ojciec ciesielskiego rzemiosła, ale że ciesielka nie dawała mu dosyć zarobku, a do furmaństwa go bardzo ciągnęło, tedy ciesielkę całe był zarzucił. Już dziad mój był furmanem solnym, jako to zowią u nas prasosem; bo tu wszędy około w samborskiej i drohobyckiej krainie żupa na żupie: i w Starej Soli, i w Lacku, i w Drohobyczu, i w Truskawcu, Modryczu, Stebniku i w Kotowie, a zewsząd kwotnicy wy-

sylają beczkami sól na końce świata, aż do Kijowa, na daleką Ukrainę, hen aż po Dzikie Pola, bo chleba zbytek, ale soli nic, choćby na zaproszenie oka.

Furmańskie rzemiosło przeszło tak z dziadka na mego ojca, tylko że ojciec nie woził już soli, ale wzięwszy nieco grosza po dziadku, zabrał się do furmanki kupieckiej. To był sowity zarobek, ale ciężki; rzemiosło zyskowne, ale niebezpieczne, a czasem i bardzo stratne, jeśli tego nieszczęście chciało. Boś jechał jak na wojnę i chyba to Bóg miłosierny wiedział, kiedy wrócisz i czy żyw i cały wrócisz, i w jakiej fortunie na swoim domowym progu staniesz. Wyjechać możesz pięknym kowanym wozem w cztery konie, opasany pełnym trzosem, a powrócić pieszo i boso, o proszonym chlebie, z gołym jeno biczyskiem w rękę za cały dorobek i rad tylko, żeś głowę przyniósł. Wszędy drogi niebezpieczne, wszędy siła opryszków i hultajów, łakomych na grosz kupiecki i bogaty towar; już jak do Wołoszy czy do Węgier z towarem jedziesz lub stamtąd wracasz, strachu i biedy najesz się często do syta, a cóż rzec wtedy, kiedy droga wiedzie aż do Turek, w pogańskie strony, szlakiem tatarskim?

Owoż wiedzieć macie, że ojciec mój właśnie aż do Turek furmanił, a tak tedy w samą paszczę zbójcką. Miał ojciec mój u Ormian lwowskich wielką łaskę i zachowanie, bo był wierny, trzeźwy i śmiałego serca, a Ormianie wielkie handle prowadzą z tureckimi krajami, wywożą tam moc złota i kosztownego towaru, a stamtąd do Polski wracają z jeszcze większymi skarbami w bławatach, złotogłowiach, korzeniach zamorskich, a nierzadko i w perłach, koralach i kamieniach takich drogich, że i korona królewska by się ich nie powstydziała, a za jeden taki kamyk i pańskie dziedzictwo kupić można. Dwa razy mój ojciec był aż w Stambule samym, stolicy Turków, gdzie sam ich cesarz czyli sułtan siedzi, oba razy szczęśliwie i z dużym zarobkiem wrócił, ale zarzekał się, że już trzeci raz nie pojedzie. Tymczasem pojechał, bo musiał, a to przez to właśnie sołtystwo, z którego niecnolliwi ludzie wyścigać go chcieli.

Ojciec był prawowitym posesorem tego wolnictwa, bo było dziedziczne, ale że nie po męskiej głowie poszło na ojca, jeno po białogłowskiej, więc ów nasz podstarości podborecki, o którym już wspominałem, p. Bałczyński, koniecznie je chciał ojcu wydrzeć, jeśli się nie okupi. Na zamku ojca nigdy o to nie turbowano, byle czynsz w ekonomii samborskiej zapłacił, a sam pan wojewoda Mniszech jeszcze nieboszczykowi dziadkowi mawiał, jako może być całę bezpieczny o swoje posiadanie. Ale od czasu, kiedy pan wojewoda wydał córkę swoją za owego cara moskiewskiego Dymitra, co z państw swoich gołe życie unosząc o Sambor się był oparł, i wraz z nim do Moskwy z wojskami się wyprawił, aby go na carskim tronie osadzić, już na zamku inne rządy nastąpiły. Po roku 1611 nastąpił p. starosta Daniłowicz, a jakoś w cztery lata znowu p. Samuel Koniecpolski – i od tego czasu p. Bałczyński coraz to ostrzej naścigał, ojca mojego nękał; rumacją groził, tak że ojciec i prosić się i opłacać musiał, a tylko pomocy Bożej i ludzkiej czekał.

Zdało się też, że mu ta pomoc przysła, i to potężna, bo owo kiedy Król Jegomość, panujący wtedy szczęśliwie w Polsce Zygmunt, w roku 1621 do Lwowa za wojskiem jechał, ojcu memu, że miał wóz duży dostatkowy i cztery konie rosłe i mocne, kazano z zamku stawić się w Gródku do podwód królewskich za opuszczeniem czynszu. Z niemałym strachem ojciec jechał, bo to był czas wielkiego ciągnięcia na wojnę turecką, bał się tedy bardzo, aby go z chudobą gdzieś aż do obozu nie wleczono albo do więzienia armat ze Lwowa nie wzięto. Ale kiedy musiał, tedy acz z płaczem pojechał. Tak się zdarzyło, że na bardzo złej drodze po wielkich dżdżach jesiennych, bo to było jakoś pod dobrą jesień, kolasa królewska za wsią Zalesie, niedaleko Janowa, ugrzęzła w trzęsawisku. Woźnica królewski siłą mocą chciał się wydobyć, śmignął batem zanadto; konne ogniste jako lwy, a było ich sześć w zaprzęgu, kiedy się nie zepną i nie wyskoczą jak szalone, tak owo jednej chwili zrobił się z tego wszystkiego jakoby tylko jeden kłęb poplątany i okrutna trzaskająca wierzganina, że aż woda z trzęsawiska bryznąła do góry jakby z sikawek; forysi pospadali z siodeł, lejce się porwały, orczyki potrzaskały, rzemienie poplątały, że ani weź, ani przystap. Kolasa królewska bardzo się prze-

chyliła; tylko patrzeć, kiedy się całe wywróci; sam Król Jegomość na szwankowanie zdrowia narażon.

Było przy królu dużo ludzi. dworzan, dragonii, szlachty, a wszystko to konno jechało; jak się tedy zwali gęstą kupą na ratunek, to jeszcze gorzej, bo ten chwyta za to, ten za owo, ten szarpie tędy, ten owędy, ten sobie krzyczy, a ten sobie – owo hałas, trzask, zamieszanie, że chyba siekierą się przerąbiesz do kolasy. Tak się zdarzyło, że wozy dworskie, co szły przed królem, odsadziły się były daleko naprzód, a z wozów skarbnych, co jechały z tyłu, ojcowski był najbliższy. Przybieżał tedy ojciec mój już z samej ciekawości; widzi, jako jeden z dragonów, co posiadali z koni, aby zaprzęg znowu przywrócić do ładu, padł jak nieżywy od kopyta, a drugi nieboraczek pod kołami jeno dysze; nie namyślając się zatem długo, zuchwałym sercem skacze ojciec między konie, podsadza się pod cug dyszłowy i nożem wielkim krakowskim, co go także tulichem zowią, rzeze postronki i rzemienie. Ledwo się z życiem wybiegał i bez szwanku ojciec mój z tej niebezpiecznej roboty – ale teraz to już z łatwością rozplątało konie. Kolasa została w miejscu, a konie, zhukane i znarowione, a który i skaleczony, rzuciły się strzałą w pole. Wysadził się naprzód ku wozom skarbnym jeden starszy dworzanin i woła:

– Masz tam który dobre konie?

Ojciec mój podbiegł do swojego woza i mówi:

– Mam, panie.

– Dawaj sam, a duchem!

Ojciec w mig wyprzągnął swoje konie i kazano mu je założyć do kolasy królewskiej. Mówił potem ojciec matce, jako go strach wielki ogarnął, kiedy pomyślał, że a nuż nie wywlecze kolasy królewskiej z trzęsawiska, a tak i wstyd, a może i co gorszego go spotka. Poleciał się tylko Najśw. Pannie i św. Jerzemu, co jest niebieskim patronem furmanów, popatrzył tak miłosiernie na swoje szkapy, jakżeby je prosił, aby go w tym ciężkim terminie nie opuszczały, a potem biorąc się cały jakby w kupę, nie bacząc już na nic, ani nawet na majestat królewski, jak nie trzaśnie z bicza, jak nie huknie z całej mocy: «Au! Aju! Aju! Hyj!!!», a konie, jakżeby zrozumiały, że tu idzie o dobrego pana i o własny ich honor, jak się nie wypną gdyby pałaki, jak się nie wysadzą całe garbate, jak nie szarpną z miejsca – i oto kolasa królewska już na twardej drodze i jeno wio! dalej!

Tak podwiózł ojciec króla do Janowa, a niedaleko już było do tej stacji, i tu dwór cały zatrzymał się. Kiedy ojciec koniska udręczony wyprzągnął, aby wracać po swój wóz, co został w tyle na drodze, każą mu do króla. Stał ojciec truchlejący przed majestatem pańskim po raz pierwszy w życiu, a i po raz ostatni, a oczu nawet podnieść się nie ważył na oblicze królewskie. Mówi król Zygmunt:

– A jako się zowiesz?

– Marek Bystry, Miłościwy Królu!

– Wierę, Bystry – król na to – boś też i chłop bystry, A skąd ty?

– Z Podborza, z ekonomii samborskiej, Miłościwy Panie.

– Tedy z Rusi, a mówisz dobrze po polsku.

– Bom ja jest Polak i łaciński.

A trzeba wam wiedzieć, że wśród Rusi samborskiej jest dużo osad jakoby mazurskich, to w całych osobnych gromadach, to z Rusią pomieszanych: Powtórnia, Powodowa, Strzałkowie, Biskowice, Radłowice i tak dalej, które to osady, jako ludzie opowiadają, jeszcze ongi dawnymi laty stara królowa, co się Bona zwała, pono znad Wisły tu na Ruś sprowadziła po wielkim powietrzu, kiedy Ruś miejscami całkiem wymarła; to i ojciec mój z takiej osady pochodził.

– Masz tobie, Bystry; jedźże z Bogiem – rzecze dalej król i rzuca ojcu do czapki czerwony złoty z swoim wizerunkiem.

Łaskawość Króla Jegomości dodała ojcu serca; powiadał potem, że mu się tej chwili przypomniało owo mądre przysłowie: «Chwytaj okazją z przodu, bo z tyłu łysa». Jak tedy stał, tak pada plackiem pod stopy króla, wołając:

– Najmiłościvszy Królu! Błagam ja pokornie miłosierdzia Waszego, biedny pacholek!

Król wstać mu kazał i pytał, czego by chciał? Ojciec jednakowoż nie wstał; tylko w klęczki się podniósł i tak klęczący suplikować zaczął o konfirmację na sołtystwo, którego mu źli ludzie przeczą, a w żebraka obrócić by go radzi.

Król słuchał chwilę cierpliwie, a potem, wskazując na jednego z dworzan swoich, rzekł:

– Opowiedz to temu. – I uśmiechając się dodał: – Słyszcie, Solski! Miejcie tam na baczeniu, co za sprawę ma ten człowiek, bo to przecież jest nasz furman królewski, *auriga regius*.

Stanąwszy we Lwowie, ojciec mój przypomniał się pokornie p. Solskiemu, któremu król prośbę jego porучzył, a ten go znowu odesłał do innego, a ten inny do drugiego, a ten drugi do trzeciego, i tak go posyłali od Annasza do Kaifasza, aż nareście podpisek kanclerski zapisał sobie, o co rzecz chodzi, i rzekł ojcu:

– Jedź ty, człeku pocziwy, do domu; przyjdzie tobie dekret królewski na grunt; wyprawi się pisanie do zamku w Samborze.

Rad nierad, ojciec na tej obietnicy poprzestać musiał, bo gdzież to ubogiemu chłopu niebodze napychać się takim panom, przez drabanty, pokojowce, pajuki, łokciami się przeszturniwać, a to jeszcze i w bardzo niesposobnym czasie, kiedy wszyscy mieli nabite głowy wojennymi sprawami, bo właśnie królewicz naonczas, Władysław, a dziś miłościvny nasz monarcha, wojował Turków, i kto żyw był we Lwowie, tylko o tej wojnie mówił i o nią się frasował. A też i niebezpieczno bawić się było we Lwowie – raczej uciekaj, człeczko, bo ci do Chocimia z armaty każą. Ale przecie ojciec mój wrócił wesół i dobrej myśli do domu, moc ciekawości matce i mnie opowiadał o królu, chwalił się przed sąsiady i przed podstarościm, i przed wujem kantorem, że go Król Jegomość jakoby furmanem swoim mianował, a nawet sobie spamiętał słowa łacińskie *auriga regius*, co właśnie tyle znaczy po polsku, co «woźnica królewski». Jam wtedy miał lat 13, a brat matki mojej, sługa kościelny albo jak go zwano kantor, wuj Walenty, nauczył mnie po trosze czytać i pisać. Tedy ja, kędy trzeba – i nie trzeba, na drzwiach, na skrzyniach, na stole, wypisywałem to kredą, to węglem grube i krzywe litery, układając owe łacińskie słowa: *AURIGA REGIUS* – a tak mi się zdało, jakoby to tyle znaczyło, co hetman nad furmany.

Ale tym dobrym myślom wrychle miał być koniec markotny, bo miesiąc mijał za miesiącem, a ona konfirmacja królewska na ojcowskie wolnictwo, co miała przyjść na zamek, jak nie nadchodziła, tak nie nadchodziła. Podstarości, kiedy ojciec wrócił taki bezpieczny obietniami królewskim, schował był trochę rogi, ale teraz następować zaczął na ojca coraz to ciałniej, a miał za współnika Węgrzyna pewnego, hajduka i wielkiego niegdy ulubieńca pana wojewody Mniszcha. Ten Węgrzyn, Kajdasz nazwiskiem, jeszcze pacholęciem wzięty był na dwór pański, a teraz w Podborzu przy podstarościm jakoby na łaskawym chlebie siedział i on to niby miał dane sobie od starego pana sołtystwo nasze. Tedy obaj przypiekali ojcu. turbując go groźbami: «albo się po dobremu wynoś, albo cię wytrzęsiemy z tego wolnictwa, bo my już wygrali sprawę na zamku»; a było to kłamstwo niecnotliwe, bo dekretu nie mieli, a nawet sami w sobie nie bardzo byli bezpieczni, czy wżdy naprawdę owa królewska konfirmacja nie przyjdzie. Owoż tak stały rzeczy, że obie strony się bały – ojciec: nuż go skrzywdzą? – podstarości i Kajdasz: nuż konfirmacja będzie? Kiedy się jeden i drugi boi, łącno się godzić.

– Zapłacisz ty nam 200 złotych, a już cię zaniechać obiecujemy dla miłości ludzkiej – mówił Balczyński.

– Nie macie wy miłości ludzkiej ani boskiej – mówił ojciec – żeście się tak sromotnie na zniszczenie moje nasadzili. Za grzechy moje dam 100 złotych, ale już mnie raz zaniechajcie i na wieczność kwitujcie, i niech was Bóg sędzi za mnie biednego pacholka!

– Dawajże zaraz, choćby i sto; z miłosierdzia tylko czynimy.

Ojciec grosza tyle nie miał, tedy po długich namowach tak stanęło, że ojciec się na tych sto złotych do przyszłego św. Michała zapisał, a za poczekanie dać musiał lichwy tego dukata, który od Króla Jegomości w Janowie dostał. Kiedym ja, małe chłopię, patrzył na to, jako w oczach płaczącej matki ów dukat królewski zapadł jakoby w głęboką studnię w skórzany mieszek Balczyńskiego, tak mi się serce skrajało i tak krzywda ona mojego ojca padła mi cała ciężka i paląca na duszę, jako kiedybym w piersiach miał żywy ogień, że dnia tego i godziny całego żywota mego nie zapomnę, i choć potem jeszcze okrutniejsze dopuszczenia Boże spadły na naszą chatę i na nasze głowy, tej najpierwszej żalości mojej nie przytłumiły, tak jako dzwon, kiedy raz pęknie, już nie jęczy, choć weń jeszcze z większą mocą uderzysz, aniżeli wtedy, kiedy się spadał.

Miał ojciec mój tej zimy słabo zarobku, a jakoś blisko wiosny roku Pańskiego 1622 wyjechał do Lwowa z solą, choć już nierad sól woził, owszem całe już był prasołstwo zarzucił, jako się to rzekło, ale musiał jechać raz dla zarobku, wzięwszy sobie na głowę taki dług ciężki do św. Michała, a także i dla widzenia się z kupcy ormiańskimi, czy go gdzie z towarem w zyskowniejszą jaką drogę nie poszłą. Wróciwszy, mówi do matki jakoś nieśmiało, jakby bał się ją utraścić:

– Nie będzie tego roku wielkich frachtów ani do Krakowa, ani do Węgier, ani do Wołoszy, a co w tę stronę iść ma, na to się już inni furmani ujednali. Dla mnie to nic z tego nie zostało i musiałbym chyba wozić Żydom samborskim wosk i skórę a spław do Sanu. Ale pan Krzysztof Serebkowicz wyprawia za pięć niedziel ze Lwowa karawanę...

– Do Turek? O ja nieszczęśliwa? – zawołała moja matka, nie dając ojcu dokończyć.

– A jużciż że do Turek – rzecze ojciec – bo p. Krzysztof tylko z tureckimi kupcy ma swoje handle. Ale nie tak głęboko do samych Turek, bo nie aż na sam Konstantynopol, jeno do Jędrna i Warny, nad morze, bo tam okręty z towarem p. Krzysztofa przybić mają. Ujednalem się tedy z p. Krzysztofem, a jak na mój rachunek, to aby z pomocą Bożą, tam i nazad po 100 talarów zarobię.

Dużo było płaczu i lamentu w domu dla tej wyprawy ojcowskiej w dzikie i niebezpieczne kraje, aż nad Czarne Morze, które, jako mi się naonczas w głowie mojej zdało, musiało być takie czarne, jak sadza, a całe pełne straszliwych bestyj i smoków, tako samo czarnych, jako i one głębiny bezustannie nocujące, w których ani Boże słoneczko, ani księżyc, ani gwiazdy przezierać się nie mogły; nie tak, jak w naszym Dniestrze, na którego dnie modre niebo się kładło jakby w zwierciadle, a chmury płynęły pod wodą jak ryby. Płakała matka, że ojciec się puszcza co wiedzieć na jakie przygody; płakał ja, ale nie za to, że jedzie, jeno iż mnie z sobą wziąć nie chce, a tak w niemałej żalości czas ubiegał. Tymczasem ojciec milczący gotował się do jazdy, a ja, wtedy już otrok dość rosły, pomagałem, jak umiałem.

Tedy zaczęliśmy koniom dawać owsa na dwie niedziele przed wyjazdem, bo dotąd sieczkę tylko i siano gryzły i bardzo były postawły i pochudły – a było ich już tylko trzy, same brożkowe, duże, jeden wrony, którego ojciec zwał Dżumbas, bo go od handlarza Turka kupił, a takich handlarzy dżumbasami nazywają, drugi cisawy, Kłus, trzeci podżary, bo ani całogniady, ani całowrony, i ten był najpiękniejszy, a zwał się Sudany; pochodził z bardzo zacnej stadniny pańskiej, ale był bardzo stary i na jedno oko ślepy. Potem zaczął ojciec wóz opatrzyć i oprawiać, wszystko z osobna i z wielkim baczeniem od największej do najmniejszej rzeczy, od kół, osi, obręczy, do najmarniejszego gwoźdźdza i śrubki, a była to pałuba okrutnie duża, cała setnie kowana, z ogromnym koszem łubianym i przykoszkami, z poklatem na obręczach, który wyglądał jak duża buda, że w niej chyba i mieszkać by można jakby w izbie, a pokryty był grubym a gęstym cwelichem wrocławskim, że i człek i towar bezpieczny był od deszczów, jak pod dobrym dachem: A tyle było na tym wozie żelaza, tyle łańcuchów, że, bywało, jak po twardej drodze ojciec puści konie rysią, to taki brzęk, taki łoskot, taki tętent i dzwonięcie, a przy tym tak huczy, jakoby w kotły bito, co zawsze było z podziwieniem ludzi, jako że w tych stronach ruskich, a osobliwie pod górąmi, mają chłopcy wózki mizerne, że w



nich i jednego ćwieczka żelaznego nie masz na pokazanie, a wszystko to piszcze i skrzypie, i trzeszczy, że kiedy z gór długim żurawiem z klepkami ku spławom jada, to na milę słyszysz tę muzykę.

Dużo by pisać, jak opatrnie ojciec na tę daleką drogę się wybierał, jak osobno zładował woreczek owsa święconego w dzień św. Szczepana Męczennika, aby go po drodze do karmy dosypywać dla odżegnania złego od koni; jak dobierał ziela na różne choroby końskie: lulkę, lipkę, wilżynę, kopytnik itd.; jak robił zapas smarowidła na rzemienie: z wódki, sadła i sadzy gdańskiej; jak w osobny skórzany mieszek wkładał naczynie przygodnie: młot, obcęgi, dłuto, szydła, kopę całą ufnali; jak czyścił topór, samopał i szeroką szablę multankę, bo bez tego ani ruszaj się z domu, skoro cię droga prowadzi w takie dalekie a dzikie krainy. Tymczasem matka ładowała odzież i bieliznę, a i o strawie na drogę pamiętała: chleba, jagieł, słoniny, gomólek, choćby tyle, aby nie od razu z gotowego grosza żyć, ale na swoim jaki tydzień i drugi poprzestać. Dał ojciec na mszę księdzu plebanowi, wysłuchaliśmy jej w wielkim nabożeństwie; ojciec się wyspowiadał i Przenajśw. Sakrament przyjął, pożegnał się z wujem kantorem i znajomymi we wsi; w skrzeszeniu serca po Sakramencie nie zapomniał nawet o podstarościm i hajduku Kajdaszu, choć za ich to sprawą musiał się hazardować i tam jechać, gdzie się już jeździć zarzekał, bo się tym pogańskim szlakiem człek wyprawia jak na wojnę, niepewny jutra i życia.

Nazajutrz rano jeszcze słońca nie było na niebie, a już pałuba zaprzężona stała gotowa, konie parskały żwawo, jakby na dobrą wróżbę, i grzebały ziemię kopytami, tak im przybyło ochoty i gorąca po dwuniedzielnym obroku. Ojciec przeżegnał znakiem krzyża św. matkę i mnie, a matka jego, obłapił i ucałował nas oboje, zrobił biczem znak krzyża świętego przed końmi, siadł na kozioł, trzasnął z bicza... „Aju! Hyj!” Zaturkotał wóz po suchej drodze, a mnie i matce się zdało, że te jego kowane koła po sercu nam przejechały.

## II

### KOZAK SEMEN

Wkrótce po tym wyjeździe mojego ojca stało się u nas wielkie zamieszanie i jakoby trzask okrutny, jeno że bardzo niewesoły. Wracały wojska z wojny tureckiej, a wracały biedne, chude, odarte i głodne, a w onej biedzie własnej niepamiętne biedy ludzkiej. Rozsypał się żołnierz szeroką siecią; zawadził i o ekonomię samborską, jako że to była królewszczyzna, a tedy najbardziej na gospody żołnierskie wystawiona. Napatrzyłem się wonczas i buty, i nędzy wojackiej do syta. Najpierw zaczęła się przewijać szlachta, wracająca do dom z pospolitego ruszenia, ale tej spieszno było do własnego komina, a podobno mało tam który z niej widział żywego Turka, bo się to wszystko zaraz po chocimskiej potrzebie jeszcze spode Lwowa wróciło, nie zażywszy obozu i nie powąchawszy prochu. Ale za nią posypał się dopiero prawdziwy żołnierz najrozmaitszej broni, jeszcze jakoby mokry od krwi pogańskiej, a i od swojej własnej, kurzem bitwy okryty, czarny od wiatrów i słońca – często chory, często ranny i okaleczały, a zawsze głodny, odarty i prawie że dziki. Napatrzyłeś się wtedy, bracie, co to wojna umie!

Husaria, pancerni, dragonia, rajtaria, piechota łanowa, kozacy i Bóg tam wie jaki jeszcze lud zbrojny, bo byli między nimi i Wołosi, i Węgrzyni, i Niemcy – wszystek ten żołnierz to mijał, to się zatrzymywał, a najczęściej tak bywało, że ledwie jedni się osadzą, a już drudzy ich spędzają z gospód siłą mocą, tak że bez trzasku szabel i bez strzelaniny często się nie obyło. A wszystko z uciskiem i ze łzami ubogiego ludu, bo żołnierz długo był niepłatny; tym żył, co mu dano, a raczej tym, co sam wziął. Były między nimi szarpacze, że ano nie wiesz, czy to swój, czy nieprzyjaciel; z Tatarem stali za jedno. Gdzie był jaki kogut, to go zjedli; cielęta rznąli, płótno babom wydzierali, ziarnko żyta i źdźbło słomy nie zostało po nich w stodole.

Tak i u nas w Podborzu działo się z wielkim strachem moim, a z niemałym płaczem mej matki. A ta jedna tylko była pociecha dla mnie, że zaraz pierwszego dnia żołnierze okrutnie zbili podstarościgo i hajduka Kajdasza za to, że ich do dworu puścić nie chciano, każąc im na nas ubogich chłopkach poprzestawać. Za zmiłowaniem Bożym poszli nareście, albo raczej wyścigano ich z całej okolicy, zaś na ich miejsce przyszły rotty husarskie, a między nimi i rota p. kasztelana Samuela Koniecpolskiego, który po panu Daniłowiczu trzymał starostwo samborskie. Podstarości z hajdukiem Kajdaszem pisali dla nich gospody, a jako chata nasza była naj dostatniejsza we wsi i była przy niej duża stajnia, to nas najpierwszych pisali. We dworze, w którym tylko podstarości Bałczyński siedział, stanął sam pan chorąży husarski z kilku towarzyszami, a na naszą zagrodę przypadły trzy konie z jednym czeladnikiem służebnym.

Pamiętam, było to już pod wieczór, a wrota naszego podwórza były przywarte; kiedy siedząc w izbie, słyszę mocne wołanie:

– Hej, ho! Hej, ho!

Wychodzę ja i spojrzę: przed wrotami stoją trzy konie; dwa z nich wyniosłe i szumne, całe czerwonymi suknamy nakryte, bardzo pańskie i harde, żem takich pięknych jeszcze nie widział, zaś trzeci o wiele mniejszy, chudy i bardzo na oko niepoczesny, a na nim siedzi młody człek, jakoby wyrostek dopiero, w kaftanie z cielecej skóry, na której sierść była zostawiona, w czapce baraniej wysokiej i spiczastej, przegiętej na lewy bok, z długą spisą i przy szabli, a na plecach i przy boku wiszą mu trzy jakoby sakwy, jedna bardzo długa, druga krótsza, trzecia, jakby okrągła, a wszystkie trzy mocno kudłate, bo z koziego kozucha szyte.

– Hej, ho! Hej, ho! – woła na mnie patrzącego – a odewrzesz ty wrota, *kotiuho!*

Idę otwierać, a tymczasem wyszła i matka, już zła bardzo, cała czerwona i chmurna, z zacisniętymi od gniewu ustami, bo już jej były te gospody żołnierskie dojeły do żywego i tak nas zniszczyły, że i chleba suchego w domu nieraz nie było, że pamiętam, matka zwykła była mówić: Przyszedł jeden, wziął sukmanę; przyszedł drugi, wziął koszulę; przyjdzie trzeci, to chyba skórę z ciała zedrze.

Ale ten nowy gość w cielecym kaftanie jakoś tak nie wyglądał, jakoby nas ze skóry miał łupić. Choć mnie przed chwilą nazwał *kotiuhą*, teraz kiwnął mi głową i uśmiechnął się wesole, zeskoczył z konia, zdjął czapkę, pokłonił się pięknie matce, pocałował ją w rękę i rzekł:

– *Sława Bohu!* Daj Boże zdrowie, pani matko!

Kiedy zdjął czapkę i grzecznie nas pozdrowił, my oboje jeno gęby pootwierali od zdziwienia, bo ano ten człowiek miał całą głowę ogoloną, a na wierzchu jeno został mu długi kosmyk włosów, jakoby warkocz zapleciony, a ten sobie zawinał aż poza ucho. Pomiarkował to ten człowiek, że na niego jakby na dziw patrzymy i śmiejąc się rzecze:

– Ano, to wy, jako baczę, żywego Kozaka jeszcze nie widali?

Jam przecież widywał często kozaków starościeńskich, bo z zamku samborskiego z listami jeździli, ale ci byli w barwie przystojnej i włosy tak strzygli, jako my wszyscy, i nie wieszali na siebie takich biesag kosmatych i spis takich długich u nich nie widziałem, jeno szable i pletnie. Tak mu też powiadam.

– Bo tamto to sobie czeladź służebna, starościeńska – rzecze on na to – a ja mołojec rzetelny, wolny, i z Kozaków «nieposłusznych», zaporoskich.

– A kiedy wy nieposłuszny i niesłużebny, to czemu służycie i słuchacie? – mówi matka.

– Bo teraz muszę, ale mój ojciec nie musiał i ja przódy nie musiał, i niezadługo to znowu nie będę musiał, jak Bóg da... U nas tak powiadają: *Terpy, Kozacze, budesz atamanom!*

Mówił po rusku lubo umiał także po polsku, ale my i po rusku dobrze go rozumieli, jako żeśmy między samą Rusią i porodzili się, i wychowali.

– A ciebie jak wołają? – pyta mnie ten Kozak. – Hanusz – odpowiadam, bo na imię było mi Jan, ale ojciec z miejska Hanusz mnie wołał, i pytam: – A was jak?

– Ja się nazywam Semen Bedryszko, spod Czerkas, assawułów syn.

Zawiódł konie do stajni, a już mu było ze dworu obroki przystawiono, ustawił w przeworinach, uwiązał, nasypał jeść, założył siano, a przed tym jeszcze długą spisę i owe kosmate biesagi w kącie złożył. Potem z jednej biesagi wydobył łuk, z drugiej łubie ze strzałami, a z trzeciej kobzę kozacką z dereniowego drzewa i wszystko to obok siodła i dwóch pistoletów, które miał w olstrach kulbaki, porządnie na kołkach porozwieszał.

Ja przez cały czas chodziłem za nim oczami w ciekawości wielkiej, a kiedy wyszedł ze stajni, pobiegłem i ja, czekając, rychłoli, tak jak inni żołnierze, weźmie kłac a na matkę wołać: «Dawaj, babo, jeść!» Matka była właśnie na podwórzu z siekierą w ręku i zabierała się do rąbania drwa, bo sługi już wtedy nie mieliśmy, a tu Kozak skoczy do niej, odbierze jej siekierę i powie:

– Zostawcie; ja to lepiej umiem!

Narąbał drew, zaniósł do izby, wziął dwie próżne konewki i nie pytając nawet, gdzie we wsi studnia, bo ją po drodze widział, nanosił wody, a widząc, że matka nieci ogień na kuchni, podsunął się i sam go tak prędko rozniecił, że ja z matką z podziwieniem na to patrzyliśmy.

Zobaczył garnek czysty, który matka nagotowała była, nalał doń wody, przystawił do ognia, a zrobiwszy to wszystko, siadł na ławce i mrugając do nas wesoło, mówi:

– Ogień jest, woda jest, *ino waryty, koby buło szczo!*

Tak się ten Semen grzecznie przymówił do wieczery, a że matka mu rada była za tę jego pocziwość, tedy miał i kaszę jaglaną z mlekiem i trochę szperki do chleba się znalazło – a jadł jak wilk, taki był głodny.

Wziął nas od razu za serce ten Kozaczek i z każdym dniem miłszy był mojej matce; ja zaś tom go tak polubił, jak gdyby to był mój rodzony. Nie był nam ciężki, owszem niepomału pomocny; nie jadał nawet z nami, bo go jako czeladniczka p. kasztelana Koniecpolskiego podstarości we dworze żywić musiał, a matce, kiedy tylko mógł, to pomagał: drwa rąbał, wodę nosił, izbę zamiatał, na pole chodził, sieczkę rznął, na żarnach mąkę mełł; co weźmie, to mu się pod ręką pali, taki żwawy robotnik, a wesoły, a śpiewający, aż w chacie miło.

Bywało weźmie wieczorem tę kobzę swoją i zacznie śpiewać, a przerwami na strunach przebierać, że ano i one śpiewają jakoby żywe, i zda ci się raz; że płaczą żałośnie, tak że i tobie płakać się chce; to znowu biją jakby w dzwony radośne, albo jak wesołe skrzypki do tańca wołają, że jeno poskocz z miejsca; to znowu szumią cicho jak wiatr w burzanach i giną gdzieś daleko, daleko, jakby to aż za górami, za borami było, że już nie do ucha gadają, ale do samej duszy człowieczej, i tak ci się robi, jak kiedyby coś bardzo dobrego i umiłowanego od ciebie uciekało, uciekało, a nareście całkiem uciekło i wrócić nie obiecało... Matce mojej zawsze się wtedy na płacz brało i zawsze jej stawał na oczach ojciec, biedny, samotny, wędrowny, w dalekich pogańskich krainach.

– Miły Boże – rzecze tak raz matka – co tam teraz mój porabia!

– Wasz? – pyta Semen i mówi dalej: – Ot, ja głupi, to ja myślał, że wy wdowa, a gdzież wasz?

– Pojechał z furmanką, z ormiańskim towarem... już temu kilka niedziel będzie.

– A gdzie pojechał? – pyta Kozak.

– Daleko, bardzo daleko, aż do Czarnego Morza.

Kozak klasnął w dłonie i woła:

– Czarne Morze! *Znaju, znaju!* Bywał ja na Czarnym Morzu, oj, bywał! Tak rok jeszcze bywał! Hej, hej, to jakby moja ojczyzna!...

A kiedy to mówił, to tak jak gdyby i radość, i żałość jakaś zarazem go zbierała, a oczy mu się zapaliły jak dwa żywe węgle.

– Nad Czarne Morze pojechał; ot, i patrzcie, a nic mi nie mówicie! Ale gdzie, na jaką stronę? Widzicie: Czarne Morze wielkie, wielkie jak świat! A po brzegach grody i sioła, i zamki, a od jednych do drugich daleko, daleko, znowu świat! Biłogród, Kilia, Sulima, Tarabozan, Synopa, Warna...

– Warna, Warna! – zawoła matka – do Warny z kupcami pojechał.

– Ot, co, tak i gadajcie, do Warny! *Znaju, znaju!* To nie tam od Zaporozża, gdzie nasz Dniepr, ani tam od Wołoszy, gdzie wasz Dniestr do morza wpada, to na dole, na dole...

– Jakoż to Dniestr? – rzekę ja z wielkim zdziwieniem, bo Dniestr płynął pod naszą wsią i ledwie go z oka naszego nie widać – to Dniestr płynie aż do Czarnego Morza?

– Co nie ma płynąć?... płynie aż do samego morza, a jakby ty, mołojczyku, wyszedł tu z Podborza, a szedł brzegiem, a szedł i szedł, i szedł., tobyś do limanu, a z limanu do Czarnego Morza zaszedł, ot, co!

Zadumał ja się bardzo, a tymczasem matka mówi:

– A wy tam byli, Semen?

– Czemu ja nie miał być? Był ja tam, był ja i dalej. Kędy to Semen nie bywał z ojcem asawułą i mołojcami!...

– Tak piechotą, brzegiem dniestrowym? – pytam ja teraz.

– Widzisz go! Piechotę, brzegiem! Jeszcze ty dumny mołojczyk jesteś! Na czajkach my tam byli.

I zaczął się śmiać bardzo ze mnie, a ja się już wstydziłem pytać, co to są czajki, bo znałem tylko czajki ptaki i słyszałem, że jesienią wybierają się za morze, ale matka pyta:

– A cóż to są czajki?

Tedy dowiedzieliśmy się od Semena, że to są takie duże czółna, żłobione z lipowych kłód, skórą w środku wybite, a dokoła trzcina, czyli oczeretem oplatane, na których i rzekami i morzem chyżo płynie, kto wiosłowania dobrze świadom.

– A co wy tam robili, Semen, na Czarnym Morzu i w Warnie? – pyta matka.

– Co my tam robili? Hulali! W gościnie my tam byli, hej, w gościnie! Tylko że nam tam nie byli radzi, oj, nie byli, pewno nie byli!

I tu przerwał i nie chciał dalej mówić, jeno taki stanął, jakby go kto odmienił; coś mu takiego z oczu błysnęło, czego my przedtem nigdy w nim nie widzieli, tak jakoby w tym Kozaku jeszcze drugi jakiś człek siedział, ale zły i srogi, a dopiero teraz niby z jaskini na nas spojrział. Ale to na chwilę tylko było, bo zaraz potem znowu był wesół.

Mieli my dużo pociechy z tego Kozaka, i ja, i matka, i sąsiedzi, a ja to już pewno najwięcej. Nauczył mnie na swej kobzie grać, nauczył z łuku strzelać, a był taki sprawny w tym strzelaniu i taką miał dziwną pewność w oku, że bywało ptaka w lot strzałą przeszyje; pokazał, jak mam sobie strugać wereszki na strzały, jak na nie nabijać ostre płoszczyki, jak robić zatraski, sidła i siatki na ptactwo i zwierzyne, jak wypłatać węcioriki na ryby, jak w czystym polu lub w lesie rozeznać się, gdzie słonko wstaje, a gdzie się chowa i gdzie na niebie południe a gdzie siewierz, a to nawet w nocy, wedle gwiazd; jak przykładać ucho do ziemi i nasłuchiwać, i poznać, czy kto jedzie z daleka i czy to wozy, czy konni ludzie, i czy ich mało, czy więcej – owo zgoła nauczył rozmaitych ciekawości, których u nas we wsi nikt albocale nie znał, albo niedobrze wiedział. Z koniem swoim, chudym i na oko marnym, to był jakoby z przyjacielem albo z rodzonym bratem, mówił do niego jak do człowieka i powiadał, że koń jego rozumie, a on konia; jakoż była to szkapa osobliwa, jak dobrze chowany pies zmyślna i posłuszna, i jak pies do swego pana przywiązana. Pozwalał mi też na swego konia wsiadać, a kiedy tamte dwa konie husarskie prowadził na przekłuskę, pozwalał mi jechać na swoim, a sam jednego z husarskich dosiadał.

Jednego ranka wyjechaliśmy tak z końmi i wzięliśmy się drogą ku Samborowi. Ujechaliśmy może jaką ćwierć mili, kiedy się natkniliśmy na wóz mały, ale dobrze naładowany, tak jakby jakiś towar wiózł, z dwoma mocnymi końmi w zaprzęgu węgierskim i z furmanem ubranym nie po naszymu, bo u nas takich świtek z samodziału i takich czapek wysokich, spiczastych, a bardzo podobnych do tej, jaką Kozak Semen miał na głowie, nigdzie dokoła nie naszano. Jak go Semen zobaczył, to aż prawie podskoczył na koniu i zaraz do niego po rusku:

– *Sława Bohu!* A wy od Taraszczy?

– A od Taraszczy. Od Łebedynej Grobli.

– A skąd jedziecie?

– Aż z siedmiogrodzkiej ziemi.

– A dokąd Bóg prowadzi?

– Do Lwowa, a stamtąd, pomagaj Bóg, do domu, na Ukrainę.

– A wóz i konie wasze?

– Gdyby moje! Ja czumak biedny. Nie moje, żydowskie...

– A jaki to Żyd?

– Chocimski, turski Żyd, Czarny Mordach.

– Czarny Mordach, co go po tursku Kara-Mordach nazywają! – krzyknął Semen i tak rzucił sobą na koniu, jakby go kto strzałą przebódl. – A gdzie oni?

– Został w tyle – mówi furman – jedzie konno, na siwym bachmacie, ot, i słyhać kopyta.

Patrzę ja w tę stronę i widzę: jedzie na siwym koniu chłop setny, w czarnej żupicy, przepasany szerokim rzemieniem z surowej skóry, z twarzą ciemną jakby u Cygana, z dużą czarną brodą i z małymi bystrymi oczyma, świecącymi jak u kota, ale kosooki, tak że tym zezowatym spojrzeniem brał cię jakoby we dwoje szydeł i chciał niby przekłuć człowieka brzydkimi ślepiami na wskrós z obojej strony.

Jak go tylko Semen zobaczył, poczerwieniał cały jako mak polny, żyły mu nabiegły krwią na czole, a oczy mu się zapaliły takim gniewem, że aż mnie samemu stał się straszny.

– Bóg mi jego dał! Bóg mi jego dał! – woła wielkim głosem i sadzi z koniem prosto na onego Żyda.

Żyd patrzył więcej na nasze konie niż na nas, dopiero gdy Semen tak krzyknął i tak do niego podjechał, że swoim kolanem prawie jego kolana dotknął, podniósł oczy na Kozaka.

– Kara-Mordach! Kara-Mordach! – krzyknął teraz Semen. – Pogański synu! Sobako! Znasz ty mnie? Znasz ty Bedryszkę?

Żyd się zatrząsł, pobladł i z nagłym strachem umknął się w zad konia, ale w tej samej chwili Kozak łap! go za gardło i tak okrutnie ścisnął, że małe oczka Żyda krwią nabiegły i wysadziły się na wierzch jak gałki. Żyd aż zacharczał, ale w tej chwili, jako miał pleciony kańczug w ręku, tak nim z całej siły uderzył konia, na którym Semen siedział. Świsnęła żydowska pletnia w powietrzu jak żmija i jak żmija zwinęła się na koniu, a koń zapiszczał z bólu i strachu i jak wściekły rzucił się wielkim skokiem na bok. Semen spadł na ziemię. Żyd zaciął pletnią swego bachmata i zaczął uciekać gwałtownym cwałem. Jak wichher rozmiatał za sobą kurzawę i przepadł z oczu jakoby w ciemnej chmurze.

Semen porwał się na nogi, strącił mnie z swojego kozackiego konia jak kluskę na ziemię, wspiął się w kulbakę i nie rzekłszy do mnie ani słówka, puścił się strzałą w pogoń za Żydem.

Tylem go widział i słyszał, co świszcz puszczone z łuku... Zerwał się w górę wysoko drugi tuman kurzu i zakrył i Semena, i konia. Zostałem sam na drodze, a konie husarskie tymczasem popędziły na pola. Nie wiedziałem, co czynić, czy łapać konie, czy czekać na Semena – stałem głupi od strachu i ciekawości, z oczyma wlepionymi w obłoki kurzu, które umykały coraz dalej, coraz dalej, aż opadły pod górąmi.

### III

## TAJEMNICA KOZACKA

Minął dzień, a Semen nie powrócił. Konie, połapane w polu, dopiero pod wieczór przywieziono do wsi, ale już ich nie postawiono w naszej stajni tylko we dworze u podstarościego. Przyszedł hajduk Kajdasz do naszej chaty i kazał mi z sobą iść do dworu. Szedłem z wielkim strachem, jak kiedybym współwinni był w tym, co się stało z owym Żydem i Semenem. Pytano mnie surowo, a nawet chłostą grożono, abym wszystko powiadał, co jeno wiem, bez wszelkiego zatajenia; jam też wszystko powiedział, choć tego niewiele było i nikt z tego mądry być nie mógł. Całą noc tego dnia nie spałem; matka także; zawsze nam się zdawało, że Kozak wróci; a kiedy się tylko co ruszyło na podwórzu, wiatr czymś potrącił, pies gdzieś we wsi zaszczekał, wybiegałem z chaty, czy to nie Semen wraca.

– Niechajby już nie wrócił i niechbyśmy go już nigdy nie obaczyli – rzecze mi matka na zajutrz rano – byleby go nie złapano. Bo co wiedzieć, jako to było i co się stało? Może co straszego; może rozbój jaki, zabicie tego czarnego Żyda...

Trafiła matka w samą prawdę, bo pod wieczór wuj kantor, który Semen u nas poznał i bardzo polubił, przybieżał do nas zadyszany i prawi:

– Jechali dziś solarze z Drohobycza; powiadali, że tam niedaleko Bronnicy znaleźli ludzi na polu jakiegoś turskiego Żyda, szablą srodze zrańbanego, że już znaku życia nie dawał. Złoczyli go u Żyda kwotnika, co niedaleko mieszka, a balwierz, co go zawołano, jeszcze się w nim życia domacał, ale mówi, że mu śmierć pewna od rozłupanej czaszki.

– Od Semenowe j szabli! – zawołałem prawie z uciechą, bo lubom z tej całej przygody nic nie rozumiał, przeciwnie na ślepo trzymał z Kozakiem przeciw Żydowi.

– Pewno że nie inaczej – mówi na to wuj – ale kto tam wie, czy się i Semenowi nie dostało, bo Żyd ów prawie że jeszcze trzymał w ręce wystrzelony pistolet.

– Może i Semen zabity! – woła matka. – Może, postrzelony, powlókł się gdzie w las albo w pole i tam skonał. Nieszczęśliwy sierota!

– Toby jego koń został – mówię ja na to – a jak konia nie ma, to Semen pewnie zdrowo uszedł. Znam ja tego konia dobrze; nie odstąpiłby on swego pana na krok; tak by przy nim wartował, jak pies, i prędzej by zdechł, niżby go odbieżał.

Tak my i wszyscy we wsi gadali i zachodzili w głowę, co to była za rzecz między Semenem a tym podróznym Żydem turskim, a tymczasem znowu dzień minął bez słyhu i wieści, i wszystko, jako nam było tajemnicą, tak i pozostało. Tej nocy ja znowu usnąć nie mogłem, ciągle myśląc o Żydzie i Semenie, a obaj stali mi tak w oczach, jak gdybym obu żywych miał przed sobą. Leże tak w małej izbie z otwartymi oczyma – matka spała obok w świetlicy – i w głowie mi się kłębi od samych dziwnych rzeczy, jak gdyby w jakiej strasznej bajce, i patrzę w małe okienko naprzeciw mojego posłania, a noc było dość jasna, choć księżyc nie dochodził jeszcze pełni – kiedy nagle widzę, że jakiś cień podsuwa się pod okno i słyszę jakoby lekkie pukanie. Nie wierzę zrazu ani oczom, ani uszom, myśląc, że to tylko przywidzenie, ale

oto znowu i cień widzę wyraźniejszy, i pukanie słyszę głośniejsze. Zrywam się z posłania i w tej chwili przychodzi mi na myśl, że to chyba Semen być musi.

Ostrożnie, po cichutku, aby matki nie budzić, wymykam się do sionki, odsuwam zaworę i z progu wyglądam na podwórze. Patrę, a tu pod oknem stoi Semen. Zobaczył mnie zaraz i przystąpiwszy mówi do mnie szeptem:

– To ja, Hanusiku, ja, Semen. Gdzie moje pistolety?

– Schowałem je w izbie – odpowiem.

A trzeba wiedzieć, że nazajutrz po zniknięciu Semena zabraliśmy z matką z pustej stajni wszystkie jego rzeczy: łuk, sajdak, pistolety, kobzę, do komory.

– Łuk i kobza niech będą twoje, na *niezabudysz* po Semenie, ale pistolety mi wynieś i sam się zbieraj, bo mi ciebie trzeba.

Wpadłem do chaty, ogarnąłem się prędko, po cichu z komory zabrałem pistolety i wykradłem się na dwór jak złodziej, aby matka nie słyszała. Kozak wziął pistolety, chwycił mnie mocno za ramię i tylko jedno słowo powiedział:

– Chodźmy.

Zagroda nasza stała dość daleko za wsią, prawie na bezludziu, nie było tedy wielkiej obawy, aby nas kto widział, choć jak rzekłem, noc jasna była. Jednakże Semen rozglądał się do brze dookoła, jakiś czas nasłuchiwał, a potem ruszył ze mną bardzo szybkim krokiem. Przebiegliśmy pole i zapadli w las, a od Podborza zaczynają się ogromne lasy i idą daleko, daleko w góry, aż pod Beskid ku Węgrom, ciemne, gęste bory, jakoby jedna nieprzebrana puszcza. Na brzegu lasu Semen się zatrzymał i mówi:

– Otwórz ty dobrze oczy jak ryś, bacz ostro i miarkuj sobie a zapamiętaj drogę, abyś się tu dobrze wyznał i abyś tam mógł trafić beze mnie czy dniem, czy nocą, dokąd ja ciebie teraz zawiodę. Tam uważaj i pamiętaj, jak gdyby ci o śmierć albo życie chodziło.

Wstąpiliśmy w las i szliśmy długo, bardzo długo, że mi się to parę godzin zdało, a Semen po drodze ciągle mnie uczył, jako poznawać drogę, pokazywał mi znaki, według których mam się brać, to prosto, to w lewo, to w prawo; tu debra, tu ruczaj, tu jar, tu polanka, tu wyrócisko, tu majdanek, tu zielony od mchu moczar; tędy pójdziesz, tak skręcisz, stąd prosto jak strzelenie z łuku na północ się weźmiesz. Kazał mi leżeć na bardzo wysoką sosnę i sam wylazł, a stamtąd na gwiazdy uważać kazał, które z nich dobrze drogę mi wskażą, gdyby tego była potrzeba.

Nareście przyszliliśmy na polanę większą, w czarnej gęstwinie ukrytą, z jednej strony od lasu jarem głębokim przepartą. Od polany tej ku północy las wyraźnie jakby do góry skoczył, albowiem tak się nagle i stromo grunt leśny podnosił, żeśmy naraz stanęli przed urwistą skałą, jakoby przed ścianą i gdybyśmy byli chcieli dostać się dalej, nie zbacząc z drogi, to chyba leżeć po drabinie byłoby trzeba. Tu Semen stanął i pyta:

– Spamiętałeś dobrze drogę?

– Spamiętałem.

– Trafisz do domu?

– Trafię.

– A z domu?

– I z domu.

– Ile tobie lat? – pyta dalej.

– Piętnasty.

– Piętnasty rok – rzecze na to Semen – a to w twoich leciech już był mołojec ze mnie! Brał mnie ojciec na wojnę i na chadzkę do czajki na Czarne Marze! Czy ja jednego Tatara strzelał z konia zszadził, jak ja miał piętnaście lat! Wiem, że ty ciekawy i niedurny; i szczerza dusza jesteś, i wierna; wiem, wiem. Zdrady jeszcze nie znasz, pewnie nie znasz, ale czy nie poznasz? Kto to wie, *Boh znoje*... Za nami, Kozakami, chodzi zdrada jako cień za człowiekiem;



więcej mołojców ginie od zdrady niż od lackiego samopasu, niż od tatarskiej strzały, niż od janczarskiej szabli! A przysięgniesz, że mi wiary dochowasz?

– Przysięgnę! – mówię śmiało.

Semen wyjął z zanadru mały krzyżyk drewniany, kijowski, rzezany, pocałował go, kazał mnie pocałować i tak się ozwał:

– Na ten krzyż, na św. Spasa, na Bogarodzicę, na św. Mikołaja i na wszystkich świętych i błazennych Ławry Pieczarskiej przysięgnij, że to, czego się tu dowiesz, zachowasz w tajemnicy, że nikt nie usłyszy od ciebie tego, co ty ode mnie usłyszysz, że nikomu tego nie pokażesz, co ja tobie pokażę, i że wszystko tak zrobisz, jako ja ciebie nauczę! Czy przysięgasz?

– Przysięgam.

– Ten turski Żyd, Kara-Mordach, cośmy go spotkali, to był taki przeklęty pies i zdrajca, co krew kozacką pił. Bóg mi go w ręce dał; zginęła żmija od szabli kozackiej.

– Co on wam zrobił, Semem – zapytałem.

– Co zrobił? – zawołał Semen – ojca mojego zdradził i sprzedał, Turkom pohańcom go sprzedał, jak podłe bydłę sprzedał, jak psa na łańcuch go wydał!

– A kto był wasz ojciec? Czy także Kozak – pytam znowu.

– Jakże nie Kozak? – rzecze Semen. – Oczywiście Kozak, my wszyscy z Kozaków i Kozacy; każdy Bedryszko Kozak! Ale jaki był Kozak! Takiego drugiego nie ma w Siczy, w całej Ukrainie nie ma ani na Zaporozu! On jeszcze hetmana Konińskiego widział, z Borodawką wojował, z Łobodą na Turków chodził, z Nalewajką i z Sahajdacznym! On był prawą ręką Sahajdacznego Konaszewicza, okiem w głowie był u niego. Czarne Morze go zna i sam sułtan wie o nim i baszowie turscy trzęśli się przed nim ze strachu! On Synopę złupił i Archiokę z dymem puścił i Oczaków; z Konaszewiczem Warnę spalił – niedawno, ledwie dwa roki temu! Z Lachami chodził na Turków; hetman Żółkiewski go znał i hetman Chodkiewicz; pan Konięcpolski prawie go za brata i towarzysza miał, tak jego lubił. Ale nie ten wasz Konięcpolski, pan Samuel, tylko ten drugi, p. Stanisław, *choroszy* pan i rycerska krew, co go Turcy pod Cecorą w jasyr wzięli! I to całe nieszczęście, że go wzięli! Pan Stanisław Konięcpolski byłby ojca mojego od Turków pewno wykupił; pan to *praworny*, hojny i sam żołnierz wielki; ale cóż, sam on teraz w nieszczęściu; kto wie czy jeszcze żyje, może go już Turcy w Czarnej Wieży udusili, może na haku wisi jak kniaź Dymitr sławnej pamięci!

– A czemuż wy, Semen, nie ratujecie ojca? – pytam Kozaka.

– A co by ja tu był u was robił, gdybym ojca ratować nie chciał? A po co mnie było wybierać się tu, aż pod Sambor? Ja Kozak wolny, nieposłuszny, nigdym ja panom nie służywał, a tak przecie wzięłem służbę u pana Samuela Konięcpolskiego, dlatego że to Konięcpolski, bom sobie tak dumał, że on mi ojca wykupi z rąk pogańskich, bo go także zna i wie o nim; od swego krewniaka wie i od innych panów rotmistrzów wie. Ale to już nie taki pan, jak Stanisław, i nie taki żołnierz, choć z jednego rodu i z jednej krwi. Ot, jak to powiadają: z jednego drzewa krzyż i łopata! Czekałem na niego i doczekać się go nie mogłem; byłbym przecie czekał jeszcze dalej – ale Bóg mi dał w ręce Kara-Mordacha i już teraz nikogo nie potrzebuję. Wiem ja już, co robić, i jak ojca ratować!

– A macie pewność, że wasz ojciec żyw jeszcze między Turkami? – pytam Semena – może już zabit!

– Zabit! – woła na to Semen. – Turcy go pewnie nie zabili! Oni radzi, że go żywego mają, aby najdłużej; oni go sobie na wagę złota kładą. Trzeba ci wiedzieć, że mój ojciec to sławny puszkarz, głośny po świecie, hen, na całą Ukrainę. Drugiego takiego nie znaleźć, chyba w niemieckich krajach.

Chciałem się pytać Semena, co to jest puszkarz, bo wtenczas tego nie wiedziałem, ale on jak gdyby zgadł, że tego nie rozumiem, rzecze dalej:

– Albo wiesz, co to jest puszkarz? Pewnie nie wiesz! Ot, co, piętnasty rok chleb je, a durny, o puszkarzu nie słyszał? Ale o armatach, słyszałeś, o działach, jako wy w Polsce nazy-

wacie? Puszka a działo to jedna rzecz. Mój ojciec umie koło armat chodzić, jak nikt nie umie... Jak nastawi, wymierzy, wyceluje, wypali, to kula ani na piędź nie chybi; jak chce komu urwać głowę, to urwie jako nic. Ja tak z łuku strzelić nie umiem, jak mój ojciec z puszek! Jego kule słuchają; tam każda leci, kędy ją poszle, jak Kozak z listem. Ale to jeszcze nie wszystko, chociaż to bardzo wiele. Mój ojciec sam umie puszek robić. Umie on ułać ze spżu taką okrutną armatę, że chłop w nią wlezie, a jak z niej strzelą, to ziemia się trzęsie, a kula z niej wieże i mury wali, w kupę kamieni je obraca. On i dzwony łać umie, a jakie! Jak zadzwonią, to jakoby ze szczerego srebra były; jak się rozhuczą, to aż się serce raduje; głos po polach i stepach milami płynie, do nieba bije... bam! bam! całe powietrze gra i śpiewa? Może kiedyś usłyszysz taki dzwon, co go ojciec łał, albo zobaczysz taką puszkę jego roboty; czemu nie? U Nalewajki była jedna, wzięli ją wasi do Krakowa. A na każdej puszcze i na każdym dzwonie napisano ładnymi bukwami: OPANAS – bo memu ojcu Opanas na imię. To jakże takiego majstra Turcy by zabijali? On żyje, ale gdzie? Bóg zna. Może w Chocimiu, może w Benderze, może w samym Stambule koło puszek robić musi, na pożytek pogan, a na zgubę i kozacką, i laszą. Ale ja go znajdę, koniecznie znajdę, jak Bóg na niebie! Teraz już wiem, jak, i mam, czego mi trzeba.

– A to obdarliście pewnie Żyda Mordacha; Semen – zawołałem – macie teraz dużo złota na wykup...

– Obdarł, nie obdarł – mówi Kozak – miał, psi syn, na sobie trzos pewnie pełny dukatów; nie wzięłem ani jednego. Ja szukał czego innego i tak Bóg dał, żem znalazł. I dlatego nie dbałem już o jego pieniądze.

– A co to było? – pytam.

– Patrzcie owo, skąd ty taki wziął się ciekawy! To było coś, co więcej warte złota, niżby go był mógł udźwignąć na sobie Kara-Mordach, choć widziałeś, jaki chłop! To było to, co zgubiło mego ojca!

– A mówiliście, Semen, że ojca nie co innego zgubiło, tylko zdrada żydowska.

– Ale zdrada z tego poszła, że ojciec miał to, na co Żyd był łakomy jak wilk na barana, a czego kupić nie mógł, bo ojciec wiedział, co to warte. Widzisz bo, mołojczyku, u nas tak się dzieje: Idzie Kozak na wyprawę, na chadzkę, czajkami płynie na turskie brzegi, pali grody i zamki, łupi miasta, zabiera Turkom wielkie skarby – każdy z mołojców wraca z bogatą zdobyczą, ale cóż, kiedy zdobyczy sprzedać nie umie, a czasem i nie może. Jak zdobył gotowe pieniądze, aspry, lewki, piastry, czerwone złote, to rzecz łatwa; na pieniądze nie trzeba kupca. Ale jak z chadzki wrócą z drogim towarem – z złotogłowiem, kobiercami, koralami, naczyniem złotym i srebrnym, bo naród turski bogaty i w zbytkach się bardzo kocha – co z tym robić? Sprzedać. A komu Kozak sprzeda? Niechże sam próbuje pojsć z tym do miasta albo do dworu, między kupcy czy między pany – oho, dobrze się wybrał! To właśnie tak, jakby własną głowę na targ poniósł. A skąd to masz, a kędyś zrabował? a kogoś zabił? Odbiorą, kijem napędzą, i to najlepszy jeszcze koniec; rad bądź Bogu i dziękuj, że cię do tarasa nie dadzą, na męki nie wezmą, abys prawdę wyśpiewał, a czasem i nie powiesz! A przecież to Kozak szablą zdobył, i na kim? Na psim synu, na poganinie, niewiernym wrogu Chrześcijaństwa; a przecież Kozak krwią swoją zapłacił, krzywdy się tylko pomścił, bo ano, ile to narodu, ile złota, ile srebra z cerkwi świętych nie biorą Turcy i Tatarzy? Czy to sprawiedliwość? Ale cóż robić, tak ono już jest. Tedy rad nierad Kozak musi sobie zachodzić z Żydem, z Ormianinem, z Wołochem, co na takie kupno łakomy, ale najczęściej z Żydem. Tak i z tym Kara-Mordachem bywało. Po każdej chadzce przyjeżdżał szelma do nas i kupował; za byle co kupował; dziesiątej, setnej części tego nie dał, co rzecz warta, a Kozak sprzedać musiał. Targował Mordach zdobyczą mego ojca, ale ojciec niegłupi, wiedział, co za skarb rzadki ma, że i sto takich Żydów wytrząść, a tyle grosza nie wytrzesiesz. O jedno Mordachowi chodziło, jak diabłu o duszę, a tego dostać nie mógł. Zwabił ojca niby do bogatego kupca, co jakoby z Moskwy umyślnie przyjechał, przedni sługa carski. Ten pewno kupi, dla samego cara gosudara

do Kremla kupi. Mój ojciec znał z dawien dawna Mordacha, handlował z nim długie lata, uwierzył. Pojechał z Żydem na granicę wołoską, wpadł w zasadzkę, Mordach zabrał mu wszystko, co było przy nim, a samego Turkom wydał i jeszcze zapłacić sobie kazał, bo im puszkarza naraił, jakiego na świecie szukać... Ot, widzisz, tak to było.

Chwilę Semen milczał i chmurno przed siebie patrzył, jakby dumał nad tym, co się stało, i nad tym, co się jutro stać może, a nagle zawołał:

– Dostyc tego gadania; wiesz więcej, niż ci wiedzieć potrzeba, ale tego właśnie nie wiesz, po com cię tu wołał. Mnie czas w drogę. Przysięgłeś na Krzyż Święty i pod wielką klątwą, a kto takiej przysięgi nie dotrzyma, będzie od Trójcy Św. oddzielony i na miejsce Judasza powołany. Słuchajże teraz i uważaj! Widzisz tę rozpadlinę w skale?

– Widzę.

– Stań plecyma do skały, oprzyj się o nią, tak abyś sobą przykrył rozpadlinę.

Zrobiłem tak, jak Semen chciał.

– Patrz teraz naprzód, prosto przed siebie, jak strzelił; dziewięć kroków zrób, ale dużych, dobrze rozsadzaj nogi, boś ty mniejszy ode mnie.

Zrobiłem dziewięć kroków.

– Teraz klękniij na jedno kolano.

Ukląknęm – a Semen przystąpił do mnie, przysiadł i ziemię koło mego kolana dobrze oglądnał.

– Tak dobrze, wraz dobrze, jak strzelił. Czy widzisz co na ziemi, znak jaki, ślad jaki?

– Nic takiego nie widzę – odpowiedziałem.

– Słuchajże! w tym miejscu, na którym jest teraz twoje kolano, zakopałem to, co mego ojca zawiodło w jasyr, co Mordacha wydało na moją zemstę, co już przedtem i mnogiej krwi i mnogiego nieszczęścia było przyczyną. Tego Persa, co to przyniósł był aż z indyjskiej ziemi, struł jeden Ormianin, tego Ormianina udusili trzej Greczyni w Białogrodzie, tych Greczynów utopić kazał basza jędropolski, tego baszę zabił ataman Łoboda, Łobodę, rozsiekali mołojcy, aż się to dostało memu ojcu, a ojciec usycha teraz w pogańskich łykach... Kiedybyś chciał wziąć, com zakopał, to i ciebie spotka nieszczęście i zguba!

– A ty tego nie weźmiesz? – pytam Semena.

– Wezmę; na tom zakopał, abym wziął. Ale teraz brać się boję, bo mnie wywołali już wszędy dokoła za tego Mordacha jako zabójcę; muszę się dobrze pilnować, abym uszedł zdrowo. Nosić to przy sobie niebezpieczno; można zgubić, można przez złodzieja postradać. Ale jak z wywiadów powrócę i będę już na pewno wiedział, gdzie mój ojciec, w jakim zamku, u jakiego baszy, przyjdę tu albo drugiego do ciebie przyszlę, a ty temu wiernikowi, co przyjdzie w moim imieniu, pokażesz miejsce, gdzie ma kopać.

– A jakoż ja go poznam i jako mu dam wiarę? – pytam ja na to.

– Otóż tak; teraz mi się podobasz, mołojczyku! – zawołał Semen. – Czekałem tylko, czy się zapytasz; sława Bogu, żeś się zapytał! Bo teraz wiem, że masz rozum. Słuchaj i spamiętaj: Jak kto przyjdzie do ciebie, czy to będzie stary, czy młody; czy chłop, czy baba; czy sługa, czy pan; czy czerniec, czy żołnierz; czy w łachmanach i z torbą dziadowską, czy w sajecie i przy bogatej szabli – wszystko to jedno – jeżeli ktoś przyjdzie do ciebie i uderzy cię dłonią po lewym ramieniu i powie te słowa:

*Oko Proroku*  
*Synopa Archioka*

to ty mu odpowiesz: *Musztuluk!* On ci na to ma powiedzieć: «Bedryszko cię pozdrawia» – a wtedy masz go zaprowadzić na tę polanę, pokazać mu to miejsce, które znasz; niech wykopie i idzie z Bogiem, a ty masz milczeć o tym jako grób! Powtórz te słowa!

– *Oko Proroka, Synopa Archioka. Musztułek!* – powtórzyłem, i to kilkanaście razy, póki Semen nie uwierzył, że nie zapomnę.

– A teraz w drogę! – zawołał Semen i ruszyliśmy nazad tym samym szlakiem i znowu po drodze kładł mi w pamięć wszystko, po czym miałem się rozeznąć, aby nie zbłądzić i trafić do onej skały na polanie.

Kiedy już stanęliśmy w czystym polu, Semen uściskał mnie, pocałował w oba policzki i rzekł:

– Zostań zdrow, Hanusz, pomagaj ci Bóg! A jak się zdarzy szczęśliwie, wrócę i wezmę cię z sobą na Sicz, na porogi, i nie będziesz się nazywał Hanusz, ale Iwaszko, i będziesz z nami hulał i na Turków chodził! Boś ty łeński chłopak, wart być Kozakami Zostań zdrow!

Jam go z rzewnością serca także jakby brata ucałował i pytam:

– A koń kędy?

– A kędyżby był? Jest, czeka na mnie, zaraz on tu będzie! – i włożywszy palec w usta, świsnął dwa razy krótko a przeraźliwie.

Za małą chwilę usłyszeliśmy kopyta w polu i koń nadbieżał do swego pana, rżąc radośnie. Semen skoczył w siodło i jak wiatr popędził przez pola ku drodze.

Smutny wracałem do chaty, bom stracił przyjaciela, a w duszy czułem jakoby wielką ciężkość, bo ta cała rzecz tajemna, którą mi zwierzył Semen i na którą mi przysiąc kazał, tak mnie ugniatała, jakoby młyński kamień. Robiło mi się straszno, że teraz powiernikiem wielkiego sekretu, którego sam nie znam, i jakoby stróżem czegoś, czegom nie widział, a co musi być i wielkim skarbem, i przeklętą jakąś rzeczą, skoro tyle krwi i nieszczęścia na tym było. Wchodzę na podwórze i widzę, matka stoi u drzwi i woła:

– Hanuszek, tyżeś to? Kędyż ty biegał po nocy?

Musiałem matce opowiedzieć, że mnie Semen wywołał, i że w cichości się wymknąłem, nie chcąc jej budzić, że Semen chciał się tylko ze mną pożegnać i że mu wyniosłem pistolety.

– A czemuż cię taki czas nie było – rzecze matka – zbudziłam się za szelestem i patrzę, a ciebie nie ma. Coś ty tak długo robił z Kozakiem?

– Odprowadziłem go do konia, którego zostawił był pod lasem.

– I więcej nic? – pyta matka.

– Więcej nic.

Dobrze że to noc była, bo inaczej matka byłaby widziała, jak oczy spuściłem ku ziemi i jak mi rumieniec twarz oblał. Nie uczył mnie nikt kłamać, jakoż i kłamać nie umiałem, ale teraz skłamałem po raz pierwszy w życiu, i to przed własną rodzicielką. Markotność wielka mnie zdjęła i skrucha; było mi tak, jak żeby doznał nieszczęścia. Do świtu jeszcze było dość daleko – położyłem się i usnąłem. Już słońko wysoko stało na niebie, kiedy się obudziłem, i zdało mi się jakiś czas, że to wszystko, co się stało, tylko snem było i nocną marą. Zacząłem się prędko zbierać, kiedy wchodzi matka i rzecze:

– Słuchaj no, Hanuszk, ludzie we wsi głoszą nowinę, że ten Żyd jeszcze żyje i że to jest bardzo znaczny kupiec, sługa i wiernik różnych książąt i wojewodów, którzy się o niego wzmą. Semena już wszędy aż po Lwów i Przemyśl wywołano, z zamku samborskiego wysłano pogoń w różne strony, aż ku granicy węgierskiej: hajduków, smolaków, żołnierzy. Na głowę Semena nałożono 1000 złotych; weźmie ten, kto żywego lub zabitego przystawi. Pogoniło wielu żołnierzy i chłopów na ochotnika imać złoczyńcę, nawet podstarości z hajdukiem Kajdaszem wyjechali o świcie na pościg.

I mówiąc to patrzyła matka na mnie przenikliwym i przestraszonym wzrokiem, a ja ukląknąłem niby do mówienia rannego pacierza, ale słowa utykały mi w gardle, a serce mi kołatało, jak gdyby mi kto młotem tłukł pod żebrami.

## IV

### IDEŃ W ŚWIAT

Nie darmo to mówi przysłowie, że klin klinem się wybija. Wlazła mi w głowę prawdziwym klinem historia Semena i ta jego tajna rzecz zakopana w lesie, której ja miałem być niemy stróżem i wiernikiem, i o niczym już myśleć nie mogłem, jeno o tym i o tym bezustawnie. Ale znalazł się rychło klin drugi, a taki ostry i boleśny, że nie tylko jakoby rozłupał mi głowę, ale i serce przewiercił głęboko jak nóż zbójceki. Mój ojciec miał powrócić z owej tureckiej furmanki najdalej w sierpniu, a tymczasem owo i wrzesień końca dobiegał, a ojca jak nie było, tak nie było.

Strach o ojca i frasunek wielki nastał teraz w naszej chacie – matka płakała dniem i nocą, a ja w żałości mojej ani jej pocieszyć, ani sobie dać otuchy nie umiałem, zaś ludzie we wsi miasto nam dodać serca i nadziei – to jeno się litowali nad matką, nawiedzali ją jakoby po nieboszczyku i ciągle prawili, jako to z turskiej ziemi teraz mało kto wraca, bo tam zawsze srogie rozruchy i krwi ludzkiej przelewanie, i że z wolą Bożą trzeba się pogodzić i na msze święte dawać za duszę ojca, «bo – mówią matce – gdyby wasz żył, toby znać o sobie dał nawet z turskiego więzienia, a tak pewno bez księdza między poganami marnie zginął». Na domiar złego jedyny nasz krewny i opiekun, wuj kantor, umarł z gorączki; zostaliśmy teraz sieroty.

Chodziliśmy z matką do Sambora, do pana Zybulta, kupca, co trzymał skład węgierskiego wina i miał handle z lwowskimi Ormiany, prosimy go, aby pisał, czyli czego nie wiedzą o tej karawanie, z którą ojciec jechał; on też pisał zaraz, ale odpisano, że tam także między tymi Ormiany, co mieli albo krewnych, albo towar w onej karawanie, wielka jest trwoga i umartwienie, bo żadnej wieści nie mają.

Wtedy to, w tym ciężkim czasie, przeświadczyłem się dobrze, że nad samą srogość ludzkiego nieszczęścia gorsza bywa ciągła niepewność, kiedy to dusza człowieka, jakoby zawieszona między żałością a nadzieją, szarpie się w udręczeniu, a myśli biją się z sobą, a która z nich najsmutniejsza, ta zawsze najmocniejsza. A mnie i mojej matce tak było, jak gdyby ojciec co dzień w naszych oczach umierał, a co dzień inną śmiercią: to od powietrza, to od dzikiego zwierza pustyni, to od ręki zbójcekiej; i co dzień znowu żyw wracał: to jako człek zdrów i wesół, to jako kaleka i żebrak, to jako znędziały jeniec, wykupiony z rąk pogańskich. I tak w tym udręczeniu czas mijał, a jak gdyby tego nieszczęścia było za mało, przyszło drugie, z woli i z ręki złego człowieka.

Już swego czasu mówiłem, jako to było z naszym sołtystwem czy też wolnictwem i jako się ojciec bronił od napaści ludzkiej. Na św. Michał miał zapłacić podstarościemu 100 złotych i już go mieli zaniechać i zostawić spokojnie jak na dziedzictwie. Termin dawno minął, ojciec przepadł bez śladu, o owej konfirmacji, którą król obiecał w Janowie, ani słyhać było – owo zguba nasza ostateczna. Kazano nam wynosić się z naszej własnej majątności, gwałtem nas wyrzucono. Matka się broniła, wołała pomocy boskiej i ludzkiej, biegała, biedna, na zamek samborski, błagała, na progu się kładła, wzywała pomsty niebieskiej na krzywdzicieli

sierót, na tych zbójów nieludzkich i wydzierców cudzej pracy, że lepszych po szubienicach wieszają – nie pomogło nic, tak od razu, za jednym rozmachem, z dziś na jutro, w dziady nas obrócono. Jam już był otrok duży i gdyby po mojej woli szło, byłbym siekierą ojcowskiego chleba bronił, z łuku Semenowego strzelał, podstarościego i hajduka Kajdasza pewno zabił i sam się zabić dał – ale matka broniła mi tego: «nie pomożesz – mówi – a siebie i mnie zgubisz».

Tak to znieść musieliśmy. Ale mnie się zdało, że jadłowitą zmięję połknął i pod sercem ją jeszcze żywą noszę, bo i serce, i duszę miałem zatrute; na niebom patrzył, czy się nie rozewrze i czy ognisty piorun z niego nie padnie na głowy tych zbójów; zrozumieć nie mogłem, że słońko nie gaśnie nad takim światem, na którym sprawiedliwości nie ma i pomsty na zło-czyńców.

A Bóg gdzie? a król gdzie? Bóg jest wiekuisty i tajne są Jego wyroki, sprawiedliwość Jego może być nie z tego świata, Jego pomsta znajdzie grzesznika i poza ziemskim żywotem; Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Ale król gdzie? Jego majestat jest z tego świata, jego moc jest ziemską, on taki śmiertelny, jako i ja, chłopiec mizerny – on powinien być rychliwy w sprawiedliwości swojej, bo tylko tu na ziemi sądzić i karać może, a po śmierci sam sądzon i karan będzie.

Kiedy ojciec mój opowiadał, jako mu król Zygmunt w Janowie obiecał konfirmację sołtstwa i jako go swoim królewskim furmanem – *auriga regius* – mianował, to ja był pewny, że już nie ma takiej mocy ludzkiej na świecie, co by na nasze dziedzictwo godzić śmiała. A tu ani hetman żaden, ani wojewoda, ale podstarości i sługa hajduk okazali tego!

Gdybym był królem, tobym jeździł po całej ziemi polskiej, a miał przy sobie wielki hufiec zbrojny, tysiąc takich husarzy, jakich w Samborze widziałem, w stal zakuty, z szumnymi skrzydłami z piór żurawich na barku, że każdy z nich wygląda jak św. Michał Archanioł z ołtarza naszego kościółka, i kazałbym ścinać głowy wszystkim, co mordują sprawiedliwość, tak aby i najmocniejszy truchlał, a radowała się cnota, i każdy ubogi człek bezpiecznie poży-wiał się swoją pracą.

Buntowała się we mnie dusza, żalowałem i wstyd mi było, że nie taki, jak Kozak Semen, co się niczego nie bał i nikogo, ani popa, ani starosty, ani króla, i mawiał, że najlepsze prawo pisze szabla, a kula w łeb to lepsza pieczęć niż pana kanclerzowa, i że lichy to człek, co się o swoją krzywdę nie weźmie. Ale pamiętam także, jako Semen często dumkę jedną śpiewał, a zawsze się w niej powtarzały słowa:

*Terpyty, terpyty,  
Z Bohom sia ne byty!*

Ot, co! Cierpieć, cierpieć, a z Bogiem się nie bić! A ja się będę z Bogiem biły A ja się będę z królem bił? Poczekam, urosnę, nabiorę mocy i rozumu, a wtedy bić się będę, ale ze zły-mi ludźmi tylko, z podstarościm i z Kajdaszem, a może Bóg da, że się na nich krzywdy pom-szczę. A teraz to trzeba bić się z biedą. I tak mi się zdało, jakobym wśród tego nieszczęścia stał się naraz doścignym człowiekiem, a co było we mnie z dziecka, to opadło gdyby kwiecie z jabłoni.

Miły Boże, żeby to wszystko tak rośło, bez słońca, bez rosy, jak bieda rośnie! Ledwie się przez okienko wciśnie, a już ona gospodyni jest w chacie, wszędy wlezie, wszędy zagładnie, z każdego kąta jeno długie zęby do człeka szczyrzy, tak jakoby mówiła: jak zjem wszystko, co masz, to i ciebie zjem! Słońca do chaty nie puści, wesele z niej wygania, za plecyma ci siedzi, ognisko studzi, w nocy sen odbiera, a jak śpisz, to i we śnie zmorą cię dławi, z łokci dziurawych wylazi, z oczu ci świeci, z jednej miski z tobą jada i twoim głodem się pasie, coraz mocniejsza, coraz czarniejsza.

Takiej biedy i my zaznali teraz. Sprowadziła się matka, wczoraj jeszcze sołtysowa i gospodyni dziedziczna, a dziś biedna komornica, do sąsiadki jednej, ubogiej wdowy; mieszkaliśmy tam w ciasnocie i nędzy. Kiedy nas po zbójceku wyrzucono z naszej zagrody, zagrabiono nam cały dobytek gospodarski: krówki; zboże, statek, «bo – rzecze podstarość – bezprawnie na cudzym tu siedzieliście tyle lat, za zaległy czynsz to wszystko pójdzie na skarb królewski».

To, co zabrać pozwolili, to były tylko graty mizerne, szczebrzuch ubogi, świąteczna odzież matki i ojca. Wszystko tośmy pomału sprzedali i zjedli przez zimę, a gdy nadeszła wiosna, trzeba było myśleć o tym, jako żyć dalej. W Podborzu zostać matka nie chciała, bo i zarobku znaleźć tu nie mogła, i zostać niebezpieczno było, bo się hajduk Kajdasz odgrażał, że nas na pańskie wypędzać będzie. A tymczasem on sam, niecnota, sprowadził się do naszego obejścia jakby do własnego dziedzictwa, bo na to też praktyki z podstarościem miał i dla niego to nas wywłaszczono.

Miała matka bliskiego krewniaka w Strzałkowicach pod Samborem, tkacza, do niego się przenieść umyśliła i ja miałem tam zostać i tkactwa się uczyć. Przenieśliśmy się do Strzałkowic, ale mnie tkackie rzemiosło cale się nie podobało i pozwoliła mi matka szukać chleba przy jakiej żupie, bom umiał czytać i pisać, a taki łatwiej przy warzelnii i czechrynach znajdzie zarobek, jako że kwotnicy solni zawsze piszącego do rachunku beczek potrzebują. Po wuju, kantorze Walentym, zostało nam trochę odzieży i mała książeczka do modlitwy, a była to *Offfcium, czyli Godzinki do Anioła Stróża*. To była wyprawa moja cała! zrobiłem węzełek, pożegnałem się z matką z wielkim jej płaczem i moim, a tak z kosturkiem w rękę, z węzełkiem na plecach, z jednym złotym samymi groszami w mieszku i z *Godzinkami do Anioła Stróża* w kieszeni, ruszyłem w świat Boży. Łuk Semenowy i łubie ze strzałami, że mi matka broniła brać ze sobą, «bo – mówi – jako Tatar pójdiesz i jeszcze napaści sobie jakiej przydybiesz», wyniosłem był już przedtem daleko za chatę ukradkiem i wždy go z sobą wziąłem, na troczkach łykowych dobrze uwiązawszy przez ramię; w czym, choć nieposłuszny byłem matce, przecież, jako się pokaże, słuszna rzecz była, bo owo potem w potrzebie jako przyjaciel mi stanął.

Miałem iść do Soli pod Dobromilem, bo tam była duża warzelnia, ale zamiast wziąć się tam prostą drogą, umyśliłem pójść przedtem do Podborza, a to z tej przyczyny, że skoro miałem, kto wie na jak długo, porzucić te strony, chciałem jeszcze raz być na «Semenowej polanie», bo tak sobie ją nazwałem, drogę do niej przez las raz jeszcze wbić w pamięć, miejsce ono tajemne opatrzyć, a także i ludziom podborskim powiedzieć, gdzie mnie znaleźć będzie można, gdyby kto o mnie pytał. A miałem w tym Semena na myśli, bo nuż wróci albo wiernika swego przyszle, to jak się mnie dopytać?

We wsi mnie powitano jak dziada, z podrównkami i urąganiem. Poznałem, jaki to bieda gorzki chleb piecze. Co kogo pozdrowię grzecznie, po ludzku, z uchyleniem kapelusza: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!» – a on do mnie na to:

– Ehe! Hanusik, pan sołtysi! A co ty po sołtystwo twoje przyszedł?

– Z łukiem idzie – mówi inny – zbrojno, hej? Sołtystwa dobywać będzie!

Nigdy ja tego rozumieć nie mógł, dlaczego się ludzie cieszą z cudzej biedy i nieszczęścia, nawet kiedy takiego trafi, co ci nie był wrogiem, a owszem czasami dobroć tobie świadczył; dlaczego właśnie tacy, co ich bieda trzęsie, najbardziej radzi, kiedy i drugich za łeb weźmie? A z czegoż tu uciecha? Jakaś ty biedny, a drudzy także zbiednieją, toś ty przez to nie bogatszy, owszem biedniejszy jeszcze, bo ano kto cię wspomóż, kto ci da zarobić, przy kim się zawieszysz? To właśnie tak, jak gdyby cieszył się ślepiec, że owo inni, co koło niego byli, także cale poślepli – a któż go będzie wodził, kto mu da łyżkę do ręki i bodaj wody poda?

Spotkałem nareście jedną dobrą duszę, kulawego Matyska, co u nieboszczyka wuja kantora służył, a teraz przy plebanii wisiał, za samą strawę bez przyodziewka. Ciekawy był bardzo

chłopiec, ten Matysek, i do wszystkiego sprytny. Na skrzypcach dobrze grywał, przeróżne piosenki śpiewać umiał – i ksiądz pleban zwał go rybałem, a za księdzem i ludzie, bo po weselach z skrzypcami chodził, po kolędach biegał, mięsopustne maskary robić umiał i fraszki wesołe wyprawiał. Nieboszczyk wuj czytać go i pisać po trosze nauczył, ale że bieda nie wystraszy abecadłem, a Matysek był ubogi sierota, tedy poszturkiwał nim, kto chciał, a kiedy nas wypędzono z wolnictwa, tedy on stracił ostatniego przyjaciela i ostatni ratunek, bom ja go bardzo lubił, a matka zawsze go spomagała, jako mogła.

– A co u was słyhać, Matysku? – pytam go.

– A co by słyhać miało? – odpowiada – psy słyhać, jak szczekają, i ludzi, jak płaczą.

– A tobie jako się dzieje?

– Tak się dzieje, że ani się odzieję, ani się nadzieję, a mam tylko nadzieję, że się raz przecie gdzieś stąd podzieję, bo tu w Podborzu już nikt nie wytrzyma. A wy co robicie teraz z matką, Hanusik?

– Widzisz, Matysku, tyś pierwszy, co tu ze mną po ludzku gadasz, a inni mnie jako powsinogę witali. Taki ja dzisiaj biedny, jako i ty, to nami gardzą.

– Ej, co tam – rzecze Matysek – wszyscyśmy ludzie, tylko ksiądz pleban człowiek! Gardzą, nie gardzą, a ja sobie pan. Bom ja królewicz niebieski, tak jako i ty.

– A, pleciesz, Matysku, pleciesz! – mówię ja śmiejąc się.

– Albo nie tak? Jużci, że wierę tak. Ksiądz pleban co niedziela obiecuje mi z ambony królestwo niebieskie po śmierci, a to nim to królestwo posiądę, tom ja za życia jest królewicz.

– Żart żartem, ale go już dosyć, Matysku – mówię na to – powiedzże mi bez żartów, co u was słyhać?

– «Im dalej, tym gorzej – mówiła baba, jak leciała z dachu». Co by słyhać? Bieda i zniszczenie ludzkie. Podstarości ludziom coraz cięższy, że już jeden i drugi przemyśliwa, jak grunt porzucić i gdzieś na dalekie Podole wykoczować, a hajduk Kajdasz w waszej chacie siedzi, na ławie przed wrotami w słońcu się wygrzewa jak wieprz, jeno czarnym łbem potrząsa i długie wąsiska kręci, słoninę wędzoną je i piwo łyka, a brzuch mu rośnie i rośnie, że jeno daj Boże, aby się wrychle rozpekł. Teraz nowe zniszczenie wymyślili, pędzą ludzi do lasu, budy robią, będą popioły palić.

– A co to są budy i na co popioły palić będą? – pytam Matyska.

– Tom i ja przedtem nie wiedział, co to za rzecz, dopiero teraz pierwszy raz widzę. Przyjechali kupcy ze Lwowa, same Niemcy, starszy między nimi Hayder się zowie, zakupili u pana starosty Koniecpolskiego wolność na budy w lesie. Będą rąbać drzewa, kopać piece, układać stosami, a potem palić popioły, ługować i robić z tego potaż, a ten potaż powiozą na spław na Jarosław do Sanu, a Sanem do Wisły, a Wisłą, hen, daleko, do samego Gdańska. Już zaczęli w kilkanaście siekier; Kajdasz z harapem plecionym chodzi, trzaska nim i wrzeszczy, ubogi ludek do lasu pędzi.

– A w którymże to miejscu?

– Widzisz tam – pokazał palcem Matysek, prowadząc mnie na pagórek.

– Masz tobie – pomyślałem w duchu, bo Matysek właśnie w tę stronę pokazywał, kędy my z Semenem przebierali się nocą do polanki – a nuż i tam trafią!

Ale nie pokazywałem tego przed Matyskiem, jeno mówię dalej:

– Mój Matysku, mam ja do ciebie prośbę; wiem, żeś ty dobra dusza i zawsze nam był życzliwy. Trafić się może, że tu o mnie albo o matkę pytać się będą; może o ojcu jaka wieść przyjdzie, może i sam ojciec jeszcze wróci – kto wie, Bóg miłosierny i dziwnie się zdarza na świecie; może też ze Lwowa od Ormian przyjdzie jakie pisanie, może od Kozaka Semena ktoś mnie szukać będzie, bo ja mam jeszcze jego kobzę u siebie – tedy abyś o tym wiedział i wszystkim mówił, że matka moja jest w Strzałkowicach u tkacza Sebastiana, a ja będę w Soli, przy żupie na robocie. Może i pan Serebkiewicz, co ojcu tę niegodziwą furmankę naraił, przekazywać co będzie, a może i z zamku co przyjdzie...



– A może i Król Jegomość dopytywać się o ciebie będzie – rzecze, żartując znowu Matysek – a co jemu powiedzieć?

– Może i sam Król Jegomość – odpowiem, obracając żart w prawdę – co wiedzieć? bo przecież obiecał ojcu dać konfirmację na sołtystwo. Boże mój, Boże, a nużby królewski dekret przyszedł!

– A ma ten dekret nogi? – pyta Matysek – bo jak nie ma, to sam nie przyjdzie.

– Matysku – rzekę, już zły – takiś wykrętniczek, że gadać szkoda do ciebie. Ja do ostatniej nędzy przyszedł, serce mi się pada od żalości, a ty sobie jeno śmieszki stroisz!

– «Czart swoje, a baba swoje», jak mówią Rusini – odpowiada Matysek, ale masz wiedzieć, że ja tak nie z swawoli tylko mówię. Widzisz, bo ja się na tym nie znam, ale podsłuchałem, jak ksiądz pleban i pan chorąży o konfirmacjach mówili. Albo ty wiesz, czy król dał dekret, czy nie dał? A może dał, to i tak tobie z tego piskorz, skoro o nim nie wiesz. Po konfirmację albo trzeba iść do kancelarii królewskiej, albo trzeba wiedzieć, kędy ją wysłano, na czyje ręce. Król do was przez osobne posły dekretu nie wyprawi; albo dekret czeka w Krakowie na was, a wtedy nic sobie z tego nie robi, że ty na niego czekasz w Podborzu, albo już wysłany jest z Krakowa, a wtedy poszedł na zamek samborski a z zamku dopiero do Podborza pojsć by mu potrzeba, aby się wam dostał!

– To się nam nigdy nie dostanie! – wołam ja teraz, bo Matysek słowami swoimi jakby mi świeczkę zapalił w ciemności.

– «Mądrej głowie dość dwie słowie, a obuchem w łeb!» – rzecze Matysek.

– Jeżeli dekret przyszedł na zamek, to z zamku tylko przez ręce podstarościego albo Kajdasza mógł być przyjść do nas! Jakżeby oni go nie ukryli!

– Król z dekretem, a Kajdasz z muszkietem – mówi na to Matysek. – A teraz zostań zdrów, Hanusik! Na plebanii pewnie już pochrypli od wołania: «Matys! Matys! A gdzieżeś to, psianogo!» Ani mnie to minie, że wezmę po uszach! Jak co zobaczę, jak co usłyszę, aby co ważnego a dobrego, to choćby do Soli posztykulam do ciebie, choćmiem chromy, boście wy dla mnie zawsze dobrzy byli, i ty, i Markowa! Hej, hej, żebyście to wy na sołtystwo wrócili! A tobym ja rad zagrał Kajdaszowi na waletę ot, na tę nutę:

*Żegnaj cię pies, żegnaj cię pies, Cyganku!  
Witaj cię bies, witaj cię bies, Cyganku!*

I Matysek odszedł śpiewający. Jak mnie zostawił, tak długą chwilę stałem na miejscu, rozmyślając nad tym, co mi powiedział. Co teraz robić? A nuż dekret królewski dla ojca już był albo jest, albo niebawem będzie, jakże o tym wiedzieć? jako go dostać? Czy z kancelarii królewskiej, do której mnie, biednemu, jakże trafić? czy z zamku, co jeszcze gorzej, bo go ci niecnotliwi ludzie zatrzymają, ukryją, zdrapią! Iśćże teraz w świat za zarobkiem czy zostać i dekretu królewskiego patrzeć?

Tak mi kołatały myśli w głowie, a tymczasem wszedłem w las, kierując się ku polanie, na miejsce, gdzie Semen zakopał tę swoją tajemniczą rzecz, o której ja nie wiedziałem, co zaczęła być, a na którą trafić mogą ludzie, co w lesie piece kopać i popioły palić będą.

Pamiętałem dobrze każdy znak, z łatwością się rozpoznałem, ale jeszcze dość daleko było od Semenowej polany, a już słyszę: bach! bach! bach! wałą chłopcy siekierami, a las jakby gadać umiał, bach! bach! bach! milami odpowiada, że wyraźnie się zda, jakżeby drzewa ze strachu na siebie wołały.

Przychodzę na samo miejsce, patrzę i oczom nie wierzę: na polanie, o której Semen myślał, że tam chyba wilk czasem zabłądzi, roi się od ludzi, stoją szalasy z gałęzi i wózki, leżą wszędzie topory, piły, rydło, sznury, drabiny. Masz tobie tajemnicę! Zachodzę w głowę, jak ci ludzie tu się dostali, bom po drodze nigdzie śladu nogi ludzkiej nie widział; idę między nich,

jakobym także do roboty należał, i rozglądam się na wszystkie strony, aby obaczyć, któredy wszystko to przywędrowało na polanę.

Niedługo było szukać. Nie ma co mówić: Semen niegłupi, to prawda, ale tym razem kozackiego rozumu nie pokazał. Nie znał tutejszych lasów, tak jak i ja ich nie znał, wziął się do lasu z tej strony z której do polany było i bardzo daleko, i bardzo ciężko, tedy myślał, że to właśnie głąb puszczy i sam koniec świata, a nie wiedział, że z innego końca brzeg lasu był blisko, a droga całe łatwa, bo równa i gładka, że jeno drzewa wyciąć a furą na polanę zajedziesz.

Rozglądam się teraz jeszcze baczniej po ludziach i narzędziach; widzę: od onej skały, a to właśnie od rozpadliny prosto, jakby strzelił, co krok prawie kołek po kołku wbity w ziemię i kto wie czy który z nich nie siedzi na samym dziewiątym kroku. Podszedłem do jednego z chłopów i pytam, na co te kołki powbijane.

– Tu się będzie kopać – odpowiada.

– A kiedyż zaczniecie?

– Może dzisiaj, ale najpewniej, że aż jutro, bo czekamy na tych Niemców ze Lwowa, a jakoś ich nie widać – rzecze chłop.

By mi obuchem po głowie dał, tak by mnie nie ogłuszył, jak tą wieścią. Poszedłem z polany w las, bom nie chciał, aby mnie jacy znajomi ludzie widzieli, ale niedaleko, tak że co się tam działo, spoza drzew dobrze widzieć mogłem.

Siadłem na mchu, podparłem głowę rękami i tak siedziałem długo, a płakać mi się chciało, żem już teraz na to wszystko głupi i rady żadnej nie widzę. Bo a co robić? Zrobił mnie Semen stróżem i wiernikiem swoim, pod przysięgą i kłutwą mnie zostawił; onej rzeczy zakopanej ruszyć mi nie wolno, ale patrzeć na to spokojnie nie mogę przecie, jak ją inni znajdują, ruszą i zabiorą. Wiedzieć o tym, a nie radzić i nie ratować, to przecie będzie także zdrada i złamanie przysięgi. Główna rzecz na tym, aby Semen miał to, co zakopał; jeżeli ja wykopię, to mu tego święcie dochowam i gardło prędzej dam, niżeli dopuszczę, aby wzięte było. Ale jakby zrobić? Trzeba doczekać nocy; jak ludzie pójdą z polany, wezmę się do roboty, byle jeszcze za dnia sami kopać nie zaczęli.

Tak tedy siedzę w ukryciu, czekam i czuwam. Słońce już się dobrze chylić zaczęło, las się nurzał w mrocznym cieniu, choć za lasem jeszcze dzień być musiał, kiedy rąbanie ustało i widzę, że chłopcy zabierają się do domu. Poszli wszyscy, jeden tylko został, pewnie dla wartowania narzędzi. Z jednym to już łączniej – myślę – ale przecie zawsze ciężko, bo go przecie nie przemożę ani ubiję, tedy ciemnej nocy czekać będę musiał i uważać, kiedy zaśpi.

Nie spuszczam tego wartownika z oka, prosząc Boga, żeby mu się też wrychle spać zachciało. On się po trosze kręcił po polanie, zaczął składać do kupy zaniechane narzędzia, ale przestał; nasłuchiwał, jakby kogoś wyglądał, może swojej kobiety, która mu wieczere przynieść miała, świsnął też parę razy jakby na psa, pomyślał chwilę, a w końcu zarzucił płótniankę na plecy i poszedł.

Polana była pusta. Jakaś chwilę jeszcze przeczekałem, czy nie wróci, a widząc, że go już nigdzie wśród drzew nie widać, wyszedłem z ukrycia, chwyciłem rydel i z pukającym sercem wziąłem się do roboty. Tak jak mnie Semen uczył, odmierzyłem dziewięć kroków, ukląknęłam, naznaczyłem sobie miejsce od kolana, powstałem i nuż kopać. Już się ani oglądałam, ani nasłuchiwałam, czy też kto nie idzie; na nic by się to było zdało, bo mi od tego strachu i wzruszenia oczy i uszy zastąpiło i tylko mi brzęczało w głowie jakby w ulu.

Niedługom kopał; ledwo kilkanaście razy rydlem ziemię wyrzuciłem, trafiłem na coś twardego. Był to duży czerep z garnka. Odrzuć go na bok i widzę drugi czerep taki sam, a na nim mieszek skórzany, taki mały, że go w garść snadno wziąć, czerwonym sznurkiem zawiązany i dokoła dobrze opleciony. Schowałem go szybko w zanadrze, a miałem na sobie sukmankę karazjową, jak ją u nas noszą na wsi, i chcę patrzeć, czy nie ma jeszcze czego więcej, kiedy nagle czuję, jak mnie ktoś chwyta za kołnierz i słyszę za sobą wołanie:

– A, ty ż ł o d e j u, co ty k o p a s z!

Struchlałem i zdało mi się, że dusza ze mnie wyskoczy! Już mi się nie potrzebowało oglądać, kto to taki, bo po głosie i po tych słowach z węgierska powiedzianych poznałem, że to hajduk Kajdasz!

Chwileczkę to jakoby skamieniał, ale tylko chwileczkę, bo kiedy raz wiedział, że to Kajdasz, wróg, rozbójnik, złodziej naszego chleba, taki we mnie duch pomsty wstąpił, takie gorąco serce mi oblało, na taką odwagę, a raczej na taką wściekłość mi się wzięło, że byłbym się dał poszarpać w kawałki, a nie uciekał przed nim.

Porwę się na nogi i szarpnę z całej mocy, a on mnie za kark trzyma, jakby żelaznymi kleszczami chwycił, ku ziemi mnie gniecie. Tedy chwycę oburącz rydel i jak nim nie machnę z całej siły poza siebie, tak na ślepo, nie wiedząc, w co ugodzę, czy w łeb, czy w ramię, czy w nogi hajduka – tak jeno usłyszę jęk i uczuję, że mnie ręka puściła, a Kajdasz buch! na ziemię.

Skoczę tedy naprzód i obracam się do Kajdasza, a trzymam rydel obiema rękami, gotów się bronić aż do śmierci, i widzę, że Kajdasz leży na ziemi, a krew mu z głowy ciurkiem ciecze, a koło niego stoi podstarość Bałczyński i jeszcze jakiś człek wysoki, rudy, z cudzoziemską ubraną, w łosiowym kabacie i z mieczykiem przy boku, pewno jeden z tych Niemców lwowskich. Niemiec ten nie ruszał się z miejsca, tylko we mnie oczyma jakby strzelił, tak ostro i przenikliwie spojrział – zaś podstarość z czekaniem żelaznym na mnie sady a:

– Bij! zabij! – woła.

Umknąłem głowy przed czekaniem w sam czas, bo podstarość omal mnie nie ugodził ostrym nadziakiem, a wtedy pewno bym się był z tego nie wybiegał z życiem. Jedyne moje ratunek był w ucieczce, toteż jeno tyle mnie Bałczyński widział, co mu było trzeba na rozplatanie głowy, gdyby czekanie jego było nie chybił – skoczyłem w las, uciekając, ile mi siły i tchu stawało. Słyszałem tylko wołanie: «Łapaj, łapaj!», ale coraz dalsze i słabsze, aż całkiem umilkło w głuszy leśnej.

Padłem na ziemię jak nieżywy od srogiego zmęczenia, a snadź musiałem całkiem omdleć, bo nie wiedziałem o sobie, tak jakbym od życia i od wszelkiej pamięci odszedł. Gdy się nareście ocknąłem wśród szumu drzew, ogarnięty ciemnością nocy, nie wiedziałem zrazu, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i dopiero po chwili stanęło mi wszystko przed oczyma, co zaszło na polanie.

Pomacałem zanadto, czy ów wykopany mieszek mam jeszcze, a przekonawszy się, że mam, prawie nie żałowałem już mego węzła z świąteczną odzieżą i z butami, który został na polance, lubo to był cały mój majątek, i zasnąłem smacznie jakoby na najmniejszej pościeli.

## V

### PRZYGODA Z TATARAMI

Kiedy się obudziłem, już dzień się robił, a równo z poranną zorzą i w mojej biednej głowie świtać zaczęło, i teraz mi jasno było, com narobił i na jakie nieszczęście samego siebie przywiodłem. Zmówiłem pacierz z uciśnionym sercem i jąłem rozmyślać nad dolą swoją opłakaną, a czym więcej myślałem, tym większa trwoga mnie brała, co ja pocznę teraz i na jaki koniec mi przyjdzie?

– Obacze się, nieboże – tak sobie powiadałem w myślach – jako teraz wisisz i co cię czeka? Zabiłeś Kajdasza; widziano cię, jak wykopałeś skarb Semena. Semen zabił Żyda, tyś zabił hajduka; obaście złoczyńcy, obaście mordercy, a co rzecz gorsza, obaście wspólnicy i ratownictwa, i zabójstwa, bo każde dziecko w Podtorzu wie, żeście byli przyjaciele. Semena już wywołano i poszły za nim listy i do grodów, i do miast, i do żołnierskich stacyj; pójdą teraz listy i za tobą wszędy, a co będzie, jak cię złapią, a pewno złapią, bo gdzie ty ucieczesz, świata i ludzi niewiadom? Do ciemnego lochu najpierw cię rzuca, potem na męki cię wezmą, a na końcu albo powieszą, albo kat mieczem głowę ci zetnie, a może cię i poćwiartują w Samborze na rynku, tak jak mi to opowiadał ojciec o onym siewcu felsztyńskim, co kościół okradł i organistę zabił, kiedy go ten pojmać chciał. A dokądże teraz pójdziesz i gdzie głowę skłonisz? Do Podborza nie wrócisz ani do matki, ani na robotę do Soli nie pojedziesz, boś już rozgadać kazał Matysowi, żeby cię tam szukano, i wiedzą już o tym wszyscy.

Sroga mnie rozpacz ogarniała, gdym tak wszystko rozważał, a już najbardziej, kiedym pomyślał o matce i jako jej serce pękać będzie od żalości, zem się w złodzieja i mordercę obrócił i zem już dla niej umarł, bo choć mnie nie złapią i nie stracą, to i tak mnie przecie nie obaczy. Czy to nie lepiej, abym się sam obwiesił w lesie na pierwszej suchej gałęzi?

Ale po dobrej chwili, kiedym się tego strachu i tych trapiących myśli dobrze najadł, że mi się od nich aż serce wywracało, dał mi Bóg znowu i jakąkolwiek pociechę, bo tak to już jest po staremu w człowieku, że znajdzie w sobie samym i truciznę, i lek na nią, i z swojej własnej duszy, jakby z jednej i tej samej krynicy, i gorzkości, i słodkości się napije, a skąd szła trwoga, stąd naraz i odwaga rośnie.

Albom ja naprawdę taki złoczyńca? Albom ja co z niecnotliwej pobudki uczynił, z chciwości, z okrutnego serca? Jeżeli zabił Kajdasza, to go ja przecie zabić nie chciał, jeno siebie obronić, bo kto wie czyby mnie na śmierć nie był skatował zły ten człowiek i co by mnie było czekało – a i tak jeszcze nie całkiem o własną skórę mi szło, ale także o ten sekret Semenowy, o tę tajemną rzecz zakopaną, na którą mu wierność przysiągłem. Tom ja może teraz przed ludźmi złoczyńca, ale przed własnym sumieniem to nie, Bóg widzi. I gdybym teraz przed matką stanął, mógłbym jej w oczy śmiało spojrzeć i za złoczyńcę by mnie pewno nie miała.

Kiedy mi tak nieco serca przyrosło, już mi się i głusza leśna taką straszną nie zdała, i jutro nie takie czarne, chociaż to rzecz pewna była, że mnie los rzucił w świat jak kamień z procy i że czułem jako lecę, a nie wiem, gdzie spadnę. Teraz trzeba było myśleć o najbliższych kłopotach: jak się z tego lasu bezpiecznie wydobyć, w którą stronę iść, kędy ludzi szukać i chleba. A co z wykopany mieszkiem zrobić? Wyjąłem go z zanadrza – rzecz mała, leciuchna, a owo gniecie mi głowę, jakby za cały łaszt ważyła.

Nie miałem dotąd czasu obaczyć dobrze, co to jest, teraz dopiero przyglądnę się temu. Patrzę: mieszek mały z miękkiej skóry, co ją leszem zowią, jedwabnym sznurkiem czerwonym okręcony, a w tym mieszku coś twardego, krągłego, jakby jaje. Myślę jakiś czas: rozwiązać mieszek czy nie – i nie wiem, czy mi to wolno i czy nie złamię przysięgi. Ale przecie nie dla ciekawości to uczynię, jeno ostrożność sama każe, abym wiedział, jako to chować, jako nosić, aby nie stłuc, jeśli to kruche, nie popsować, jeśli wątłe.

Z nieśmiałością rozwiążę sznurek, prawie że ze strachem, jakoby tam żmija żywa siedziała; popatrzę, a w mieszku wyraźnie czarne jaje! Biorę do ręki, widzę, że z żelaza, ale nie takie ciężkie, jakby być musiało, gdyby było lane i całe mięzsze. Śledzę tedy bliżej i widzę, że z jednej strony tego żelaznego jaja są zawiaski, a z drugiej maleńki zameczek, bardzo snadź misterny, bo oczko w nim do klucza takie małe, jak ziarenko pszenicy. Miarkuję tedy, że to żelazne jaje jest jeno olsterkiem, czyli puszką zamkniętą, która mieści coś w sobie, co zostanie dla mnie tajemnicą, bo kluczyka w mieszku nie było.

Jam był rad z tego, bo ciekawość ludzka, a dopieroż kiedy młoda, zawsze gotowa wieść w pokuszenie i co wiedzieć, czy znalazłszy kluczyk, nie byłbym otworzył tego olsterka, a przez to może nabawił się niepokoju i wyrzutu sumienia, żem złamał przysięgę, bo kiedy Semen nie chciał mi powiedzieć, co za rzecz jest, którą zakopał, to snadź nie chciał, aby je kiedykolwiek oko moje oglądało. Niechże sobie to skryte lichy siedzi, gdzie je zamknięto; dość dla mnie wiedzieć, że to czarne jaje ani się stłucze, ani popsowa i nosić je mogę w kieszeni, jako chcę.

Ale przecież, choć takie małe i lekkie i do schowania łacne, za cetnar mi ważyło to czarne olsterko, żem z nim niepewien był samego siebie ani wolności mojej i zdrowia, bo jak tego nie zgubić, jak się nie zdradzić, jak się opowiedzieć, kiedy mnie gdzie trząść będą, chudego pachółka, a oto całe nietrudno, bo biednemu napaści i złej przygody długo nie szukać. Jakoż było mi z tym jak z kradzionym złotem albo ze złym sumieniem, a tak na mnie niewinnym jakby na złodzieju bezustawnie czapka gorzała.

Ruszyłem w drogę tą ciemną, głuchą puszcza, bo trzeba wiedzieć, że w owym czasie lasy, jak się poczynały od Sambora, tak się ciągnęły całymi milami w różne strony, jako się już raz przedtem rzekło, i jeszcze ich było nie naruszono, jako to później czasu żywota mego się stało, że panowie srodze rąbać, trzebić a palić lasy poczęli, to na klepki, to na wanczosity, to na maszty okrętowe, to na popioły i potaż, aby to spławiać na handel Niemcom, tak że można było powiedzieć, iż całe lasy z polskiej ziemi spłynęły Wisłą ku Gdańskowi. Tyle mnie Kozak Semen nauczył, żem przebijając się przez las nie gubił się i nie kołował, jak to się zdarza niebaczemu, że w takim borze błąka się tam i sam, wracając, skąd iść zaczął, ale szedłem zawsze statecznie w jednym kierunku ku wschodowi, choć wiedzieć nie mogłem, gdzie mnie ta droga zawiedzie.

Tak cały niemal Boży dzień szedłem, nie odpoczywając jak tylko krótko i z rzadka, bom się chciał jako najrychlej oddalić od tego przekłętogo miejsca, gdzie Kajdasza zabił, a byłem wtenczas pewien, żem go wierutnie zabił. Obdarłem i obszarpałem sobie odzież, pokaleczyłem boscie nogi, ale nie bacząc ani na głód, ani na ból, ani na srogie umęczenie, przebieierałem się coraz dalej, nie widząc temu końca, bo już pewnie dobrze było z południa, a ani się las przede mną nie prześwietlał, ani też śladu w nim ludzkiego nie spotkałem. Już z głodu i znużenia przymierałem i rozpacz mnie brała, że mi tu chyba marnie zginąć przyjdzie, kiedy owo slysze naraz jakby głosy ludzkie niedaleko przed sobą.

Pierwsza moja myśl była, że to może zbójcy, o jakich od dziecka nasłuchałem się najrozmaitszych strasznych baśni, jako po lasach koczują i łupy zrabowane między sobą dzielą, a zawsze ich bywa dwunastu, a herszt trzynasty. Ostrożnie i pomału idę dalej i spoza drzew widzę niedużą polankę leśną, a na niej gromadkę ludzi, a wszyscy z miejska ubrani i żaden z nich na zbója nie wygląda, Całą noc i cały dzień blisko samotny spędziłem w dzikości leśnej, tedy rad byłem, że widzę twarze ludzkie, ale nieśmiałość mnie brała, że to miastowi, a nie

wiejszy, bom ja z miastowymi jeszcze nie bywał. Wychodzę na polankę i zdejmując czapczyne, grzecznie mówię:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Snadź nikt nie zasłyszał mnie z dala i nikt się z tej strony, od samej gąszczy, gościa nie spodziewał, bo się wszyscy aż poderwali z ziemi; jakby nastraszeni, i nikt mi nawet nie odpowiedział na to pozdrowienie chrześcijańskie. Zdało mi się, że nie mam co robić między nimi, biedny prostak, i już nawet nie patrząc na nich, chcę ich minąć i iść dalej w las, kiedy słyszę, jak jeden z nich woła:

– Hejże, hola, panie arkuariusz!...

Nie słyszałem nigdy tego słowa, nie rzekę tedy nic, a idę dalej.

– Hejże, a kędy to? – woła na mnie ten sam głos – od Tatarów czy na Tatary?

Oglądam się, a ten, co to mówi, to, widzę, chłopak mniejszy ode mnie, może ma lat czternaście, ubrany z miejska, ale w wytartym i połatanym nieco giermaczku, w czapce pilśniowej z junacka brożkiem na ucho zasadzonej i z kogucim piórem na niej. Twarz ma szczerą i przyjemną, oczy ciekawe, śmieje się do mnie i drwiąco patrzy na mój łuk, sterczący od ramienia.

– Anim Tatar, ani arkuariusz żaden – mówię temu wyrostkowi, bo mi już markotno było, że sobie ze mnie śmieszki chce stroić.

– *Arcuarius* albo łucznic – rzecze ten wyrostek – «Gre, gre, gre, Gregory, idźże chłopie do szkoły», kiedy nie umiesz po łacinie.

Ja miarkuję, że to frant i rady mu gębą nie dam, bo mnie głodnemu i zmęczonemu raczej do płaczu było niż do żartów, więc chcę mu ująć z drogi, a widząc dopiero teraz, że z jednej strony przez drzewa światło już dobrze bije i że tedy pewnie blisko w czyste pole się dostać, ku tej to stronie rażno się biore.

– Stójże, człowieku! – woła znowu ów wyrostek z kogucim piórem przy czapce i skoczywszy z miejsca; chwyta mnie za ramię. – Na Boga żywego, czy ty się chcesz dostać w tatarskie łyka? Pilno ci w Dzikie Pola, do Krymu?

Za tym chłopcem ruszyli się i ci wszyscy, co byli na polanie, i wołają:

– Nie rusz się, zostań! Licho cię bierz samego, ale jak z lasu łeb wystawisz, to drogę im do nas ukazesz, bierz ciebie kat!

Tak na mnie wrzeszczą, a wszyscy naraz, że ani zrozumieć, czego chcą, aż ów wyrostek do nich:

– Ukażecie wy to lepiej krzykiem swoim aniżeli on! Taki czynicie wrzask, że ano dziw był, żeby Tatarowie tego nie słyszeli, chociażby już u siebie doma na Perekopie byli!

Zaraz się cicho zrobiło, żeby mak siał, a osobliwie jeden, co tak strasznie i mężnie patrzył, że owo przysiąc by, iż Tatary żywe jakby orzechy zęboma gryźć będzie, człek z dużymi wąsiskami, szpiczastą brodą i przy zardzewiałej szabli u boku, osobliwie ten jeden jak chusta pobladł i siadł pokornie na murawę, trzęsąc się ze strachu.

– Żeby my to wszyscy na wojnach bywali – rzecze teraz ów bystry chłopak z kogucim piórem, a oczy jeno mu się śmieją – jako owo pan Grygier, i taki miecz na karkach pogan i nieprzyjaciół Korony Polskiej srodze poszczerbiony przy boku mieli, tobym ja był całe spokojny; moglibyście krzyczeć, jako chcecie. A co, panie Grygier, wy się pewno Tatarów nie boicie?

– Ja bym się miał bać? – zawoła teraz ten człek ze szpiczastą brodą i nadyma się, i wąsy kręci, i znowu straszno dokoła patrzy, że mu się jeno oczy przewracają, a przy tym chrapie jak lew. Albo mnie to nowina Tatary! Chrrry! Niechaj się jeno który pokaże! Chrrry!! – i to mówiąc uderzył po szabli.

– Kto by to rzekł – prawi dalej ów ciekawy wyrostek, który mi się coraz bardziej podobał – że ten rycerski człek, pan Grygier, do krawieckiego cechu należy! Taka hetmańska dusza, a owo igłą zabawiać się musi i nożycami! Panie Grygier, a na chocimskiej ile Turków zabiliście?

– Kat by ich tam rachował, chrrry! – rzecze pan Grygier ze srogim spojrzeniem – ale gdyby każdy z tych, co tam byli, tak samo sobie poczynał, jak ja, do jednej łapy bylibyśmy to poğanstwo wysiekli! Chrrry!

Wyrostek z kogucim piórkiem mrugnął na mnie, a że to w młodości swawolnik swawolnika zawsze snadno odgadnie i do psoty jest skory, tedy ja zrywam się z siedzenia i udając przestraszonych, mówię:

– A co tam za nami rucha się między drzewy!

Ledwie to powiedział, a tu pan Grygier aż się w małą kupkę cały zapadł, od razu z rycerza baba; trzęsie się i oczyma miłosierdzia prosi.

Zaczęli się wszyscy śmiać, a było na polanie jeszcze dwóch mularczyków i jeden rzemieślniczek grzeczny, który u złotników rabiął, a teraz do Lwowa za robotą szedł. Pan Grygier znowu nasrożył oczy i wąsy po husarsku, potrząsnął swoją szablina i patrząc na mnie z okrutnym marsem, mówi:

– Temu pacholceki zawadzają uszy, chrrry! już ja widzę, że mu zawadzają; wrychle ja mu je poobcinam, chrrry! Kiedyś po staremu tchórz i masz duszę na ramieniu od samego szelestu liści...

– To nie strasz takich rycerzy, jak pan Grygier – skończy za niego ów wesóły chłopak.

– Panie majster, chrrry! co wam tak dzwoniło przed chwilą, czy wasze nożyce, czy zęby?

Zaczął ja teraz być śmielszy i pytam tego ciekawego wyrostka, a jak się potem dowiedziałem, nazywał się Urbanek, czemu tu siedzą i skąd o Tatarach mówić im przyszło. Powiada mi tedy, że się nagle pojawili koło Lwowa Tatarowie na kilka mil dokoła, sioła popalili, siła krwi przelali, łupów moc nabrali, a co najżałośniejsza, pewno jakich kilka tysięcy ludu na łykach w niewolę pognali. Już się ich orda nawróciła, ale jeszcze w małych gromadkach się uwijają i szarpią jeszcze, co się da, jako diabeł na wylocie.

– Ja dla powietrza ze Lwowa wyjechałem z panem Heliaszem, który u pana Spytka jest pierwszym sprawcą, i byliśmy razem stąd niedaleko na wsi. We Lwowie czarna śmierć ludzi codziennie setkami zmiatała; szczególna łaska boska, kto tam w czasie tego morowego powietrza przebywał a żyw został. Powiadają, że 10 000 ludzi wymarło. A u was powietrza nie było?

Było i w naszych stronach powietrze, ale tylko w Samborze i po miejscinach między Żydami; na naszą wieś Bóg łaskaw był; tak nas minęła ta straszliwa klęska, jak czarna chmura gradowa, co jednych tylko postraszy, a na drugich za to z grzmotami się wysypie. Tak też powiadam Urbankowi, a on prawi dalej:

– Dziś rano wyjechaliśmy do Lwowa, bo już tam powietrze ustąpiło, a jechało nas trzech: ja, pan Grygier Niewczas i ten złotniczek Lorenc, co tu z nami siedzi, a po drodze spotkaliśmy obu mularczyków. Pan Heliasz, który mnie z dobrej łaski wziął był z sobą ze Lwowa, a tak pewno od śmierci wybawił, miał zaraz po nas wyjechać drugim wozem. Jedziemy boczną drożyną, strasznie wyboistą, i już niedaleko było do lwowskiego gościńca, kiedy owo pędzi na koniu jakiś dworski służebnik, jakby go sama śmierć gonila, i mija nas wołając: «Uciekajcie, ludzie! Tatarzy idą!» Na to chłop, co nas wioził, zeskoczy z wozu, odpręgnie konie, dosiędzie jednego i uciecze, co tylko szkapa wyskoczy, za onym dworskim, zostawiając wóz w polu i nas na nim. Pan Grygier Niewczas, co ze sławnym Albertusem wart wojować i na chocimskiej potrzebie był, że jest mężnego serca i rycerskich rzeczy świadom, zaraz do lasu ukażał drogę, a my za nim. I teraz tak tu siedzimy. A tak pan Grygier uratował nam życie, bo on to umie doskonale ratować życie, jako i pod Chocimem cudownie je samemu sobie uratował, bacząc pilnie na to:

*...aby tak byt śmiały,  
Jakoby się z wojny zawsze wrócił cały.*

– A czy nie tak było, panie Grygier? – dodał Urbanek i popatrzył na pana Grygiera z wesółym przekwintem.

– A może Tatarów cale nie masz – rzekę ja na to – może to jeno strachy? Pójdę ja z lasu i obaczę.

Jam Tatarów dotąd nie widział, choć od maleńkiego dziecka nasłuchałem się o tej straszliwej chłości Bożej, która nieledwie rok w rok nawiedzała ruskie krainy, że ziemia aż krwią

i łzami ociekała, a lament ludzki szedł lasami i polami i z czerwoną łuną wsi i dworów gorejących wzbijał się ku niebu. Przed trzema laty, zaraz po owej żałośniejszej kłęsce pod Cecorą, gdzie to sławnej pamięci pan hetman Żółkiewski poległ, Tatarzy wielkim zagonem najechali polskie ziemie, a wtedy wpadli i w nasze okolice samborskie, bo aż w Kulczycach byli.

Ojciec mój, który, jako się rzekło przedtem, dużo świata widział i dużo słyszał, pewnie więcej niż niejeden ksiądz lub szlachcic, chociaż był nieuczony, opowiadał wiele o Tatarach, o tych tysiącach biednego chrześcijańskiego narodu, które oni łykami spętane gonili z Polski aż do Krymu, a stamtąd je jako podłe bydło sprzedawali w niewolę Turkom poganom, a sam też furmając do turskiej ziemi, spotykał czasem zabranych biedaków i niekiedy nawet krewnym o nich wiadomość przywoził. Mój wujaszek, nieboszczyk kantor Walenty, sam też śpiewał i mnie nauczył śpiewać żałosną pieśń o Tatarach, którą ja dotąd dobrze pamiętam:

*Serce się kraje patrząc na płacz srogi,  
Bo wszędy pustki, popiół i pożogi,  
Tak ciała leżą; strumieniem krew płynie  
W pastel krainie.*

*Córeczkom miłym przy rodzicach smutnych,  
Ledwie stanęły w ich oczach okrutnych,  
Nie przepuścili ani ich wstydowni,  
Ani stanowi.*

*Drugie w dalekie zaprzędane kraje,  
Opłakiwując pogańskie zwyczaje,  
Psom bisurmańskim ściełą brzydkie łoże,  
Pożal się Boże!*

*Synowie mili także lamentują,  
Ojca ni matki, ni przyjaciół czują,  
W niewolę wzięci na ciężką robotę,  
Wieczną sromotę!*

*Czy nie żal gorzki, kiedy dziatki małe  
Na rzeź prowadzą psie ręce zuchwałe?  
Matki nieszczęsne, gdy na to patrzą,  
Wpół umierają.*

Ale dopiero Kozak Semen na rozum i po prawdzie obznajomił mnie z tymi Tatarzy, o których ja tylko jak o strachach z bajki zawsze truchlejąc myślałem. Bo on ich znał, z nimi bywał, z nimi wojował i nic się ich nie bał, i siłą ich z ojcem swoim pozabijał. Powiadał, że to lud tylko takim straszny, co mu odporu nie dadzą w czas a mężnie, i że tylko w czystym polu, to nacierając, to uciekając, wielką hurmą przewagę biorą, bo jak szarańcza opadają czterema wiatrami od razu, ale byle się kupą, choćby małą, ale zwartą, przeciw nim stawić, już pierzchają, a byle zameczek jaki mizerny, byle zasiłek, byle chruściany zapłotek, a za nim chłop z rusznicą, to Tatar już umyka, że bywało garść Kozaków spoza wałów i wozów, tysiące Tatarów napędzi i do syta się ich nabije. Tak mi tedy znajomi byli ci pogańcy z żywej opowieści, że prawie był rad temu, aby się gdzie za lasem pokazali, i mówię znowuż:

– Wynijdę ja z lasu, a obaczę, co tam na polu.



Chcieli mnie zatrzymać ci mularcykowie wraz z panem Grygierem, alem ich upewnił, że spoza drzew łba nie wychylę i Tatar mnie nie obaczy, a zawsze lepiej, żeby mieli pewność i uspokojenie, bo owo może podaremnie się strachają, a nie ma czego. Tedy mi dano pójść.

Do brzegu lasu było niedaleko; już widać czyste pole głęboko i szeroko. Chowam się za krzakiem i patrzę, a tu przez pola, nie bardzo daleko od lasu, sady gromadka jeźdźców. Jeszcze dzień był dobry, słońce jeszcze się chować nie zaczynało; dobrze ich widzieć było można. Na cale niepoczesnych szkapach, które miały bardzo bujne, a takie długie grzywy i ogony, że prawie do samej ziemi sięgały, siedziały dzikie ludziska niby bestie z czarnymi twarzami, brodate, w czapkach baranich i takichże kozuchach, ale wywróconych kudłami na wierzch, tak że każdy z nich wyglądał jako niedźwiedź. Ten i ów miał spise, a u każdego był długi łuk na plecach. Jechali ostrym kłusem, mocno pochyleni na koniach, prawie że w kabłąk, bo na zbyt krótkich strzemionach, tak że im kolana sterczały, jak kiedy kto na bardzo niskim stołku siedzi:

– Tatory! – rzekę z cicha sam do siebie i nie mogę oderwać oczu od nich, tak mi się napatrzeć chciało tego, o czym się nasłuchałem takich straszliwych opowieści.

Wracam dopiero po chwili na polankę i rzekę: – Mości panowie, na polu Tatory! Widziałem ich jaki dziesiątek!

Ledwie to powiedział, a pan Grygier od razu buch! do lasu jak zając i jakby utonął w chaszczach bez śladu, Urbanek zaś patrzy na mnie, czy nie żartuję tylko, ale wnet widzi, że mi cale nie żarty w głowie. Wszyscy pobledli i pomilkli bardzo potrwożeni, a ja mówię:

– Pójdę ja znowu na czaty, czy jeszcze ich widać i czy ich więcej nie nadciąga. A wy tu zostańcie, aż wam powiem, co zobaczę.

– A to i ja pójdę – mówi pierwszy Urbanek, któremu już przeminęła była pierwsza trwoga.

– I my także – mówią mularcykowie i złotniczek nabierając odwagi, a już wszyscy inaczej patrzą na mnie anizeli przedtem, bo mnie bosa chłopskie dziecko za «bajbardzo» sobie mieli.

Idą tedy za mną i kładą się za moim przykładem w krzaki na samym brzegu lasu. Ledwieśmy chwilkę byli, aż tu słyszymy żałośnie wołanie, jakby o pomoc, i patrzymy, bieży jakiś starszy człek bez czapki, po miejsku uczciwie ubrany, zacniejszego stanu, zażywny bardzo; widać ostatniego tchu dobywa z siebie nieboraczek, do lasu dąży pod górę, a nogi mu się płaczą i co raz to się potyka, a za nim ledwie na dwoje *Zdrowaś Maria* dwaj Tatarzy gonią.

Widzę, że przepadł biedaczek, bo owo i piechotą dogoniono by go łatwo, tak słabo uciekał, a cóż dopiero na koniu. Był już bardzo blisko lasu; żeby tak był młodszy i brzucha nie miał, może by był dopadł jeszcze do nas i znalazł ratunek w gęstwinie – a tak to już mu Tatar tuż tuż będzie na karku.

– O Jezu, o Jezu! O Panno święta! – zawoła nagle koło mnie Urbanek – a to pan Heliasz, pan Heliasz!

I pocznie ręce łamać i płakać żałośnie jak dziecko, a nie ustaje wołać:

– O Jezu słodki! Pan Heliasz! Ratujcie, ratujcie, o Panno święta! Tatarzy gonią pana Heliasza!

Ja na to chwytam łuk mój z ramienia, porywam strzałę, a mierzę okiem, czy mi Tatory pod samo strzelanie się zbliżą, i mówię:

– Teraz cicho bądźcie i ani się rusz który! A jak ja zawołam, tedy i wy wołajcie z całej mocy, co gardła starczy: Hu! hu! Hurra! hu! A taki róbcie gwałt i hukanie, jakby nas tu siła razem było!

Mam już łuk napięty i patrzę. Ów pan Heliasz, jak go Urbanek nazwał, ledwie jeszcze kilkanaście kroków ubieżał, a Tatarowie już za nim. Widzę, jak jeden z nich łyka, to jest powrózki od kulbaki odtracza i już z konia ma zsiadać, pewno aby związać tego biedaczka. Wymierzę dobrze, z całej mocy łuk napnę, puszczę... Furknęła strzała, aż zaświstało powietrze, a ja krzyknę:

– Hajże, hu!

– Hajże, hu! Hu, hu! – krzyknęli teraz wszyscy, a takie straszliwe hukanie uczynili, że aż las zagrział za nami, że ono dziw, jak im się gardła od takiego gwałtu nie pozdzierały.

Patrzę za moją strzałą i aż mi serce radośnie zabiło. Ugodziłem dobrze Tatarą; jak mierzyłem w łeb, tak też nie chybiłem, tylko że strzała nie utkwiała w samej głowie, ale przeszła mu twarz pod okiem. Chwycił się Tatarzyn za oczy oburącz, jakby ogłuszony, a towarzysz jego podniósł się na koniu i patrzy, skąd ten huk i strzelanie. Nie dałem się długo patrzeć, strzeliłem znowu, a strzała przeszła mu snadź samą rękę, bo tylko strząsnął łapę i położył się na szyi konia unikając nowej strzały. Ja teraz chwytam za trzecią, ale Tatarowie obaj już uskoczyli i uciekają w pole, że się jeno migają między zbożem, a żaden się nawet nie oglądnie poza siebie.

Podźwignął się tymczasem pan Heliasz, oglądając się, rękę podniósł ku niebu i uklęknął; widoczna rzecz, że za cud sobie miał to wyratowanie. Powstawszy wreszcie zaczął się piąć w górę do lasu, a kolana się pod nim gięły od przebytego strachu i umęczenia i jeno ciągle potłoczył się z łysiny obcierał. Urbanek i ja zbiegliśmy ku niemu, a tak wzięwszy go między siebie, zawiedli aż na polankę w lesie.

Nic, biedak, nie mówił, jeno stękał a sapał jako miech kowalski, a usiadłszy na ziemię błędnymi od strachu oczyma na nas patrzył, jakby się połapać chciał, gdzie jest i co się z nim dzieje. Przyskoczył do niego Urbanek, cały jeszcze łzami ociekły, i począł go całować w obie ręce jakby miłego pana ojca, a głaskać po twarzy, a łysinę mu z potu ocierać, a śmiać się i płakać z radości, że aż się rzewno robiło w sercu na taką pocziwość a wdzięczny umysł tego chłopca.

– Panie Heliaszu – woła Urbanek żebyście też wiedzieli, komu za zdrowie i życie dziękować macie po Panu Jezusie i Pannie Świętej – to temu oto pacholikowi! – i wskazuje na mnie. – A jam się z jego łuku naśmiewał!

To mówiąc poskoczył Urbanek do mnie i w oba policzki mnie pocałował, a mnie się słodko w duszy zrobiło, że choć jestem jako pies bez pana na świecie, taki biedny i opuszczony, przecież ludzkości doznaję.

– A pan Grygier gdzie? – pyta złotniczek oglądając się dokoła.

Widziałem tylko, jak w las zapadł – mówię – chodźmyż go szukać.

Weszliśmy w las i poczęliśmy nań wołać i szukać, i między chaszczę zagłądać, i długo było tego szukania, aż nareście wylazł pan Grygier spod gęstej leszczyny i patrzy na nas okrągłymi od strachu oczyma. Nadbiegł i Urbanek i mówi:

– Panie Grygier, wielka wiktoria! – Odpędziliśmy Tatarów, wyrwaliśmy im z rąk pana Heliasza, a już prawie był w łykach!

Na tę wieść pan Grygier od razu stał się srogim rycerzem; zacznie oczyma przewracać i szabli dobywa.

– A czemuż mnie nie wołaliście, chrrry! – woła. – Ukażcie mi ich zaraz, chrrry!

– A jak było wołać, kiedyście uciekli schować się w leszczynę – mówi Urbanek.

– Jam nie uciekał ani się chowałem! Zdrzemało mi się trochę, a szkoda, boby byli nie uciekli!

– Pewno, żeby byli przed wami nie uciekli – rzecze Urbanek – ale dajmy temu pokój; chodźcież z nami i otwórzcie to wasze duże torbisko, co z wami było na chocimskiej, jeść nam się chce!

Jakoż z dobrą chęcią zdjął pan Grygier torbisko, a była w nim cała spiżarnia: gorzałka i chleb, i ser, i jaja warzone. Tedy jedli wszyscy i mnile dali, a czas był, bom z głodu ledwo na nogach się trzymałem.

– Widzisz, Hanuszu – mówi do mnie na boku Urbanek, a już wiedział, jak się nazywam – ten Grygier Niewczas to bardzo dobra dusza, ludzki i pocziwy, jeno mu się na jednym punkcie coś w głowie popsowało, a to od dwóch lat dopiero. Kiedy królewicz Władysław pod Chocim z wojskiem ciągnął, potrzeba mu było krawców do obozu, a ten Grygier z kilku Lwowskimi krawcami ujednał się także. Tam pod Chocimem w wielkich bywał trwogach i coś mu się w głowie przewróciło. Zajęcze ma serce i przed myszką mizerną by uciekał, ale

mu się wždy zdaje, że na wojnach bywał i Turków gromił. A tak z tym pewnie umrze, bo nikt mu tego już nie wyperswaduje.

Tymczasem noc zapadała i nocować trzeba było w lesie, bo tak najbezpieczniej było. Pan Heliasz już dawno usnął, a tylko postękiwał od czasu do czasu, bo pewnie Tatarzy mu się śnili, pan Grygier jeno się kiwał siedzący i nam się też spać bardzo chciało. Ale że, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, tedy my, za tą mądrą regułą idąc, straże nocne między sobą poznaczyliśmy i zawsze jeden z nas pięciu młodych miał przez jedną godzinę czuwać.

Zasłyszał to Grygier, jako się o to umawialiśmy i ani go odwieść od tego, aby i on do warty należał, a wyciągnąwszy szablę, począł dużymi krokami i tam chodzić po polanie, ale nam spać nie dał, zawsze coś mając do zapytania, bo się bał bardzo, aż wreszcie złotniczek go zluzował i już spokój mieliśmy.

## VI

### MENDYCZEK

Ledwie się niebo zarumieniło od zorzy porannej, kiedy się zbudziłem, podczas gdy wszyscy jeszcze spali. Zmówiłem pacierz nabożnie i z wdzięcznym sercem dla Opatrzności Bożej, że mnie, opuszczonego pachółka, przygoda nie zawiodła ani między złych ludzi, których wszędy uwijało się dużo w tych niespokojnych czasach, ani wydała w tatarskie ręce, o co, jako teraz widziałem, łącno było dnia wczorajszego, gdybym był tej dobrej kompanii nie spotkał – i wyszedłem z lasu, aby się rozpatrzyć, czy na świecie bezpiecznie.

Nikogo nie było widać, jak tylko oko zasięgnąć mogło. Po dalekiej drożynie, która się bielila między zielonymi polami, nikt nie szedł ani jechał, ale i Tatarów nie było śladu, snadź te ostatki ich wczorajsze już się pomknęły z okolicy. Wróciłem na leśną polankę, dobytek z kieszeni onej książeczki z *Godzinkami do Anioła Stróża* i modlić się z niej zacząłem.

Pierwszy obudził się Urbanek, a widząc mnie z książeczką w ręku, rzecze zdziwiony:

– A ty umiesz czytać! No, patrzcież, ja znam takich, co w aksamicie chodzą i w bławatach, a czytać nie umieją, a ten pacholek wiejski czyta! A co ty więcej umiesz?

– Nic – mówię na to. – Ja chłopski syn jestem, a do tego sierota, o nauce mi nie myśleć; chleba i dachu nie mam.

– «A, B, C, chleba chce» – rzecze wesoło Urbanek – ale ja taki, jako i ty, ani dachu, ani chleba własnego nie mam, a przecie się uczę. Pan Heliasz mi pomaga i inni dobrzy ludzie we Lwowie, bom ja mendyczek.

– A co to znaczy: mendyczek? – pytam.

– Żebraczek. Mendyczek a żebraczek to jedna rzecz jest. *Mendico* znaczy po łacinie: żebrzę, i dlatego biednych żaków szkolnych we Lwowie zwą mendyczkami, tak jak w Krakowie pauprami, a także z łaciny, bo *pauper* to tyle, co ubogi.

– Dobrzy tam ludzie u was być muszą – mówię – między takimi ludźmi to i słonko cieplejsze.

– Wszędy są dobrzy ludzie – rzecze mendyczek – wszędzie słonko ciepłe. Albo gdzie nie?

– U nas! – odpowiem. – U nas gdybym ja chciał być taki mendyczek albo żebraczek, toby mnie psi zagryźli! Widać ja łaski boskiej nie godzien, a za łaską ludzką taki ubogi pacholek, jako ja, niedaleko zajdzie.

– A ja jej także pewno nie godzien, a przecie w daleką drogę się wybieram i nie tracę nadziei, że tam zajdę, gdzie idę.

– A dokąd idziesz? – pytam.

– Do Krakowa, a potem do Padwy.

– Do Krakowa to już daleko – mówię na to – ale do Padwy to pewnie jeszcze dużo dalej, może tak daleko, jak ojciec towary ormiańskie powiózł.

Roześmiał się głośno mendyczek i powiada:

– Bo ty myślisz, że ja tylko tak wędrować chcę i tu zaraz z lasu do Padwy się wybieram! Jak skończę szkoły we Lwowie, to pójdę na akademię do Krakowa, a z Krakowa pojedę do Włoch, do Padwy, i tam znowu w akademii uczyć się będę.

Zawstydzilem się trochę, że taki prostaczek i nigdy nic o akademii żadnej nie słyszałem, i patrząc na jego łatany giernaczek, mówię:

– A potem będziesz pan.

– Stary król nieboszczyk, powiadają, że mawiał: *Disce, puer, faciam te Mości Panie!* To znaczy po polsku: Ucz się, chłopcze, a zrobię ciebie Mości Panem! Ja tam panem nie będę, bo u nas w Polsce trzeba się już urodzić panem, a i nie dbam tak o to, ale będę uczonym człowiekiem, *Doctor Clarissimus!*

– Doktor Klarissimus! – powtarzam, a po cichu myślę sobie, że to pewno między uczonymi ludźmi tyle znaczy, co między furmanami *auriga regius*, ale nie mówię nic, aby mendyczek nie śmiał się ze mnie. A potem bardzo smutno mi się zrobiło i bardzo ciężko na duszy, że owo insi, tacy biedni, jako i ja, i tacy młodzi jako i ja, a już wiedzą, kędy idą i gdzie zajdą, i jakie jutro ich czeka za wolą Bożą, a ja nie wiem, gdzie mam nogą stąpić, gdzie głowę skłonić, czego szukać i czego czekać, i jestem jako marny liść przez wiatr pędzony, niepewny, kędy los mnie niesie i gdzie mnie rzuci, i jako zginę. Nie mogłem też pohamować żalości i począłem płakać zakrywając twarz rękami.

– Czemuż ty płaczesz, Hanusz – rzecze do mnie mendyczek i widać, że mi się z szczerego serca lituje, i siada koło mnie, i obejmuje mi ramieniem szyję. – Posłuchaj, nauczę ciebie ładnej pieśni na zabicie smutku, takiej skutecznej, że jeno chyba modlitwa nad nią skuteczniejsza. Posłuchaj:

*Nie porzucaj nadzieje,  
Jakoć się kolwiek dzieje,  
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,  
A po złej chwili piękny dzień przychodzi...  
Nic wiecznego na świecie,  
Radość się z troską plecie:  
A kiedy jedna weźmie moc największą,  
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.  
Ale człowiek hardzieje,  
Gdy mu się dobrze dzieje.  
Więc też, kiedy go fortuna omyli,  
Wnet głowę zwiesi i powagę zmyli,  
Lecz na szczęście wszelakie  
Serce ma być jednakie,  
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,  
To da, co weźmie, jako się jej widzi.  
Ty nie miej za stracone,  
Co może być wrócone:  
Siła Bóg może wywrócić w godzinie,  
A kto mu kolwiek ufa, nie zaginie!*

Słuchałem tej ślicznej pieśni, a za każdym słowem mendyczka spływała mi pociecha do serca. Powtórzył mi ją raz jeszcze, bom go o to prosił, a potem rzekł:

– To jest pieśń, którą ułożył wierszopis pewien sławny, Jan Kochanowski. Już on nieżywe, ale jego pieśni żywe i pewno nas obu przeżyją i tych wszystkich, co po nas będą na świecie. Jako widzę, umiesz czytać, tedy jak będziesz we Lwowie, pożyczę ci książeczki z tymi pieśniami, a i innych co książek dam, a będzie ci świat jaśniejszy, bo jak ksiądz rektor naszej szkoły mówi, komu w duszy jasno, temu i świat jasny.

Zadumałem się nad tym wszystkim, co mi Urbanek powiadał, a było nad czym, bo wszystko było dla mnie nowe i dziwne, a jakoby z obcej, bardzo dalekiej krainy, o której dotąd nigdy nie słyszałem, żeby być mogła kędyś na świecie.

Tak mi było, jak żeby mnie kto spod ziemi od razu na świat wywiódł lub zamkniętemu w ciemnej komorze okno na świat wyrąbał. Już mi tak raz wyrąbano okno na świat daleki, a to wtedy było, kiedy mi Semen opowiadał o Siczy, o Kozakach, o Czarnym Morzu, o swoim ojcu Opanasie – teraz owo wyrąbał mi drugie okno ten mendyczek Urbanek, ale to już był świat całę inszy, który mi się w nim ukazywał. Semenów świat dziki był i gwałtów i przygód pełny, same rogate dusze i zuchwałe serca – Urbanka świat leżał przede mną jakoby równe zielone pole, pełne skowronków, co w niebo biją, a niebo to zewsząd czyste i modre, zewsząd otwarte, a pod nim w słońcu sami dobrzy i pokorni ludzie chodzą i wszystkie ścieżyny pod ich stopami gładkie, i wszystkie wiedą to w ciche gaje, to pod domowe strzechy, a każda strzecha ci rada. A między tymi ścieżynami jedna szeroka jak gościniec, prosta jak strzebił, bardzo długa, a przecież już jej koniec bezpiecznie masz w oku, a wiedzie do akademii między mądre księgi, do ratusza między Pany Rady, do kościoła na stopnie ołtarza i na rzezane formy, gdzie kanoniki siedzą.

Czułem ja dobrze, że żaden z tych dwóch światów nie będzie mój, że nie pójdę ja ani Semenową, ani Urbankową drogą – ale jakąś trzecią, moją własną; a jaka będzie i gdzie nią zajdę, jak wiedzieć, kiedym na nią jeszcze nie wstąpił? Tak rozmyślałem, kiedy naraz Urbanek zawołał:

– Owo już słońce dobrze na niebie, trzeba zbudzić pana Heliasza i radzić o sobie, jako się do Lwowa dostać!

Stanął sobie tedy ten mendyczek na środku polany i zaczął głośno śpiewać:

*Hejnał świta, już dzień biały,  
Każdy człowiek, wierze stały,  
Budzi się do Pańskiej chwały!*

*Hejnał świta, już i z morza  
Rumiana powstaje zorza,  
Jutrzenka w swojej jasności  
Rozgania nocne ciemności.*

*Wstań, oraczu, hejnał świta,  
Ciebie na polu sowita  
Praca czeka; wstawaj i ty,  
Rzemieślniku pracowity!*

Na odgłos pieśni pobudzili się wszyscy, a pan Heliasz i pan Grygier i złotniczek Lorenc zaraz także chórem śpiewać zaczęli, tytkom ja z mularczykami słuchał milczący, bośmy pieśni tej nabożnej nie znali. Jeden z tych mularczyków prostaczek był jako i ja, ale drugi hardo się trzymał, a był z włoskiej ziemi i po polsku mało co umiał, bo dopiero od niedawna do Polski przybył z jednym majstrem, co go sobie panowie do budowania zamków i kościołów aż z Rzymu ujednali.

Kiedy śpiewać skończono, przystąpił do mnie pan Heliasz, mało już nie starzec, z siwiejącą brodą, postawy bardzo zacnej, z twarzą czerwoną i jakoby surową, że się na niego jak na pana ojca tytko z wielkim respektem patrzeć trzeba było, lubo z siwych oczu wyglądała mu dobrotliwa poczciwość – przystąpił do mnie i kładąc obie ręce na moje ramiona, mówi:

– Jam ci jeszcze nie dziękował, synaczku, ale już ciebie mam w wdzięcznym sercu i tam na zawsze zostaniesz, a to po staremu większa rzecz jest aniżeli samo dziękowanie. Ja nie

wiem, ktoś ty i jakiś ty, cnotliwy albo nie, ale to wiem, że Bóg cię zesłał, wierę, na ocalenie moje, a tak chyba nie byłbym ja wdzięczen Bogu, gdybym nie był wdzięczen tobie.

I tak mówiąc pocałował mnie w głowę, a jam go pokornie w rękę.

– Jam nie pan żaden i nie bogacz – mówił dalej pan Heliasz – ja sługa jestem i bardzo miernego staniczka, choć dobremu panu służę. Złotem ciebie nie zapłacę, bo go nie mam, a co bym dla syna mego zrobił, gdybym go miał, to i dla ciebie rad uczynię, jeżeli twoja wola za moją wolą pójdzie. Bo, widzisz, odwaga nie zawsze z cnotą w parze chodzi. Strzelać umiesz, to wiem, ale czy pracować umiesz, tego nie wiem. Mówi Urbanek, żeś ty sierota i szukasz chleba. Powiadajże, jakbyś chciał, aby ci dopomóżono?

– Weźcie mnie do Lwowa, panie Heliaszu – odpowiem i znowu w rękę go pocałuję:

– A co tam będziesz robił?

– Szukał chleba.

– Znajdziesz go u nas, przy mnie i przy panu Spytku, jeśli go wart będziesz. W imię Boże jedź ze mną do Lwowa!

Taka mnie radość ogarnęła na te słowa, że zapomniałem o wszystkim moim nieszczęściu, o przebytej nędzy, o trwodze, co mi jeszcze przed chwilą suszyła serce, o Kajdaszu, któremu zostawił we krwi na majdanie, o tym czarnym olsterku, w którym siedziało przekleństwo na klucz zamknięte, o wszystkim, jeno o matce nie, która mi zaraz stała w oczach, tak jakżeby bardzo rada patrzyła teraz na mnie i na to moje pocieszenie.

Siła by opowiadać, jak my nareście znaleźli się na wozie w drodze ku Lwowowi; tyle chyba powiem, żeśmy brzegiem lasu ostrożnie, a ciągle ten las mając w odwodzie jako bezpieczną ucieczkę, zeszli do wsi Hoszan, gdzie nas uspokojono, że to ostatni Tatarzy, których wczoraj widzieliśmy, i że wszędy ku Lwowowi dziś już bezpiecznie, bo i szlachta z dworskimi tam jest i żołnierzy znaczniejsza siła, i pan chorążyc wieluński z Rudek z hajduki i chłopcy swoimi nadbieżał, chociaż jako zawsze przedtem, tak i teraz za późno i kiedy już po wszystkim. Dostaliśmy podwód i szczęśliwie jechali do Lwowa, litując się po drodze zniszczeniu ludzkiemu po tym tatarskim zagonie, z żalnością mijając Lubień, cały w pustkowiu i zgliszcze obrócony, że tylko z rzadka wychylał się z lasu na Garbach jaki człek wynędzniały, co z gołym życiem uszedł, a teraz ze łzami jałmużny błagał.

Jeszcze dobry dzień był, kiedy stanęliśmy we Lwowie. Nie widziałem dotąd dużego miasta; w Samborzem tylko kilka razy z matką był, a wydał mi się bardzo wspaniały i myślałem, że piękniejszego kościoła nad farę i wyższej wieży nad ratuszową z taki złoconym jeleniem na szczycie chyba już w życiu nie obaczę a może i nigdzie nie ma. Tedy oczy rozwarłem bardzo szeroko, kiedy naraz, zjeżdżając z góry ku miastu, ujrzałem tyle murów, tyle baszt i tyle wieżyc, że się zdało, iż tam w tych warownych murach nie ma domów tylko same kościoły i same zamki. A to wszystko dokoła okopane fosą i wałem, a zawarte wielkimi bronami na żelazne wrzeciędzie, grube jakoby drągi, tak że kiedy to wszystko na nic zamkną, tedy Lwów cały jakoby w kowanej zamczystej komorze siedzi, że chyba się ptak do miasta dostanie.

Wjechaliśmy w rynek po kamiennym bruku, a jam się zdziwił, że taki pusty, i oglądałem się za tymi ludźmi, co mieszkają w tych wysokich kamienicach na dwa i trzy piętra, bo ledwie tu i owdzie jakiś człowiek się przewinał, ale wnet przypomniałem sobie, że to było po morowym powietrzu, które dopiero co było ustało, a i to jeszcze nie całkiem. Jeszcze mało kto powrócił był do miasta z tych, co uciekli przed zarazą, a z tych, co uciec gdzie nie mieli, mało kto żyw pozostał, a i z tych przy życiu pozostałych każdy nosił trwogę w oczach, że poznać po nim było, iż bezustawnie na śmierć patrzył i sam śmierci czekał przez ten cały czas boskiego pokarania. Tedy i mnie zrobiło się i smutno, i duszno i zdało mi się tak, jakżeby mnie żywcem chciano zamurować i jakżeby już teraz nie miał czym oddychać.

Stanęliśmy przed domem wysokim bardzo, a wąskim, bo tylko po trzy okna miał na każdym piętrze, z ciosanego kamienia zbudowanym, z bramą taką szeroką na dole, że już tylko na jedno okno z boku miejsca zostało. Brama była zamknięta, a dom cały wyglądał jakby

pusty i cale wymarły, bo wszystkie okna miały zawarte okiennice, a na turkot wozu po bruku nikt nie wyszedł ani wyglądał.

Wyskoczył pierwszy z wozu mendyczek i chwyciwszy za żelazną kołatkę, co była w bramę wpuszczona, począł mocno kołatać, a z sieni mu jeno głuchy huk odpowiadał jakoby z ogromnego bębna. Jam się tymczasem zapatrzył w dom, a osobliwie w bramę, bo nad nią były trzy głowy ludzkie rzezane z kamienia, a każda z nich zdała się patrzeć na mnie to śmiesznie, to groźnie, żem i we śnie takich maszkar nie widział nigdy, bo jedna z nich była z rogami i paszczę srogą na mnie rozwarła, jakżeby mnie pożreć chciała, druga, kudłata, wykrzywiła do mnie szeroką gębę, trzecia miała duże martwe oczyska, a spomiędzy okrutnych wąsów wisiał jej szpetny język. Strach by zbierał wejść do tej bramy, gdyby nad nią wyżej nie była Najświętsza Panna z Dzieciątkiem, także z kamienia wyrzezana, cała w płomienistych promieniach i z wieńcem złotych gwiazd nad koroną.

Otworzył nam wręście setny chłop – wysoki i szeroki jak on Waligóra z bajki, a był to stróż domowy – a wraz i parobek do ciężkich robót koło domu i handlu, czyli hamał, jak takie sługi we Lwowie z turecka nazywać zwyczajni. W długich, bardzo szerokich i sklepistych sieniach ogarnęło mnie powietrze jakoweś ciężkie a takie ostre i zapaszyste, że owo aż w oczy i w nos biło i gryzło, a jak mi już potem powiadano, było to dla odpędzenia morowej zarazy, bo bezustawnie pod nieobecność pana Spytki i Heliasza hamał ów, który został był sam jeden dla pilnowania domu, kadził palonym octem, kamforą, siarką i rozmaitymi ziołami, a także kwieciem polkowym i różą.

Pan Heliasz porozmawiał chwilę z Worobą, bo tak się nazywał ten hamał, i poszedł do górnych komnat, a Woroba zaprowadził mnie do małego ciemnego alkierzyka w podwórzu, wskazał mi posłanie i słówka nie rzekłszy, zostawił mnie samego. Już i zmierzch był wieczorny, a w alkierzyku cale już było ciemno, tedy nie myśląc o niczym, bo i myśli zebrać nie mogłem, nie tyle dla zmęczenia co dla tej różności zmian i przygód i dla tej nowości ludzi i rzeczy, której w jednej dobie zaznałem, położyłem się zaraz i zasnąłem.

Ale to spanie moje było jako sen człowieka palonego gorączką, żem owo rzucał się na posłaniu i co chwila budził z okrutnym strachem, nie wiedząc, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i czym nie żywcem zakopany w podziemnej ciemności.

Z pułapu, z zakratowanego okienka, przez które biło trochę światła od księżyca, z podłogi, z każdego kąta, coś na mnie strasznie patrzyło: to hajduk Kajdasz z okrwawioną głową, to podstarość z czekanem, to Kozak Semen, jak ścisła gardło Czarnego Mordacha, a żydowskie oczy jak dwie ogniste gałki wyskakują w powietrze aż pod pułap, a do tych dwóch ognistych gałek nadlatuje owa żelazna puszką przeze mnie wykopana i lata po całej izbie, a one ogniste gałki gonią ją i dogonić nie mogą, a na to wszystko patrzą z okrutną ciekawością owe trzy kamienne głowy znad bramy i wywracają oczyska, jakby się nadziwować nie mogły temu, co się dzieje – aż nareście podchodzi do mnie jakiś dziad straszny i uderza mnie czarną, szeroką jak łopata dłonią po lewym ramieniu i mówi srogim a ochrypłym głosem:

*Oko Proroka,  
Synopa Archioka!*

Zrywam się tedy z posłania i krzyczę z wielkim strachem:

– *Musztułuk!*

A tu już dzień jasny patrzy przez okienko alkierza, a miasto owego srogięgo dziada stoi przede mną hamał Woroba, potrząsa mnie za ramię i mówi:

– Wstawaj! Pan Heliasz cię woła.



## VII

### NA SŁUŻBIE

Pan Jarosz Spytek, u którego pan Heliasz służył za starszego sprawcę i wiernika, był aromatariuszem, tj. kupcem korzennym i aptekarskim, ale przy tym i inne wielkie handle miał, bo nie tylko w sklepie u niego na małą wagę się sprzedawało, ale inni kupcy lwowscy i pozalwowski brali z jego składu towar, a osobliwie korzenie i wina z dalekich krajów. W podwórzowej tylnej części jego domu albo w indermachu, jako to we Lwowie nazywają, były dwie wielkie izby sklepiste z żelaznymi drzwiami i kowanymi kratami u okien, a pod tymi izbicami dwie głębokie piwnice, a tak izby jako i piwnice pełne były zamorskiego towaru.

W piwnicach stały kufy wina, które najpierw morzem a potem lądem przystawiano z dalekich wysp greckich, a było tych win siła gatunków, jeden przedniejszy nad drugi, a wszystkie bardzo drogie, jako to: małmazja, muszkatel, alikant, latyka, kocyfał – w izbach nad piwnicami były aromata, korzenie, zioła lekarskie, co wszystko po łacinie nazywało się *materia medica*, a dalej przeróżny towar, sam przedni, osobliwy i prawie na wagę złota płatny, który prawie że z samego końca świata, bo z zamorskich pogańskich krajów, kędy czarne Murzyny tylko żyją pod gorącym słońcem, sprowadzać trzeba było okrętami przez morza, to na garbatych wielbłądach przez nieskończone pustynie, na których nic nie rośnie w piasku, a od żaru słonecznego piasek ten taki gorący, że ano jaje w nim bez ognia upiec możesz.

Jak się weszło do tych izb, to trzeba było co rychlej okienka rozwierać i powietrze wpuszczać, bo woń wprawdzie przyjemna, jakby z kadzidła, ale taka mocna była, że się aż głowa zawracała jakby od gorącego trunku. Tedy były tu obok ałunu, kamfory, merkuriusza, bursztynu rozmaite wonne żywice, jak ambra, bryłeczka nawlekana niby pacierz albo różaniec, benzoe, który pan Spytek z Indii od portugalskich kupców sprowadzał, manna sycylijska, mastyks grecki, tragant z wyspy Morei, co gorączkę u chorych chłodzi; dalej, bardzo osobliwe pachnące trzaski, jak aloes arabski, brazylia, sandał czerwony i żółty, indygo z Bagdadu, a wręście i korzenie na leki i na przyprawy dla pańskich kuchmistrzów, jak goździki molluckie, bobki, kmin turecki, imbier albo zinziberum indyjskie, kardemony, muszkato-we kwiaty i gałki, tatarskie ziele, pieprze rozmaite, a najprzedniejszy z nich malabarski, egipska kassia w strągach, szafrany, włoski i hiszpański, cynamony, cukier biały i lodowaty bagdadzki, i hiszpański w plackach, stożkach i mące, owoce zamorskie, jak limonie, migdały, figi, daktyle, rozyny i inne jeszcze specjały, które swego czasu prawie że wszystkie wymienić umiałem, kiedy jeszcze pamięć była młoda, a których teraz już i w części nie pomnę.

Wszystko to leżało jeszcze tak, jak przyszło karawaną do Lwowa, w węzełkach, pakach, belach, pudłach, beczułkach, miechach albo łykowych kozubach, na których czarną farbą wypisane były rozmaite znaki i litery, a najczęściej widzieć było można napis, którego m ja odczytać nie mógł, a który taki był:

### KATAKAAAO

Nie widziałem nigdy takich liter, choć i niemieckie, i ruskie od polskich odróżnić już umiałem, a taka mnie zawsze zbierała ciekawość, co by napis ten znaczył, jak kiedyby od

tego coś bardzo ważnego dla mnie zależało, a pan Dominik, który był młodszym sprawcą u pana Spytka i miał klucze od tych składów, czytać tego także nie umiał. Nareszcie mendy-  
czek, który codziennie przychodził do nas po szkole i dostawał obiad u pana Heliasza, na-  
uczył mnie, że to są litery greckie i że to słowo czyta się: *Katakallo*, ale co by znaczyło *Kata-  
kallo*: miasto, osobę czy rzecz jaką, tego i on nie wiedział.

Tak było w indermachu, zaś w dwóch izbach przy bramie, z których jedna miała okno z  
widokiem na rynek, był kantor i sklep pana Spytka.

U wniścia samego do sklepu wisiał obraz Matki Boskiej i pod nim bezustawnie dniem i  
nocą paliła się lampa oliwna, a niżej nad ocapem drzwi były wykute w kamieniu wielkimi  
literami słowa:

BOGA SIĘ BÓJ,  
CNOTY SIĘ DZIERŻ  
FORTUNIE NIE UFAJ

W sklepie tym wszystkie ściany aż po samo sklepienie zastawione były szafami i półkami  
z jesionowego drzewa, a na wszystkich półkach stały słoje z gdańskiej gliny polewanej,  
wszystkie jednakowe, a każda pięknie malowana i na każdej napis łaciński, zaś w szafach  
same szufladki i almaryjki, niektóre zawsze otwarte, inne znowu zawsze na klucz pilnie za-  
mykane, a wszędy znowu napisy po łacinie. W tych słojach i almaryjkach było tego wszyst-  
kiego po trosze, co w indermachu było w całych pudłach i pakach, bo tu się sprzedawało na  
małą wagę, a tam na wielką, ale były tu także takie osobliwsze rzeczy, jakich tam nie było, co  
najdroższe i najprzedniejsze, pod kluczem bezustawnie trzymane, a nie wolno było ani sprze-  
dawać, ani ruszyć ich nikomu jeno samemu panu Spytkowi i Heliaszowi.

Były tu rzeczy i dla zdrowia, i dla rozkoszy, leki przeróżne, a także łakocie, jak konfekta,  
kandyzy, marcypany soki i wódki drogie o rozmaitych przedziwnych smakach i zapachach:  
Ale z leków i przypraw sekretnych najdroższe i jakoby skarb strzeżone były w sklepie balsam  
driakiew. Opowiadał pan Heliasz, że balsam ciecze z osobliwych drzewek, które na całym  
świecie tylko w jednym jedynym miejscu rosną, a to jest w Afryce, między czarnymi ludźmi,  
w kraju Egipcie, na tym samym kawałku ziemi, na których spoczywała ongi Najświętsza  
Panna z Najświętszym Dzieciątkiem Jezus i św. Józefem, kiedy do Egiptu uciekać musiała –  
a rośnie tych drzewek wszystkiego 400. Płynie ten balsam z onych drzewek, jako oskoła z  
naszej brzozy, kiedy się ją natnie, a ma przedziwnie piękny zapach i potrzebny jest do Św.  
Krzyżma, na ostatnie pomazanie, i do ran, które cudownie goi.

Driakiew była także zawsze pod kluczem i sprzedawała się bardzo drogo. Jam już o niej  
od dzieciństwa słyszał, bo ojciec miał jej zawsze małą odrobinę od Ormian lwowskich, któ-  
rych towary woził, ale teraz dopiero jasno mi było, dlaczego ją sobie jakoby za złoto a skarb  
ludzie mają, bo driakiew robić umieją tylko w jednej Wenecji, a robią ją najmędrsi medyko-  
wie, co mają na to swoje sekreta, a trzeba do niej 64 rozmaitych najrzadszych i najdroższych  
leków, a zaś najgłówniejszy i najcudowniejszy z tych leków, które trzeba mieszać do tej dria-  
kwi, jest mięso z pewnego węża, którego znaleźć i pojmać jest rzecz okrutnie trudna, a ma  
ten wąż dlatego taką zbawczą moc w swoim cieple, bo żyje w Ziemi Świętej, i tam tylko na  
jednym miejscu, w Jerycho, a jest z tych samych węzów, z których jednego Żydzi uwiesili na  
krzyżu świętym obok Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa.

W tyle ze tym sklepem była komnata z oknem na podwórze, mocno zakratowanym, a w  
tej komnacie były dwa pułtynki szerokie, stół z księgami i duża skrzynia, cała żelazna ze  
sztucznym ingrychtowym zamkiem na dwa klucze, i w niej były pieniądze i ważne papiery.  
Tu zawsze siedział pan Heliasz przy jednym pułtynku, bo drugi był dla pana Spytka do pisa-  
nia, a na tym pułtynku leżała ogromna księga, że zaledwie ją udźwigniesz, cała w białą ośłą  
skórę i mosiądz oprawna, której nikomu ruszyć nie było wolno, jakoby to jaka świętość była.

Ja raz tylko, kiedy mi proch ścierać w tej izbie kazano, księgę tę otworzyłem i samą pierwszą kartkę albo tytuł z niej przeczytałem, i zaraz od samego pana Spytko, który mnie na tym zeszedł, dobrze dostałem po uszach, że ją potem z daleka obchodził jakoby złego psa, co milczkiem kąsa. Ale pamiętam, że na tej pierwszej karcie wypisano było:

*Księga główna kredytorów i debitorów dla spraw mojego, Jarosza Spytkowego, handlu, którym sprawom niech Bóg dać raczy dobry początek, szczęśliwy środek i najdoskonalsze skończenie na chwałę Jego Świętą, ku uczciwości ciała i dusznego zbawienia.  
Amen.*

W tej książce zapisywał pan Heliasz wszystko, co się kupiło i co się sprzedawało, kto co panu Spytkowi i co komu pan Spytek był winien, i jakie handle z jakimi kupcy zawarło, i ile jakiego towaru ma być na składzie, żeś wszystko na łut i na grosz miał wyrachowane.

Niedaleko pułtynka, przy którym siadywał pan Heliasz, przybita była na ścianie taka skarbonka ze szparą do wrzucania pieniędzy, jakie bywają po kruchtach kościelnych, a na skarbonce było wypisane:

URBANKOWI  
DO PADWY

i tu rzucali nie tylko pan Heliasz i pan Spytek, ale za ich namową także i kupcy, i mieszczaństwo, i panowie, co do sklepu przychodzili, od czasu do czasu to orcik, to złoty, to grosz, a jak się szczęśliwie zdarzyło i kiedy się trafił jaki wielki pan, co płacił rachunki swoje w sklepie, albo kontent był z interesu, to i czerwony złoty zapadł tam między miedź i srebro.

Nie tak mi to łatwo poszło obeznać się ze wszystkim, co mi wiedzieć trzeba było, aby nie jeść daremnie chleba pana Jaroszowego. Z początku tom tylko sklep i kantor zamiatał, naczynia aptekarskie, tygły, kotły, alembiki czyścił, potem kazano mi do składu w indermachu chodzić, przy ładowaniu towaru pomagać i inne podlejsze rzeczy odprawiać, a dopiero kiedy się przyuczyłem więcej, co Bogu dziękować coraz snadniej mi przychodziło, kiedym już wagę rozumiał i dobrze się poznał, co jest waga gdańska, co wrocławska, co norymberska, co jest łaszć, co kamień, co kwintał, co bezmian, co oka turecka, co szyffunt, co grzywna, a wszystko te różne wagi są w handlach lwowskich używane; bo tu i Niemiec, i Włoch, i Anglik, i Turek handluje, a każdy po swojemu waży i po swojemu płaci: ten czerwonymi węgierskimi, ten weneckimi cekinami, ten asprami, ten piastrami, ten złotymi, ten lewkami i tak dalej, bez końca, że ci się, człeczko, głową dobrze nakiwać trzeba, nim to na równą monetę przerachujesz. Potem jużem i w sklepie pomagał, i cenę towarów połapał, jak się który płaci; sam też co sprzedać i jako trzeba zapisać umiałem, do czego mi nie tyle pan Heliasz, bo nigdy czasu po temu nie miał, co mendyczek Urbanek pomógł, bo ten, bywało, w alkierzyku do późnej nocy ze mną siedzi, a sprawniej pisać i rachować mnie uczy.

Pan Heliasz wszystko wiedział o mnie, bom mu się ze wszystkiego wypowiadać musiał, tylko o Semenie, o Żydzie Kara-Mordachu i o owym żelaznym olsterku zamilczałem, bom się zawsze pod przysięgą być uważał. Znał też pan Heliasz żałosną historię mego ojca, o którym ja ani chwili zapomnieć nie mogłem, zawsze się jeszcze spodziewając, że powróci, albo że żyjącego gdzie w pogańskiej niewoli odnajdę i wykupię. Chodził nawet ze mną mendyczek kilka razy do pana Krzysztofa Serebkowicza, aby się wywiedzieć, co się stało z ową karawaną, z którą mój ojciec do Turek pojechał, ale pana Krzysztofa nie było we Lwowie, bo jako «królewski posłaniec» właśnie do Stambułu był pojechał i nieprędko miał wrócić, a jego sprawca tylko żalości mi dodał, «bo – mówi – jakoż twego ojca odszukać, kiedy tę karawanę w górach rodopskich, czyli jak tameczni Bułgarowie mówią, na Despotowej Pianinie, zbójcy zahamowali; towar zabrali, a kto nie uciekł, tego na galery tureckie sprzedali».

A jam przecież nadziei nie tracił i tegom sobie z głowy wybić nie dał, że sam do Turek pojedę i ojca odszukam. We Lwowie tylem się nasłuchał o ludziach, co połowę żywota swe-go stracili w jasyrze u pogan, a przecie wrócili, a nawet mi takich żywych pokazywano; tylem ja tu widział kupców, co poza morza i poza góry za handlem jeździli, a zdrowo ich Pan Bóg do dom przywodził, tyle Turków towarami swoimi tu na samym rynku lwowskim kupczyło, że co mi się jeszcze niedawno zdało rzeczą niepodobną a prawie że cudowną, tego teraz śmiałym sercem byłbym się podjął; aby tylko Bóg zdarzył jaką taką okazję i abym tylko jakiegoś grosza się dorobił.

Kto jeno bywał w Turczech, a jam go znał, tom go o ludzi, o drogi i obyczaje tamtejsze wypytywał, z barysznikami i tłumaczami miejskimi aby mówił, pana Heliasza błagałem, bo oni o każdym wiedzieli, co z tureckich krajów do Lwowa przyjechał albo tam się wybierał; jakem tylko miał wolną chwilę, tom między Ormiany biegał i pytał, i nasłuchiwał, czy jaka karawana nie przyszła i czy jaka nie odchodzi, że mnie już we Lwowie znano z tego, a niejeden to albo wyśmiał, albo ofuknął.

Pan Heliasz o tym nieraz z panem Jaroszem mówił, a luboć obaj te zamysły moje uważali za porywczosć młodego serca, przecie tak mi się zdało, jakoby w duszy chwalili, że się tak rwę do tego, w czym pocziwość synowska była, a nie jeno ciekawość dalekiego świata. Ale owo jednego dnia, kiedyśmy w indermachu towary przebierali, pan Dominik cale niespodzianie rzecze do mnie:

– Hanusz, dopieroż ty mi zazdrościć będziesz, jak się dowiesz! Podśluchałem, że mnie wysłać chce pan po towar do Turek, nie wiem tylko, czy jeszcze tego roku, czy na przyszłą wiosnę.

Ja aż skoczę do niego, całuję go w rękę i wołam:

– Panie Dominiku, macie brać czeladnika jakiego, weźcież mnie z sobą!

– Ja bym cię rad wziął zamiast innego czeladnika – mówi pan Dominik – bo bez czeladnika pan Jarosz pewnie mnie nie wyprawi, ale to nie na mnie zależy, a nawet i mówić mi się tobie o tym nie godziło. Myśl ty o sobie, ale żem ci ja co powiadał, ani słówkiem tego nie okaż, bobym pana rozgniewał. Alem ja słyszał także, że pan Zachnowicz wybiera się niebawem do Turek; ale tylko do Dobrucza po konie, a pewno w tej karawanie pojedzie, co ją pan Harbarasz ma prowadzić.

Jużem i roboty dobrze dokonać nie mógł, tak mi te słowa pana Dominika w głowie wszystko przewróciły, żem się ciągle w towarze mylił i jak ślepy między pudłami i miechami rękami macał. Kiedyśmy skończyli, przywołał mnie pan Heliasz do kantoru, gdzie i sam pan Jarosz był, a kiedym wszedł, wziął mnie za rękę, podprowadził do pułtynka i na ścianę ukazał. Patrząc, a tu koło tej skarbonki Urbankowej przybita już druga, taka sama, a na niej czytam napis:

#### HANUSZOWI DO TUREK

Mnie się aż łzy puściły z oczu z wielkiej wdzięczności, przypadłem też najpierw do pana Spytka, a potem do pana Heliasza i ręce obudwom ucałowałem, a ciężko mi przenieść na sobie było, aby im zaraz także do nóg nie upaść i nie prosić, żeby mnie z panem Dominikiem jechać pozwolili, i byłbym tak pewno był zrobił, gdybym był panu Dominikowi nie obiecał, że mu sekretu dochowam. Kiedy tak dziękuję, pan Spyttek rzecze:

– Trzeba tobie sprawić odzienie przystojniejsze, bo chodzisz tyle co nie obdarty. Panie Heliaszu, poszlijcie go z Urbankiem do pana Niewczasa, niechaj mu taką barwę zrobi, jako innym naszym czeladnikom.

Jak się tylko pojawił Urbanek, poszliśmy pod Halickie Przedmieście do pana Grygiera Niewczasa, tego samego, który z nami w lesie był, kiedyśmy mieli ową przygodę z Tatarami.

Pan Grygier miał własną kamieniczkę, która się Kłopotowska nazywała, a lepiej się też nazywać nie mogła, bo miał z nią pan Grygier ciężkich kłopotów co niemiara, jako iż ją z wielkimi długami, czyli wyderkafami, odziedziczył i ciągle z wierzycielami się gryźć musiał, tak że częściej siedział na ratuszu aniżeli u siebie w warsztacie. Przecie go zastaliśmy w domu, a Urbanek jako zawsze był żartowniczek, mówi do niego:

– Panie Grygier, zabierajcież się co tchu, a biegnijcie do pana Dziurdziego Boima po falendysz co najprzedniejszy, taki, jaki pan wojewoda Bonifacy Mniszech nosi, a potem wstąpcie do pana Duczego, niechaj co żywo za wami atłasami, z tabinami, z aksamity, z złotogłowie spiesz, a po inderlandzkie forboty szlijcie do Wilczka, a po złote knafle z rubinami do pana Kudlicza złotnika, a nie żałujcie niczego, bo oto ten pan kasztelan, Jegomość Hanusz Bystry, ubranie sobie u was zamówić raczy, a ma być takie, jako senatorskiemu paniątku przystoi!

Pan Grygier śmiać się począł, ale na mnie pocziwym okiem spojrzął, zaraz mnie poznawszy, i już do miary się zabierał, kiedy mendyczek prawi dalej:

– A może zostało wam co jeszcze z chocimskiej wojny; chrrry! z tych łupów, coście je na Turkach mieczem zdobyli; chrrr! to przeróbcie nań złotolity kaftan wezyrski albo przykrójcie mu co z tej sułtańskiej sobolowej szuby...

– Albo skrójcie dobrze kurtę Urbankowi! – zawoła nagle za nami jakiś głos miły jako dzwonek ze srebra, chociaż gniewny – albo kaźcie mu porządnie wyłatać skórę w warsztacie, albo mu łokciem plecy wymierzajcie, albo cale już przenicujcie tego mendyczka, bo może na wywrót będzie lepszy!

Obracam się i widzę: w samych drzwiach drugiej izby stoi dziewczeczka, rok jej może trzy-nasty, hoża jak jagoda; z oczkami błyszczącymi jak iskry i z twarzą rumianą od zagniewania.

– Panna Marianeczka! – zawoła mendyczek, jakby przestroszny. – Jam się ani spodziewał!

– I jam się ani spodziewała, żeby Urbanek z mojego ojczyka takie żarty sobie stroił! Urbanek się nie spodziewał, że ja słyszę, a to jest brzydka wymówka! Czego Urbanek nie śmie ojcu przy mnie mówić, tego niechaj nie śmie mówić beze mnie! Ja zabraniam, słyszy Urbanek, zabraniam!

Urbanek zapomniał języka w gębie, a po raz pierwszy widzieć mi się to u niego trafiło, bo miał zawsze concept gotów na wszystko i nikt mu z nas nigdy na język nie sprostował. Pokręcił się trochę na miejscu, jakby coś rzec chciał, ale dał za wygraną, ukłonił się grzecznie i milczkiem wyniósł się z izby.

Pan Grygier przez ten czas patrzył na dziewczeczkę swoją jakoby na obraz święty, cały rozradowany jej widokiem, aż mu twarz dziwnie wyjaśniała, że wyglądał jako inny człowiek. Marianeczka przybiegła do niego, objęła go ramionami za szyję i patrząc mu z wielkim miłowaniem w oczy, mówiła:

– Po co ty, ojczulku, opowiadasz obcym ludziom o wojnie chocimskiej? Każdy wie, żeś tam był w obozie i żeś uczciwie to robił, do czegoś się u jednał, i żeś nawet jeszcze zapłaty nie wziął. Czy to nie masz mnie na to, Marianeczki, abym słuchała twojej powieści? Czy Marianeczka nie ciekawa, nie cierpliwa i czy może nie wierzy, kiedy jej opowiadasz?

Pan Grygier nachylił się kto Marianeczce i jeno powieki mu mrugały i wąsy się trzęsły, a potem padło mu z oczów kilka łez, dużych jak groch, prosto na włosy Marianeczki.

– Urbanek dobry chłopiec i ja go bardzo lubię – mówi do Marianeczki – on tylko ze swawoli tak mówi, ot, po staremu, jako to mendyczkowie zwykli.

Ja tymczasem stałem nie wiedząc, czy mam jeszcze zostać, czy też pojąć, kiedy Marianeczka obraca się ku mnie i pyta:

– A ty po coś tu przyszedł?

– Przysłał mnie tu pan Jarosz Spytek, u którego służę, aby mi pan Grygier takie ubranie zrobił, jako inszym jego czeladnikom.

– A ty spod Sambora? – pyta Marianeczka.  
– Spod Sambora – mówię – a jak panna Marianeczka poznała?  
– A bo taką masz obłóczystą sukmankę z czerwonymi obłózkami, jak pod Samborem na wsiach noszą.

Jam się trochę zawstydził, bo to była sukmana bardzo stara i podarta, a miałem już ubranie inne, letnie, z lazurowego wrocławskiego sukna, a sukmanę tylko do roboty przy kufach i towarach brałem.

– Kiedyś spod Sambora – mówi dalej Marianeczka – toś pewnie słyszał o kupcu panu Zybulcie?

Tego kupca moja matka dobrze znała i jak to swego czasu napomniałem, uprosiła go była, że listy pisał do lwowskich Ormian, jeżeli czego o moim ojcu nie słyszeli. Tak też powiadam Marianeczce, a ona na to:

– To wujko mój jest; rodzony brat mojej nieboszczki matki.

– Żebyś ty wiedziała, Marianeczko – odezwie się teraz pan Niewczas i od razu jakby go znowu odmienił – że to ten sam chłopiec, o którym ci mówiłem, że pana Heliasza od Tatarów obronił! A jak on z łuku strzela!... chrzy... Kiedyśmy na tych Tatarów natarli, a było ich w kilkadziesiąt koni... chrzy... kiedy ich gonić zaczniemy... chrzy...

– Kiedy ze strachu nie wleziemy w krzaki, chrzy... chrzy... – odzywa się naraz ktoś we drzwiach, podrwijając panu Grygierowi i naśladując jego głos i chrapanie.

Był to ów mularczyk włoski, który onego dnia także był z nami w lesie; Banti się nazywał, jak mi to później powiadano we Lwowie. Wszedł do izby tak jakoś niepostrzeżenie, żeśmy go ani słyszeli, a miał w ręku delijkę, z którą go snadź mistrz jego posłał do pana Niewczas. Stał sobie naprzeciw pana Grygiera i z wielką zuchwałością, po grubemu i nieprzystojnie, że aż sprośna rzecz była patrzeć na to, wykrzywił się krawcowi. Marianeczka pobladła, a potem zaraz pokraśniała cała, jakby wszystka krew z wątłego ciała dziewczeczki w twarz samą jedną się przelała, poskoczyła do mularczyka i odpychając go, zawołała:

– Porwaneś ty hańbie, niegodziwy ladaco! Precz z izby zaraz!

Mularczyk, zamiast ustąpić dziewczeczce, odepchnął Marianeczkę ze złością, że się aż zatoczyła i mało co nie upadła. Porwał mnie na to taki gniew okrutny, że się już powstrzymać nie mógł; skoczę do tego otroka, chwycę go za gardło, że się aż zakrztusił, i tak całą mocą zepnę go ku drzwiom, że się z trzaskiem rozwarły, a Banti wyleciał i upadł na ulicy. Par. Grygier, choć takiej bojaźliwej był duszy, kiedy ujrzał, jak mularczyk jego Marianeczkę potracił, nagle naprawdę jako lew skoczył, cały strasznym gniewem zapalony, że go już nigdy potem takiego nie widział, i byłby pewnie w tej zapalczywości swojej na armaty ogniem zięjące szedł, a swojej dziewczeczki koniecznie pomścił. Gdybyśmy go byli z Marianeczką nie powstrzymali, czepiając się jego rąk i nóg nawet, byłby na pewno zabił mularczyka.

Tak oto zarobiłem sobie na jednego wroga, bom go odtąd miał w Bantim, ale zarobiłem sobie także na sprzyjanie dobrych ludzi, bo do takich pan Niewczas duszą i ciałem należał, a między mną a Marianeczką już odtąd wielka i stateczna przyjaźń była. Napisałem list do matki, a Marianeczka wysłała go do swego wuja, pana Zybulca w Samborze, a tak pewno miałem, że dojdzie. W liście pisałem matce, jako mi Bóg łaskawie pomóc raczył, że dobrych i cnotliwych ludzi znalazł, że już sam na chleb własny pracować się uczę i że mi ciągle coś do serca mówi, że ojciec żyw jeszcze i do nas powróci, i że tu we Lwowie inny świat, i nie ma tu takich szarpaczy, jako podstarości i hajduk, a wszyscy, z którymi tu przestaję, grzeczni i łaskawi są dla mnie. I tak to prawda wtedy była, bo i pan Spytek, i pan Heliasz, i pan Dominik, i Urbanek, i wszyscy domownicy, jako miarkowałem, życzyli mi świadczący, a nawet Woroba, zawsze chmurny i muczny, jakoby wszelkiemu Bożemu stworzeniu krzyw był, czasem na mnie weselej spojrział i nieraz ciężar za mnie rad podźwignął, nie dając się mnie samemu umęczyć. Ale ta pogoda niedługo trwała; zasuwiała się już ciężka chmura nad moją głową, chciałem jej jeszcze nie widzieć i nie przeczuwać.

## VIII

### FOK! FOK! FOK!

Przez ten cały czas służby u pana Jarosza Spytka najdłużej bywałem zawsze z panem Dominikiem, młodszym sprawcą jego handlu, bo pan Heliasz zawsze albo nad tą dużą księgą siedział, albo listy pisał, albo z samym panem rozmaite kwity, rekognicje i intercyzy handlowe przeglądał i układał, zaś mendyczek Urbanek w szkole cały dzień trawił, a tylko na obiad i co drugi albo trzeci dzień wieczorem przychodził, tak że jeno w niedziele i święta dłużej zabawić się z nim mogłem, podczas gdy z panem Dominikiem prawie od rana do wieczora bywaliśmy razem, to w indermachu na składzie między towarami, to w piwnicach przy winie małmazji, którą się bezustannie, to innymi kupcom, to do gospod miejskich, w całych kufach albo garncami wyprawiało. Hamał Woroba zatrudniał się także z nami, ale po staremu milczał i jeno od czasu do czasu jakby niedźwiedź mruknął, kiedy mu się kufa lub jaka ciężka paka towaru z rąk umknęła lub co innego w ład nie szło.

Nadchodził właśnie czas jarmarków i było bardzo dużo roboty, bo na jarmarki ważniejsze wysyłał pan Jarosz zawsze kogoś z towarami; na znaczne jeździł p. Dominik, a na jarosławski, który był najgłówniejszy, nawet sam pan Heliasz; na mniejsze wyprawiano kogoś z młodszych czeladników. Gotowaliśmy tedy jednego dnia towary według rejestrow, które nam wypisał pan Heliasz, kiedy pan Dominik nie mógł jakoś jednego rejestru dobrze zrozumieć i kazał mi z nim iść do kantoru do pana Heliasza i jego albo samego pana zapytać.

W kantorze pana Heliasza nie było, tylko sam pan Jarosz i jakiś drugi pan, który mi się bardzo znaczny wydał, bo ubrany był bogato, szpadę miał pozłocistą przy boku i cudne pierścienie na palcach, a pan Jarosz rozmawiał z nim po włosku, snadź w bardzo ważnej rzeczy, bo ledwie się na progu pojawił i jeszcze się nie był opowiedział, a już mi pan Jarosz ręką machnął i precz mi iść kazał. Wracam do indermachu i mówię, dlaczego się nie sprawił.

– A to już wiem – rzecze pan Dominik – to jest kupiec bardzo znaczny, wenecki, który wczoraj wieczorem do Lwowa przyjechał, w ważnej sprawie on z panem Jaroszem rozmawia; nie dziw, że ci za drzwi kazano.

– Pewnie sztych wielki jakiś z panem Jaroszem robi – mówię, bo pan Jarosz hande zamorskie prowadził i towar towarem płacił; tak że na przykład za zamorskie korzenie dawał wosk, sobole albo bursztyn, bo i to miewał niekiedy na składzie, a taka zamiana «sztychem» się nazywa.

– To nie o żaden sztych idzie – odpowiada pan Dominik – ten Weneccjanin to jest brat tego doktora Kurcjusza, co tu zeszłego roku we Lwowie bez śladu przepadł.

– Jak to przepadł – pytam ciekawie – przecież to musiał być znaczny człowiek, a o takich zawsze się wie i słyszy. Jakżeby na przykład przepaść mógł bez śladu pan Jarosz albo pan Heliasz? Przecież tu we Lwowie Tatarów nie ma?

– Tatarów nie ma, ale bywają ludzie gorsi od Tatarów.

– To go przecież nie zamordowali?

– A co wiedzieć, jeżeli nie? Że przyjechał do Lwowa, to wiadano, ale aby wyjechał, nikt nie widział. Przepadł jak kamień w studni!

– A jakoż go nie szukano, kiedy był człek znaczny?  
 – Szukano-ć go, to prawda, ale, wierę, nie tam, gdzieby się mógł znaleźć.  
 Woroba, który siedział w kącie i słuchał, wyrznął nagle swoją grubą pięścią o dużą pakę, że jej mało w drzazgi nie rozbił i zawołał:  
 – Pod ziemią!  
 – To go chyba zabito i zagrzebano – powiadam – a czemuż go nie szukano pod ziemią? Panie Dominiku, raczcież mi powiedzieć, jako to było?  
 – Fok! – odezwał się znowu z kąta Woroba, ale tym razem już ciszej, jakby sam do siebie mruzczał.  
 – To jest skryta rzecz i może już na zawsze tajemnicą zostanie, choć ludzie dużo o niej gadałi i na nowo gadać o niej będą, skoro teraz umyślnie przyjechał tu ów kupiec wenecki, aby dociekać, co się z tym jego bratem doktorem stać mogło. Palec Boży odkryje pewno zbrodnię, jeżeli to zbrodnia naprawdę była, a wszystko mi jakoś mówi, że, wierę, była.  
 – Fok! – ozwał się znowu z kąta Woroba, ale głośniej.  
 Wiedziałem ja, że Woroba, kiedy około małmazji chodził, a osobliwie kiedy się wino z wielkich kuf do półkufek przelewało, często gęsto łyknał sobie po drodze tak sprawnie, że nikt tego nie widział, i zawsze potem do siebie mruzczał, a nawet pokrzykiwał, myślę tedy, że i teraz nie inaczej było, i nie zważam na to.  
 – Ten doktor Kurcjusz – opowiada pan Dominik – pochodził z Wenecji, a był sławnym lekarzem w Krakowie i często go stamtąd wielcy panowie do siebie, bywało, sto mil i więcej poza Kraków wzywali. On się nie tylko lekarską sztuką bawił, ale i handlem, a zwłaszcza srebra, złote łańcuchy i klejnoty wojowodom i kasztelanom woził, a także pieniądze kupcom i panom ze szlachty pożyczzał, bo ich dużo miał i dużo swoją nauką zarabiał. Otóż rok temu właśnie będzie, kazał mu jechać do siebie książę Ostrogski aż do ziemi wołyńskiej i doktor Kurcjusz wybrał się z Krakowa, a jako zawsze zwykł był, wiozł z sobą dużą skrzynię, pełną najprzedniejszego towaru, bo jak o tym dawał tu znać pan Montelupi z Krakowa, przyjaciel i podobno krewny jego, było w tej skrzyni mnogo srebra i złota, było dość pierścieni i kanków sadzonych samymi brylantami, rubinami i perłami, kilka złocistych kobierców i sporo innych przednich osobliwości, a także driakwi funtów dwadzieścia. Ale co pewno jeszcze więcej ważyło, miał z sobą pan doktor Kurcjusz zapisy i kwity na wielkie sumy, które szlachta i kupcy dłużni byli, a bratu jego, który z Wenecji do Lwowa umyślnie przyjechał, już nie chodzi tyle o to złoto i klejnoty, co o te papiery, bo w nich ogromny majątek leży i bez nich onych długów dochodzić nie można.  
 – A i to wszystko przepadło? – pytam pana Dominika.  
 – Fok! – odzywa się znowu spoza pudeł i miechów Woroba, ale teraz to już wcale z krzykiem.  
 – Tak samo przepadło, jako i doktor – odpowiada pan Dominik i patrzy na Worobę, ale tak, jakby go dobrze zrozumiał.  
 – A jakżeż nie szukano, kto go wiozł, z kim jechał i u kogo we Lwowie stanął? – pytam znowu.  
 – Jechał z nim od Jarosławia pan Jost Fok i u tego Foka stanął w Fatrowskiej kamienicy, co jest narożna w rynku na południowej połaci.  
 – I tam przepadł? wołam i dopiero teraz widnieje mi w głowie, czemu Woroba ciągle tak: «Fok! Fok!», z kąta woła. – Ale skoro ten doktor Kurcjusz z panem Fokiem przyjechał i u pana Foka stanął, to pan Fok wiedzieć powinien, gdzie się podział.  
 – Może i wie, ale nie powie.  
 – A czy go pytano na ratuszu?  
 – Pytano długo, bo i z Krakowa, i od księcia Ostrogskiego i od pana starosty sandeckiego Lubomirskiego listy do panów radziec i do pana wójta przyszły, aby się w to surowo wdali, i sam wenecki senat przez pana Massarego o to się upominał. Turbowano o to pana Foka w



urzędzie, nawet go do więzienia pod Aniołem na kilka dni zamknięto, ale on się odprzysiągł na ratuszu przed krucyfiksem i panami ławnikami, jako doktor Kurcjusz rzeczy swoje przed sobą wysłał, całe ich z woza nie zdejmując, a sam tylko u niego przenocował, a nazajutrz zaraz po odemknięciu bram miejskich na drugim wozie odjechał. Wrotni miejscy z początku mówili, że nikt taki żadną bramą nie wyjechał, ale potem jakoś zaczęli mówić inaczej, że może być, że im się tak zdaje, że nie pamiętają; a powiadano sobie w mieście, że im ktoś za to dobrze zapłacił.

– A wy, panie Dominiku – pytam – co o tym myślicie?

– Ja to samo myślę, co nasz Woroba, ale mówić o tym nie będę, bo to nie bardzo bezpiecznie.

– Fok! – krzyknie znowu Woroba gdzieś spoza miechów i kuf, jakby spod ziemi.

– Panie Dominiku, a co za człowiek jest ten Fok!

– Pan Jost Fok – mówi pan Dominik – jest niemieckiego pochodzenia, ale nie z takich cnotliwych Niemców, z jakich pan Melchior Szolc albo pan Jan Alembek idzie, bo mówią jedni, że ojciec jego był katem w Głogowie na Śląsku, inni że jest synem Żyda, co się pod szubienicą wychrzcił dla uratowania życia, a znowu inni, że się on Fok nie nazywa, tylko się tak sam przyznał, bo tych prawdziwych Foków rodzina jest i znaczna, i uczciwa. Ale dzisiaj ma już prawo miejskie i posiadłość znaczną, i w łaskach jest u pana rajcy Haydera, który go za swego faktora przy handlach rozmaitych wziął, bo też ma to być człek bardzo sprytny i przebiegły. I jeno co nie widać, że go do Czterdziestu Mężów wybiorą, a może i ławnikiem wrychle zostanie. Ale pal go tam kat, Fok czy nie Fok, a ty mi idź znowu do pana Heliasza z tym rejestrem, jako go rozumieć mam.

Tego samego dnia pod wieczór przed zamknięciem handlu kazano mi w sklepie samym pomagać przy obmiataniu szaf i słoików z kurzu, co się u nas raz na tydzień, w sobotę, bardzo pilnie odprawiało i w ten dzień zawsze sklep wcześniej zamykano. Pilnował zawsze tej roboty pan Heliasz.

Kiedy tak stojąc na drabince, spoglądnę przez otwarte okno na rynek, widzę, idzie popod nasz sklep człowiek wysoki, rudy, w kabacie z łosiowej skóry i z krótkim mieczykiem przy boku, z bardzo przenikliwym a szpetnym wzrokiem, którym to na prawo, to na lewo wodzi. Popatrzę nań raz jeszcze i widzę teraz, że to ten sam Niemiec, który był z podstarościm na leśnej polanie w owej chwili, kiedy mnie kopiącego Kajdasz był przychwycił, i który tak ostro i tak bacznie spozjrzał wtedy na mnie, jak gdyby mnie sobie dobrze chciał zapamiętać na zawsze.

Odwróciłem się szybko od okna, aby mnie nie zobaczył, i serce mi zapukało od trwogi, a było się czego nastraszyć, bo ten Niemiec był przecie świadkiem, jak hajduk Kajdasz padł krwią zalany od mojej ręki. Mało brakło, a byłbym spadł z drabinki, tak mnie widok tego Niemca przeraził. Udałem, że jestem bardzo zajęty robotą, i całą głowę ukryłem poza duży słoik, który podniosłem jedną ręką, drugą niby kurz ocierając, choć mi ta ręka tam i sam biegła, że owo cud był, że niczego nie stłukł – ale dobrze się tak stało, bo Niemiec ten pod same okno podstąpił i pana Heliasza pozdrowił. Pan Heliasz podziękował, ale w rozmowę się nie wdał, tak że Niemiec poszedł dalej. Poczekałem chwilę, aż się dobrze oddali, i złącząc potem z drabinki, pytam:

– Panie Heliaszu, kto jest ten człowiek, który was pozdrowił?

– A tobie na co wiedzieć? – odpowiedział pan Heliasz, bo bardzo nie lubił, aby przy robocie gadano, a osobliwie, kiedy go kto z prostej ciekawości pytał.

– Bom tego Niemca widział na wsi w Podborzu, kiedy popioły u nas wypalać zaczęto.

– To jest pan Jost Fok – rzecze krótko pan Heliasz – faktor pana rajcy Haydera.

Zaczęło mi teraz serce naprawdę kołatać; zdało mi się, że mi ono pod piersią ciągle tylko: Fok, Fok, Fok... – woła. Nie wiem już, jako dokonałem tej roboty, bom się po omacku ruszał, z otwartymi oczyma, a przecież ślepy, i tak mi było, jak gdyby to tylko mój cień był w skle-

pie, a ja sam gdzieś daleko na innym świecie, bo taka już zawsze była moja natura, że w pierwszej chwili, kiedy mnie co trafiło, na pierwszy strzał, jako się to mawia, odbiegały mnie myśli i samego siebie gdzieś gubił, że się ani znaleźć można było, ale po tej pierwszej chwili wrychle mi przychodziło opamiętanie i sercam znowu nabierał, tak że radzić o sobie już mogłem.

Tak też i teraz było. Pobiegłem do mego alkierzyka, choć iść spać jeszcze za wcześnie, alem chciał być samotny, aby nie pokazywać po sobie, że jestem w niepokoju i serdecznej trwodze. Myślałem sobie, jaka to zła i niebezpieczna rzecz jest, mieć coś skrytego w duszy i sumieniu i musieć to osłaniać przed ludźmi, i strzec się, i pilnować własnych słów, i kłamać milcząco! Cnotliwy człowiek skrytości i tajemnic nie ma, a ja takie zatajenie w sobie noszę i nigdy do samego dna szczerym być nie mogę z dobrymi ludźmi, bo na dnie zawsze zostanie Semen i jego przekłety sekret, i ta żelazna puszką, która uczepiła się do nóg moich jakby nieznośnie ciężka ołowiana kula!

I gorzko się o tym przeświadczyć teraz mogłem, jako każdy postępek i każdy czyn taki, którego ci się spełnić nie godziło, chodzi za tobą jakby cień i kiedy ci się zdaje, żeś go zostawił daleko za sobą, to on ci na plecach siedzi, i że to, co się źle stało, nigdy końca nie ma, ale wraca do ciebie i poprzek drogi ci staje.

– Fok, Fok! – powtarzałem sobie w myśli, tak jak Woroba za miechami w indermachu. – Jeżeli mnie ten Fok pozna, zem ja ten sam, co na polanie leśnej coś tajnego wykopał, zem ja ten sam, co Kajdasza zabił, tedy diabeł mnie już żywcem ma, bo będę w ręku złego człowieka, okrutnika, zbrodniarza, co doktora Kurcjusza zamordował, a co ze mną będzie?

Niespokojną noc miałem, ale przecie tej jednej wielkiej pociechy mi nie brakło, że Bóg lepiej zna moje serce i sumienie, niż ludzie i że mi potężnym świadkiem i obrońcą być raczy, jeśli na mnie jakie ciężkie utrapienie spadnie.

## IX

### W PUŁAPCE

Obudzi się rano ptaszek na zielonej gałęzi, świat mu piękny, słońko ciepłe, na niebie pogoda. Strzepie rosę z piórek, zaśpiewa wesoło i wyleci z krzaka na wolność, na rozkosz, na zielone pola, na pszeniczne kłosa. Wtem pada strzała z łuku myśliwca albo kamyk z procy pastuszka i owo już na ziemi biedaczek ze złamanym skrzydłem. Tak i mnie było. Młodość dlatego taka szczęśliwa, że wielką rzecz ma sobie za małą, a małą za wielką. Smutek dla niej jakoby za górami, a radość, zawsze blisko; byle co, a już się cieszy. Bo kiedyś młody, to poza siebie się nie oglądasz, a przed siebie nie patrzysz; co się stało, to jakoby nigdy nie było, a co się stanie, o to nie dbasz, zawsześ sobie rad i temu, co dzisiaj ci przypadło.

Kiedy się nazajutrz obudziłem, a była to niedziela, nic już z tego w głowie nie było, co mi wczoraj zasnąć nie dawało, a to jedno głupstwo, że mi pan Niewczas zrobił już nowe miejskie ubranie i że je dzisiaj po raz pierwszy oblokę, tak mnie radowało; że mi się życie wydało miłe, a świat piękny jako nigdy. Kiedym się już ubrał, taki strojny wydałem się sam sobie i tak całę inszy od wczorajszego, żem owo pomyślał: Już nie ma biednego Hanusika, jest teraz tylko pan Hanusz!

Zaraz też wybrałem się na miasto, a najpierw chciałem iść do katedry na ranną mszę. I owo tak mi się zaraz stało, jako onemu ptaszekowi, albowiem ledwie w bramie byłem, kiedy widzę i oczom nie wierzę: o kilkanaście kroków ode mnie idzie hajduk Kajdasz, a koło niego ów Żyd turecki Kara-Mordach, a obydwu prowadzi Lorenc złotniczek, ten sam, którego poznałem w owej przygodzie z Tatarami!

Skoczyłem w tył i schowałem się w bramę, aby mnie hajduk Kajdasz nie poznał, a już nie wiem, czego w onej chwili więcej zażyłem: strachu czy radości? Byłem dotąd pewien, żem Kajdasza zabił, i ciągle mi był w oczach jako trup leżący we krwi na polanie, a tu go widzę, jak idzie żyw i zdrów, i jeszcze bardziej oparzysty na twarzy i z większym jeszcze brzuchem, aniżelim go zostawił!

Spadł mi wielki ciężar z duszy i sumienia, żem nie zabójca, za jakiegom się miał, i prawie bym był rad ucałował hajduka z samej wdzięczności za to, że jeszcze żyć raczy, chociaż to pewno na moją biedę wyjdzie. O czarnym Żydzie już w Podborzu wiedziałem, że go Semen na śmierć nie zabił, jeno ciężko ranił, ale mówiono także, jako mu żaden balwierz nie pomoże i że umierać będzie musiał – tedy i temu bardzo rad byłem, że Semen tak samo, jako i ja, nie jest mężobójcą, bo choć Kozak pewnie o to nie dbał, tom ja przecież dbać musiał, skoro już przyjaźń i współność tajemną z nim miałem.

Ale po tej pierwszej radości przysłyż zaraz myśli markotne. Po co Kajdasz przyjechał do Lwowa i dlaczego jest z nim Kara-Mordach? Nie o co innego im chodzi, jeno o Semenę, a jeżeli im chodzi o Semenę, to i o mnie, a nawet o mnie więcej niż o Semenę, bo o Semenę nikt nie wie, gdzie przepadł, a o mnie dowiedzieć się łatwo było, gdzie jest, bom przez Marianeczkę do matki pisał, a matka pewnie z samej uciechy innym powiadała, żem we Lwowie na dobrej służbie, u cnotliwych ludzi.

Tak myśląc stoję ukryty w bramie i patrzę za nimi, dokąd idą, a w głowę zachodzę, co z nimi ma za kompanię złotniczek Lorenc i gdzie ich prowadzi? Przeszli na poprzek rynek od połaci południowej ku zachodniej, Lorenc podprowadził ich pod kamienicę jedną, wskazał im bramę i wrócił, a oni obaj weszli do sieni. Wiedziałem, że to była kamienica p. rajcy Uberowicza, który właśnie natenczas był obrany wójtem miejskim i z panami ławnikami sądy sprawował; nieraz mnie pan Heliasz albo sam pan Spytek do niego posyłał. Lorenc, wróciwszy, szedł ku kościołowi oo. Dominikan, ja też widząc, że tamci zostali w kamienicy pana wójta, biegnę co tchu za Lorencem, a dopadłszy go, witam grzecznie i mówię:

– Panie Lorenc, coście wy tego tureckiego Żyda i tego drugiego brzuchacza przez rynek gdzieś wiedli?

– Pan Siedmiradzki mnie z nimi posłał, abym im ukazał, gdzie mieszka pan Uberowicz, bo z nim, jako z wójtem, mają ważną sprawę – rzecze Lorenc.

– A co to za ludzie i skąd? – pytam udając, że ich nie znam.

– Ten jeden, w tej długiej czarnej żupicy, to jest kupiec turecki; mówi, że nawet sułtański, a ten drugi, to hajduk z samborskiego zamku. Przyjechali za niemałą rzeczą; gdybyśmy to mieli, czego oni szukają; hej! hej! pytalibyśmy, co Lwów kosztuje!

– To chyba całej fury złota i srebra szukają, ano i kilka fur może – rzekę na to.

– Gdyby to były fury złota albo srebra, snadniej by im znaleźć przyszło, ale to, co temu Żydowi wzięto, to ja w garści zamknę, a przecież ono za połowę rynku stoi!

– A cóż by to za cudowna rzecz była! – wołam i mówię dalej, aby złotniczka za język pociągnąć. – Żartujecie zdrowi, panie Lorenc, ze mnie, prostaczka.

– To nie są żarty, ale sama prawda. Bo to jest brylant czyli diament najprawdziwszy, wielkości niepomiernej, a najczystszej wody, a za taki brylant to i setki tysięcy dukatów się płaci! Gdybyś ty miał brylant jeno taki, jak ziarnko grochu, to już zań parę wołów kupisz, cóż dopiero, kiedy taki, jak gołębie jajo! Owo taki duży brylant wzięto temu tureckiemu Żydowi.

– We Lwowie mu wzięto? – pytam Lorenca.

– Nie we Lwowie, ale gdzieś niedaleko Sambora; napadł go tam w drodze Kozak jeden, czeladnik pana Koniecpolskiego, zrabował go srodze, w polu za nieżywego zostawił, a z brylantem uciekł.

Zaparł się we mnie oddech na tę powieść Lorenca i tak mi się duszno zrobiło, że i słowa jednego przez chwilę wyrzec nie mogłem. Ale całą mocą się jakoś trzymałem, aby niczego po sobie nie dać znać i ochłonawszy jako tako, pytam złotniczkę:

– A co za sprawę ma z tym Żydem i z tym brylantem pan Siedmiradzki?

– Co za sprawę ma? Pan Siedmiradzki, jako jest złotnik na całą Polskę sławny, a i poza Polską także, bo go i w Turczach, i w Moskwie, i w Niemczech dobrze znają, przecie od tylu lat sam drogimi kamieniami handluje, i czy to on jeden taki brylant naszemu królowi Jegomości albo rozmaitym innym monarchom i książętom sprzedał? Carski skarb w Moskwie to mu jeszcze całe krocie tysięcy winien za drogie kamienie, diamenty, szafiry, rubiny, szmaragdy... ale co to mówić, kiedy ty na to głupi.

– Tom dlatego ciekawszy, panie Lorenc, i wdzięczniejszy wam za to będę – rzekę pokornie, aby złotniczka zachęcić do gadania.

– Owóż masz wiedzieć, że mój pan mistrz o ten zrabowany brylant już dawno odebrał listy, bo mu miał być przesłany od księcia ziemi siedmiogrodzkiej Betlen Gabora, który kamień ten już był sobie u tego turskiego Żyda ujednał, i jeno o to szło, aby mój pan go widział i wartość jego otaksował, i aby go potem do Amsterdamu, do Inderlandów, wyprawił, gdzie brylant miał być oszlifowany, bo ta jeszcze surowy kamień jest, taki, jak z ziemi wyszedł. Opowiadał nam pan Siedmiradzki, że o tym kamieniu już dawno słyszał i że cudowne wieści o nim chodzą jakby w bajce. Miał go jeden bardzo znaczny Turek, basza sułtański, i temu go Kozacy w Synopie nad Czarnym Morzem zrabowali, potem odbił Kozakom basza ten kamień, ale w jakiś czas znowu sam z brylantem w ręce kozackie się dostał, a od Kozaków ku-

pił go ten Żyd turecki. Ma ten brylant swoje nazwisko, bo bardzo duże brylanty, że ich bardzo mało na świecie jest, mają swoje własne nazwiska jak ludzie, i tak jest jeden ogromny, co się nazywa Kohinor, drugi, co się nazywa Nadyr-Szach, inny Moguł, znów inny Florent. A ten, co temu Żydowi jakiś Kozak wziął, to jak powiadał nam pan Siedmiradzki, nazywa się Oko Proroka.

Więcej mi wiedzieć nie było potrzeba! Oko Proroka! A więc w tym małym żelaznym olsterku mieści się skarb, za który kupić można Lwów cały, a przynajmniej połowę rynku! A ja, mizerny pacholek, ja, podły czeladniczek w handlu pana Spytka, ja, chłopskie dziecko bez dachu i chleba, jestem wiernikiem i stróżem tego skarbu, o który się krew rozlewała i o który książęta listy rozpisują! A ten kamyk, taki cudowny, taki drogi, że go całą furą złota nie zapłacisz, leży w alkierzyku, w mojej skrzynce ubogiej, w której nic nie ma, jeno kilka koszułin, stara podborska sukmanka, para buciąt podartych i owa książeczka: *Officium*, czyli *Goździnki do Anioła Stróża!*

Pierwsza myśl moja była, biec zaraz do domu i zobaczyć, czy żelazne olsterko jeszcze jest w tej skrzypce biednej, która nie miała nawet zamka, bo ostatnimi czasy całe zapomniałem o nim i nie widziałem go już dość dawno. Idę tedy do domu, ale nie od rynku, bom się bał natknąć na Kajdasza, jeno od ulicy, co z tyłu niedaleko muru miejskiego była, bo kamienica pana Spytka dwa wchody miała. Zastaję tylną bramę zamkniętą, bo ją w niedzielę zawsze na cały dzień zamykano, o czym ja w pośpiechu moim zapomniałem. Chcę wracać do rynku, kiedy czuję, że mnie ktoś z tyłu silnie za ramię ułapił. Oglądnę się żywo i jakbym upiora zobaczył, stanę nieruchomy i jakby skamieniały z nagłego strachu!

Nade mną stał pan Jost Fok i wlepił we mnie swoje oczy, zielankowe i świecące jak u kota, a na ustach miał uśmiech, z którym jeszcze mi się straszniejszy wydał. Nie rzekł ani słowa, jeno ściskając moje ramię jeszcze mocniej, powiodł mnie z sobą. Szedłem chwilę bez woli, jakoby bezduszne bydłę, ale gdym tak kilkanaście kroków uszedł, szarpnąłem się z całej mocy, chcąc się wyrwać, ale Fok jeszcze silniej ścisnął mnie swoją dłońią i pociągnął dalej za sobą.

– Panie Fok – mówię – puśćcie mnie, co mnie szarpiecie!

– To ty mnie znasz? – odpowiada i wiedzie mnie dalej.

– A wy mnie znacie? Com wam zawinił i czego chcecie ode mnie?

– Ty jesteś Hanusz Bystry z Podborza – rzecze Fok głosem spokojnym, a przecie takim surowym, że się aż zimno robiło – ty jesteś Hanusz Bystry i jeżeli nie pójdziesz ze mną cicho, spokojnie, pokornie, jako przyjaciel z przyjacielem, to pamiętaj, że tylko palcem ruszę, a jakby się ziemia otworzyła przed tobą, zaraz tu będzie pan Kajdasz i pan wójt, a pacholki miejskie za nimi.

I przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie, i znowu tak na mnie groźnie popatrzył, że mi dreszcz przebiegł po plecach. Nie było co namyślać się długo; gdybym się bronił i krzyczał, mogłoby być gorzej ze mną. Powiedziałem sobie tedy, że lepiej iść na wolę Bożą z tym strasznym człowiekiem aniżeli od razu na ratusz do więzienia, w straszniejsze może jeszcze ręce Kajdasza, pana wójta, cepaków miejskich, a co wiedzieć, czy i nie kata?

Tak weszliśmy w Ruską ulicę a z Ruskiej na róg rynku i do Fatrowskiej kamienicy, gdzie było mieszkanie pana Foka. Weszliśmy na pierwsze piętro, Fok zapukał głośno do drzwi, a po dłuższej chwili otworzyła nam stara szpetna baba, z głową owiniętą w żółtą chustę, spod której wyłaziły rozczochrane kosmyki siwych włosów, z dużymi okrągłymi okularami na garbatym nosie, że wyglądała jak sowa.

Nie widziałem nigdy czarownicy; ale kiedym przybył do Lwowa, to mi opowiadał p. Dominik, że jakoś rok temu spalono starą kuśnierkę Szurzykową, jako przekonaną w urzędzie o praktyki z nieczystą siłą; tedy sobie pomyślałem, że Szurzykowa musiała pewno tak wyglądać, jak ta straszna baba. Na moją pociechę Fok dał znak tej babie, a była to jego matka, aby sobie poszła, bom się tej wiedźmy może bardziej bał niż jego samego.

Kiedyśmy już byli sami w izbie, pan Fok puścił moje ramię, bo dotąd ciągle mnie mocno trzymał, zamknął drzwi na klucz i siadając na zydlu, patrzył na mnie, milczący, jak kot na mysz złowioną. Ja tymczasem już nieco przyszedłem do siebie i serca mi trochę przybyło, i zacząłem myśleć o sobie, co by robić i jakby się z tej matni wydobyć? Byłem już wyrostek duży, szesnastoletni, na wiek mój całe silny, mógłbym być już niejednemu chłopu stawić się na rękę; spojrzałem tedy na Foka bacznie, jakbym go okiem chciał zmierzyć i zważyć, czy mu się dam; czy nie dam, i czy też siłą mocą nie wydrę się z rąk tego złego człowieka. Ale Fok snadź zaraz odgadł, co mam w myśli i oku, bo popatrzył na mnie przenikliwie, wy dobył z pochwy swój mieczyk, pomacał palcem ostrza i znowu schował, a potem tak spojrzał na mnie, jakoby rzecz chciał samemi oczyma: Nie tędy, braciszku, droga.

– Teraz możemy pogadać z sobą – ozwał się Fok po chwili, a mówił już dość sprawnie po polsku, bo lat kilkanaście temu, jak był przywędrował do Lwowa.

– Ja z wami, panie Fok, nie mam żadnej sprawy – rzekę – i nic do gadania.

– Ale ja mam z tobą – mówi Fok na to. – Mam cię pozdrowić od pana Kajdasza; zdrów jest, niedobrześ go trafił rydlem, trzeba było lepiej.

– Widziałem dziś sam Kajdasza i rad jestem, że żyje, bom go zabić nie chciałem.

– Tedy i Żyda Mordacha widzieć musiałeś, a może już i wiesz, po co tu przyjechał?

– Nie wiem i nie dbam o to – rzekę śmiejąc, bom czułem, że mi się pokora z tym człowiekiem na nic nie przyda.

– Dlatego nie dbasz, że nie wiesz, ale jak się dowiesz, inaczej będzie. Mordach przyjechał do Lwowa; imać kogoś takiego, o którego ty bardzo dbasz, i oddać go na ratusz. A tym kimsiem to ty jesteś.

– A za cóż mnie imać mają? – pytam.

– Za co? Za to, żeś zbójca i złodziej.

– To nieprawda!

– Ja też tego nie mówię; to oni mówią. Ale ja bym nie chciał w twojej skórze być i bardzo mnie cię żal.

– Kiedy wam mnie żal, panie Fok – mówię na to – czemuż mnie siłą pod kluczem trzymacie i z mieczem nade mną stoicie jak nad złoczyńcą?

– Bo cię ratować chcę, Hanusz.

– Ratował mnie będzie Pan Bóg, a wy mnie puście.

– Dziękuj już teraz Panu Bogu, że tu siedzisz; masz ty za co. Kiedybyś ty wiedział, co cię czeka, tobyś mnie na klęczkach błagał, abym cię stąd nie puścił, i na próg byś się kładł, a wyniść nie chciał.

Popatrzyłem na niego z niewiarą i z gniewem, że mnie krzywdzi, niecnota, i jeszcze sobie ze mnie szydzi, co też Niemiec zaraz zmiarkował i tak rzecze:

– Właśnie teraz, kiedyś ty u mnie, cepaki ratuszowe, których pan wójt wysłał, szukają cię u pana Spytka. Gdyby cię był nie spotkał i nie ukrył u siebie, już by cię byli wzięli na ratusz, już byś nieboże siedział teraz w Dorotce.

– A za cóż by mnie brać miano do Dorotki? – pytam na pozór śmiejąc, ale w duszy nie bardzo mężny, bo Dorotka ta była nazwa ciemnicy więziennej, do której sadzano najgorszych złoczyńców we Lwowie.

– Nie będziesz ty łgał przede mną, nie obelżesz mnie; wiem ja dosyć, a ty wiesz więcej.

– A cóż wy wiecie przeciw mnie?

– Kto miał przyjaźń z tym Kozakiem, Semenem Bedryszką? kto z nim napadł na gościńcu Żyda Mordacha? kto to zrabował, co Żyd miał przy sobie? kto zakopał i wykopał?

– To jest sprawa Kozaka, a nie moja; jam nikogo nie napadł i nie zrabował. Szukajcie sobie Semena, kiedy wam go trzeba.

– A cóż ty w lesie wykopał? – zapytał nagle Fok i położywszy obie dłonie na moje plecy, tak ostro utkwiał we mnie oczy, jakby mnie aż do duszy chciał przeniknąć.

Wytrzymałem jego spojrzenie, anim mrugnął, i mówię:

– Nic.

– A jam to «nic» widział – zawołał Fok już bardzo niecierpliwy – na własne oczy widział, bom cię przecie zeszedł na tym w lesie! Co to za rzecz była w tym skórzanym mieszku?

Stałem niemy jak słup, kiedy mi to powiedział, bom dotąd pewien był, że ani on, ani podstarości, ani Kajdasz nie widzieli, że ów mieszek chował w zanadrze.

– Co to było? – woła teraz surowo Fok, pewny, że mnie już ma.

– Nie wiem, o niczym nie wiem.

– Gdzieś to podział?

– O niczym nie wiem – znowu rzekę i tak sobie już postanowiłem, to jedno tylko powiadać, choćby mnie sto razy pytał.

– O niczym nie wiesz? – rzecze na to Fok. A o tym, czy także nie wiesz, jako pytają na ratuszu? nie powiadano ci jeszcze? Tam każdy złoczyńca najpierw tak mówi, jako i ty: o niczym nie wiem. Tedy go po dobremu proszą: powiadaj, nie daj się psować! A jak nie powie, tak jako ty powiedzić mi nie chcesz, tedy dają go katu, a kat bierze go na śrubę. A wiesz, co to śruba? Jak kat pokręci, raz, drugi raz... trzeci... wyciągnie ciebie jako strunę na skrzypcach, powykręca ci stawy i członki, powywraca łopatki, wszystkie kości zaczną trzeszczeć, żebra się rozsadać będą. I żebyś jaki twardy był, śpiewać, niebożę, będziesz!

Przeszło po mnie mrowie od stóp do głowy i czułem, że mi się włosy jeżą, bom ja słyszał o tym dużo jeszcze na wsi, a i pan Dominik opowiadał mi, jako to złoczyńców biorą we Lwowie na męki, jako im kat boki przypala świecą, szarpie ciało rozpalonymi kleszczami i inne okrutne zadaje udrczenia, aż póki się nie przyznają do zbrodni i nie wydadzą swoich współników, i jako zdarza się często, że najniewinniejszy człek, który dostał się w. podejrzenie zbrodni, na tych mękach sam siebie i drugich oskarża, sam powiada na siebie to, czego nie zrobił, byle się z tych mąk wydobyć, a potem już bez żalu na szubienicę albo pod miecz idzie, bo z popsowanym ciałem i tak by żyć długo nie mógł!

Pan Fok nie spuszczał mnie z oka, jakby miarkował dobrze, co się we mnie dzieje.

– Obacz się teraz, chłopie, jako stoisz – rzekł po dobrej chwili milczenia. – Jeżeli mnie odpowiadać nie będziesz, to odpowiesz katu. Co tedy wolisz? Katu wyśpiewasz wszystko, a po takiej spowiedzi przyjdzie sroga pokuta: miecz albo szubienica, bo tu o rozbój, o ciężkie poranienie i o kradzież sprawa. A komu z tego zysk? Tylko temu Żydowi Mordachowi, a nie Kozakowi i nie tobie.

– Ani wam – rzekę już śmielej, bom znowu nieco odwagi nabrał.

– Ani mnie – mówi na to Fok – ale to twoja wielka szkoda i twojego ojca, który jak mi powiadano, podobno w pogańskiej niewoli żyje.

Zaświtało mi w głowie, kiedy to powiedział. Tedy tobie droga, panie Fok – pomyślałem sobie – chodzi tobie o własny zysk; nie dla żadnej sprawiedliwości mnie tu trzymasz i nie dla onego Żyda, ale dla siebie, abym tobie to wydał, co mi Kozak Semen powierzył. Mówię mu tedy:

– Panie Fok, a jak to umyśliliście? Sobie wam się chce?

– Sobie i tobie – odpowie – bo ty sam tego ani sprzedasz, ani zjesz, ani się tym od szubienicy wykupisz. Pokaż to jeno komu, a pewnie ci głowę zdejmą. A jak się mnie zwierzysz, będziesz bogaty, ojca z niewoli wykupisz i panem z chłopą zostaniesz. W moim ręku – to złoto, a w twoim – to śmierć. Masz wóz i przewóz; wybieraj, ale zaraz, w tej chwili, bo będzie za późno.

Na pokuszenie mnie powiódł ten niecotliwy Niemiec, ale zaraz pomyślałem sobie: Nie będziesz mu po woli, to zgubisz ciało; bedziesz, to zgubisz i ciało, i duszę. Teraz mam czyste sumienie i niczego się w sercu moim sromać nie potrzebuję, a jeżeli posłucham tego człowieka, w złoczyńcę się zaraz obrócę; przez chciwość będę zdrajcą i złodziejem. Niechajże się ze mną stanie, jako chce, ale wierności dochowam i przysięgi mojej nie złamię. Chcę tedy

Fokowi zaraz tak odpowiedzieć, kiedy naraz odzywa się silne pukanie do drzwi. Fok powstał szybko z zydlu, popatrzył na mnie, a potem dokoła izby, jakoby szukał, gdzie by mnie schować.

– Kto tam? – zapytał, a mnie dał znak, abym milczał.

– Otwórzcie, proszę, panie Fok, to my obadwaj, ja i pan Mordach – odezwał się głos za drzwiami. Poznałem zaraz – był to głos hajduka Kajdasza! Struchlałem, pewien już tego, że stracony! We dwa ogniem się dostał, między dwie paszcze smocze! Na lewo wróg, na prawo wróg, a ja bezradny pośrodku; jeno czekać, który będzie pierwszy, co mnie we szpony chwyci! Zdało mi się tak, jakbym w przepaść leciał, a na dnie śmierć widział!

Ale inaczej się stało. Nie tylko ja nastraszył się tych gości; pan Fok także bardzo im był nierad. Rozglądnięt się szybko po izbie, potem nagle chwycił mnie za rękę i powiódł do jakichś niskich drzwiczek, o których ja myślałem, że to jest ścienna almaryjka do chowania sukien, otworzył je, pchnął mnie jakby w jakąś czeluść ciemną i te drzwiczki na klucz za mną zamknął. Zleciałem gdzieś, jakby na jakieś schody wąziutkie i strome, i ledwie się na nich zatrzymał, a dokoła mnie była ciemność jak w piwnicy.



## X

### UCIECZKA

Macając koło siebie, poznałem, że jestem na wąskich schodkach, które w dół prowadzą, ale co tam na dole, w ciemności widzieć się nie dało. W górze nad sobą widzę tylko światło z izby, co się przedzierało przez szczelinki tych drzwiczek, którymi mnie Fok wyprawił tak nagle. Podlażłem tedy wyżej pod same drzwi i słucham, co mówią w izbie.

– A to źle jest – słyszę głos Foka – kiedy tego chłopca nie macie jeszcze.

– Z ratusza zaraz posłano pachołków do pana Spytka – mówi Kajdasz – ale go tam nie było. Wszedł rano i jeszcze nie wrócił.

– To i nie wróci – powiada Fok.

– Kiedy on tylko do kościoła miał pojsć; wezmą go pewnie, a może już i wzięli. Przyszliśmy po was, panie Fok, abyście z nami szli na ratusz jako świadek, żeście widzieli, co się stało onego dnia w lesie i jako tego chłopaka na kopaniu zeszlśmy. Pan wójt was prosić kazał.

– Pan wójt nie pomoże i moje świadectwo nie pomoże, kiedy chłopca nie ma.

– Ale będzie – odzywa się głos trzeci po rusku, a to był pewnie głos Żyda Mordacha, który tylko po turecku i trochę po rusku mówić umiał. – Już na niego u tego kupca czekają i po mieście go szukają także.

– Szukają, ale nie znajdą – rzecze krótko pan Fok.

– Czemużby nie? – pyta hajduk.

– Bo uciekł.

– Uciekł! – zawołali razem hajduk i Żyd.

– A uciekł – mówi Fok – i głupi by był, gdyby nie był uciekł, skoroście łazili w jasny dzień po rynku, że was każdy widział! Trzeba było mnie słuchać. Mówiłem wam: nie jedźcie, zostawcie to mnie, a jeżeli już koniecznie jechać chcecie, ukryjcie się gdzie w gospodzie.

Mordach coś po turecku z gniewem zawołał, jakby kłął, i znowu po rusku się ozwał:

– Gdzie on mógł uciec! Trzeba go zaraz łapać! A jak wy wiecie, że uciekł?

– Bo wiem, g d z i e uciekł.

– Wiecie, gdzie uciekł, panie Fok, i nie mówicie tego zaraz, a my czas tracimy! Gdzież on uciekł? On nie mógł daleko uciec; w którą stronę on uciekł!

– We Lwowie jest cztery wyjścia, dwie bramy i dwie furty, pewnie przez jedną z nich uciekł.

– Panie Fok – mówią razem i Kajdasz i Żyd, bo prawie zawsze razem mówili, pomagając sobie wzajem – wy z nas żartujecie, a nam się pod nogami pali!

– A mnie się nie pali – mówi pan Fok spokojnym głosem – bo ja tego chłopca jakbym w kieszeni miał.

– To go nam dawajcie, na ratusz go dawajcie! – woła Żyd, a głos mu się trzęsie ze złości.

– Dawajcie, dawajcie, powtarza pan Fok tym samym spokojnym głosem. – Panie Mordach, i wy kupiec, i ja kupiec; wy wiecie tak samo dobrze, jako i ja, że dawać, a nie brać, to rzecz głupia jest.

Jakiś czas cicho było w izbie; przynajmniej jam nic słyszeć nie mógł, choć miałem ucho do drzwiczek przytknięte.

– Panie Fok, czemu wy nie zaczęli od tego? – ozwał się nareście głos Żyda.

– Bo to wasza rzecz była zaczynać, a zaczęliście beze mnie – odpowiedział Fok.

– Co mam dać? – pyta Żyd.

– Co wam ten chłopiec wart? – pyta Fok.

– A co was ten chłopiec kosztuje? – pyta Żyd.

– To, co wam wart – mówi Fok.

– Jak przy nim tego nie ma, co mi Kozak wziął, to on mi nic niewart – powiada Żyd.

– A jak przy nim to jest?

– Sto dukatów – rzecze Żyd.

– To bardzo mało.

– Dwieście dukatów.

– To jeszcze mało.

– Trzysta!

– Jeszcze mało.

Mordach znowu zaklął z turska i prawie już nie krzyknął, ale zacharczał, jako wtedy, kiedy Kozak Semen gardło mu dławiał:

– Pięćset!

– Panie Mordach – rzecze teraz Fok – jeżeli wam chłopca dam, a u chłopca będzie to, czego szukacie, dacie mi tysiąc dukatów. Ani grosza mniej! Spiszemy z sobą na to intercyzę, złożycie pieniądze za rękę, a do jutra rana przystawię wam chłopca, gdzie chcecie: na ratusz, do gospody, do kata, choćby prosto pod szubienicę. To moje ostatnie słowo, jakem Fok!

Zacząło się teraz frymarczenie i targowanie długie, to głośne, to takie ciche, żem chwilami niczego dosłyszeć nie mógł, ale to wyrozumiałem, że Żyd tyle pieniędzy nie miał, aby je złożyć za rękę i zapis dawał, a pan Fok zapisu gołego nie chciał, jeno żądał bezpiecznej poręki, a Mordach poręki żadnej we Lwowie dać nie mógł, jako iż był nie znany nikomu, tylko do jednego złotnika pana Siedmiradzkiego listy miał, a ten by takiej znacznej poręki pewno mu nie dał. Stało owo tym, że Fok zaraz z Mordachem do Żółkwi pojedą, gdzie był pewien Żyd bogaty bardzo, co Mordacha jeszcze z Turek znał i handle z nim miewał, i ten to Żyd miał dać porękę na ów umówiony zapis. Skończyło się targowanie w izbie, słyszałem, jak ktoś, a była to oczywista rzecz, że sam Fok, spróbował, czy drzwi z izby, przez które mnie wypchnął w to moje więzienie, dobrze są zamknięte, i klucz z zamku wyciągnął, a potem wszyscy wyszli i zostałem sam w ciszy i ciemności.

Kiedyby baran znał i rozumiał ludzką mowę, a był przy tym, jako go okiem ważą i czy tłusty rozważają, i o cenę się jego targują, i nad tym radzą, jako z niego mięso przyprawić, czy upiec czy uwarzyć, i jaki z niego kożuszek się okroi – pewno by mu tak było, jako mnie teraz, kiedym tego wszystkiego wysłuchał. Utargowali mnie żywcem, tylko czekać, jako mnie oprawią: czy stryczkiem, czy mieczem.

Czegom się z ostatnich słów Foka tylko domyślał, to mi teraz już całkiem jasne i pewne było: chciał się ten niecnota na obie strony ubezpieczyć; czy tak, czy owak, zawsze jemu zysk. Albo mnie strachem weźmie i wydam mu owo przeklęte wykopane olsterko, które mnie na taką zgubę i ostatnie nieszczęście przywiodło, a wtedy, jeżeli tam ów duży brylant jest, o którym mi mówił złotniczek Lorenc, weźmie go sobie, a Żydowi będzie piskorz; albo ja mu niczego nie zwierzę i nie wydam, tedy Żydowi mnie odstawi, jako obiecał, i tysiąc dukatów weźmie. A czy owo pierwsze się stanie, czy drugie, dla mnie to jedno; jam zawsze przepadł; bo choćbym stał się powolnym Fokowi, już ja z jego rąk żyw nie wyjdę; nie będzie on chciał mieć we mnie świadka, znajdzie na mnie sposób i to mnie czeka, co tego weneckiego doktora Kurcjusza, o którym opowiadał mi pan Dominik.

Pomyślawszy tak nad tym wszystkim, zacząłem się rozglądać dokoła, gdzie jestem i czy jakiego ratunku nie znajdę. Jak już rzekłem, byłem na jakichś stromych i wąskich schodkach i z początku zdało mi się, że w grubej ciemności, kiedy jednak oczy się trochę opatrzyły, mogłem rozeznąć, że to jest mała izbuszka i że naprzeciw mnie, ale w samej górze, przebija światło małymi szparami ze dworu, tak jakby tam okienko było, ale przywarte żelazną albo drewnianą okiennicą. Schodzę ostrożnie po schodkach na dół, a było ich niewiele, jestem . na podłodze ceglami wykładanej. Oczy coraz bardziej do ciemności mi nawykają, już rozeznąć mogę, że izbuszka nie całkiem pusta i są w niej jakieś sprzęty i rupiecie, snadź skład niepotrzebnych rzeczy. Podchodzę do onego światelka i jakom się domyślał był, widzę, że tu jest okno, jeno przysłonięte, ale wysoko i ręką go nie dostać.

Pocznę tedy szukać po oćmie, czy nie znajdę czego, na czym bym mógł stanąć, aby dostać rękoma do okna i oderwać okienniczkę, a tym sposobem światło mieć, bo wiedziałem, że bez światła nie wydobędę się z mego więzienia. Kładę się tedy na podłogę i tak na raczkach, macając rękami, łażę po ciemnicy, ale nic takiego nie natyka mi się po drodze, chyba niekiedy szczura jakiego spłoszę, a o co zawadzę, to albo próżna bania, albo flaszka, albo inne jakieś rupiecie, cale dla mnie niezdatne. Trafiam nareście na jakieś puzdro drewniane, płaskie i nieszerokie, a zda się, że próżne, bo lekkie, chociaż zamknięte. Biorę je tedy, ustawiam pod oknem, stawam na nie i jeszcze się na palce wspiąć muszę, aby dosięgnąć okienka, ale już go teraz dosięgam ręką, choć mi trudno. Chwytam za to, co mi się zdało być okiennicą, i dobrze szarpnę, aby ją rozeprzeć, jeśli zaszczepiona, albo i wyrwać z zawiasków. Nagle usłyszę trzask pod sobą i padam na ziemię, obalając się jak długi na podłogę, a tu już światło wpada do komórki.

Wstaję i patrzę, co się stało? Okienko okrągłe nie miało okiennicy, tylko je zastawiono deszczułką, snadź dnem z jakiejś kufy, i kiedym denko to uchwycił, i silnie szarpnął, a ano zaraz puściło, to przewaliłem się moim własnym zamachem w tył i na ziemię. Ucieszyłem się bardzo, że tak ślepy, a szczęśliwym trafem wpuścił dzień Boży do tego mego więzienia, a choć go dużo nie miałem, bo okienko małe, a błony w nim takim odwiecznym kurzem i pajęczyną pokryte, że ledwie się światło przedrzeć mogło, to przecież już teraz dobrze rozeznąć mogłem, gdzie jestem i co mam koło siebie.

Była to mała sklepiona komórka, jakie bywają po lwowskich kamienicach, a w nich albo łaźnię mają, albo ich też jako rodzaj skarbcza używają, osobliwie tacy, co się zastawami trudnią. Zdaje się, że ta komora więcej onej strasznej babie w żółtej chuście aniżeli samemu Fokowi należała, bo więcej tu białogłowskich rzeczy było niż męskich; stały pod ścianami statki gliniane i drewniane, fasy z masła i banie, jakich przy syceniu miodów używają, kilka półsepek płótna domowego, takiego jak je zawadowscy i zaskowieccy tkacze robią, ale leżało na podłodze także sporo ksiąg rozmaitych, od wieku pewnie nie ruszanych, bo grubo prochem nasiadłych, a ze sprzętów innych był w kącie stół mały, połamany, o dwóch tylko nogach i stała przy jednej ścianie duża, mocno kowana skrzynia, taka ciężka, że ją ruszyć trudno było z miejsca, i ta pewnie do samego Foka należała. Siadłem sobie na tej skrzyni, dumając, co dalej pocznę, a wszystkie myśli moje z jednej rzeczy bieżą i ku jednej wracają, jak rój pszczoł z ula i do ula, a to: jakby stąd uciec.

Mam przed sobą dużo czasu, jeżeli wszystko tak się stanie, jako w izbie uradzono. Będzie teraz jeszcze ze dwie albo i trzy godziny do południa, tedy Fok jeśli pojechał zaraz z Mordachem do Żółkwi, nie stanie tam prędzej jak dobrze z południa. Będą się tam jeszcze pewno swarzyć i targować z sobą, nim ową porękę spiszą, upłynie im choćby dwie godziny, gdyby tego najspieszniej im było, dobrze pod wieczór dopiero wrócą. Jeżeli mi się uda uciec, to tylko przez ono okno; innego sposobu nie ma. Okno okrągłe i ciasne: jam wprawdzie nie gruby, a raczej wiotki, ale tak na oko trudno zgadnąć, czy się przewlokę. A jeżeli się przewlokę, jak się na dół spuszczę? A jeżeli się spuszczę, kędy tam na dole się znajdę, bo ani wiem, gdzie to okienko wychodzi?

Tak rozmyślając ciągle, patrzę w ono okienko okrągłe jakoby w zbawienie moje, jakoby w oko dobrego przyjaciela, co na mnie opuszczonego litośnie patrzy i mruga tajemnie, abym się co rychło ratował, i tak mi się w tej biedzie okienko to wydało jako słońeczko w onych wierszykach, które Urbanek na pamięć umiał: *śliczne oko, dnia oko pięknego*. Kiedy mu się tak przyglądałam i mierzę okiem jego szerokość i jego odległość od podłogi, dopiero obaczę, że owo drewniane puzdro, na które stanąłem, kiedym chciał okna dosięgnąć, i z którego mi się obalił na ziemię, połamano się pode mną i że to stąd był ów trzask, który padając słyszałem. Puzdro podstawilem był sobie nie dnem ale bokiem, bo było za płaskie, tak że kiedy się zapadło pode mną, zameczek się rozsadził, wieczko się popękało, a ze środka wysypało się wszystko, co tam było. Nie było tego wiele: kilka maluczkich bardzo flaszeczek, jakie bywają u doktorów na bardzo ostre i drogie leki, długi tulich, a raczej sztylet włoski i trochę papierów.

Wpadł mi w oko najpierwszy sztylet, bo mi mógł być wielce użyteczny w mojej potrzebie. Wziąłem go do ręki i wydobyłem z skórzanej pochwy: trochę był rdzą nadjedzony, ale jeszcze ostry i jako broń mógł dobrze służyć. Zgarnąłem potem papiery i chcę je nazad wrzucić do puzdra wraz z onymi flaszeczkami, kiedy na jednym z nich wpada mi w oko napis większymi literami:

*Andreas Curtius – Doctor Medicinae.*

Skwapliwie się teraz rzuciłem na te papiery, a dziękowałem w myśli mendyczkowi, że mnie w czytaniu przećwiczył, bom przedtem ledwie z drukowanego czytać umiał, a pisanego ani w ząb, zwłaszcza kiedy było drobne i choćby troszkę tylko posuwiste a pokrętne. Było tych papierów kilkanaście sztuk, i po łacinie i po polsku pisanych, a chociaż wszystkiego nie tylko rozumieć, ale nawet odczytać nie mogłem, przecie to mi jasna rzecz była, że wszystkie się odnoszą do onego doktora weneckiego, Kurcjusza, który stanąwszy u pana Foka w Lwowie, w taki tajemny sposób zginął bez śladu i wieści. Były tam cyrografy i zapisy z pieczęciami i podpisami, jako np. pana Stanisława Lubomirskiego, starosty sandeckiego, jakiegoś kupca augustiańskiego Natana, kupca krakowskiego Waleriana Montelupi, który z moim panem miewał handle, i innych, a wszystko to na same tysiące, że ani jednej liczby nie widziałem, co by nie miała czterech cyfr.

Zrobiło mi się zimno; struchlałem. Zdało mi się, że z tych papierów krew ciecze i że jak dobrze zacząć zaglądać po kątach między one graty i rupiecie, znajdę tam trupa. Dzwoniło mi w uszach, co Woroba powtarzał w indermachu: «Fok, Fok, Fok!», i już z tych papierów ostatnią pewność miałem, że Fok zamordował doktora Kurcjusza i że mnie tak samo zamorduje. Teraz jasna rzecz była dla mnie, że mam tylko dwoje przed sobą: uciec albo umrzeć, a nic trzeciego nie masz. Byłem jako skazaniec, co jeno słucha, kiedy kat do drzwi zapuka. Poleciałem się Bogu i przygotowałem się na wszystko, takie robiąc postanowienie, że jeżeli mi się nie powiedzie uciec jakim sposobem, będę czekał z sztyletem w ręku na Foka i rzucę się na niego pierwszy, i będę z nim walczył na śmierć i życie, a jak już przyjdzie ginąć, to i on ze mną zginie.

Zabrałem wszystkie papiery po doktorze Kurcjuszu, zrobiłem z nich jeden zwitek i schowałem dobrze w kieszeni. Wiedziałem teraz, że jeżeli żyw stąd ujdę, będzie to sroga broń na Foka, daleko straszniejsza aniżeli ów sztylet, który miałem pogotowiu, i że wtedy on lepiej jeszcze będzie w moich rękach, aniżeli ja dzisiaj w jego.

Ale jako uciec? Jako się rzekło, jedyna droga była przez okienko, ale aby tędy się wyknać, trzeba było dostać się do okna, tak aby się móc przewlec przezeń leżąc na brzuchu, nogami do podwórza, głową do komórki, było albowiem nazbyt ciasne, aby w inszy sposób zrobić to była rzecz podobna. Żeby zaś tym jedynym sposobem wydostać się przez okno, trzeba było znowu ustawić sobie rusztowanie, takie wysokie, aby równało się z framugą okienną. To była rzecz główna i do niej się zaraz zabrałem.

Trzeba było najpierw przysunąć ową dużą i wysoką skrzynię do samej ściany pod okno, a była to robota niełatwa, bo skrzynia była bardzo ciężka, a podłoga z cegieł bardzo nierówna, tak że posuwać po niej ciężar było nazbyt trudno. Nie tracąc czasu wziąłem się do tego. Co się przyprę do skrzyni z całej siły, że mi aż żebra trzeszczą, to ledwie ją na cal poruszę. Pot mi się już leje z czoła, ręce już opadają z wysiłku, krzyże nieznośnie boją, a skrzyniska owo przekłete ledwie na pół łokcia polazło, jak ślimak po piasku. Ale że tu o życie lub śmierć chłodzi, tedy co upadnę na siłę, to się znów wzmagam, ostatniego tchu dobywam, a nie ustaję. Co chwila przerwać muszę to przekłete posuwanie, bo choć skrzynia okrutnie ciężka, przecie nie musi być pełna, bo co raźniej posunę po cegle, to zaraz zadudni i zadzwoni, jakby w niej same łańcuchy się tłukły.

Dużo czasu stracił ja na posuwaniu tego skrzyniska i już dobrze było z południa, kiedy nareście przywlokłem je pod samo okno. Teraz wziąłem ów stół o dwóch nogach, ale cóż z nim uczynię, kiedy na skrzyni stać nie będzie? Oglądam się za czymś, czym by go podeprzeć można, aby stał; nie ma nigdzie ani kawałka drewna, ani patyka. Nie wiem już, jako uczynię, kiedy wpadną mi w oczy one stare, zakurzone księgi na podłodze. Układam je pod stół zamiast nóg brakujących i widzę z wielką radością, że teraz stół mocno stoi, a od niego do framugi okna już tylko mało nie dostaje.

Trzeba było teraz obaczyć, co jest za oknem. Wyłączę tedy na to moje rusztowanie, ostrożnie, aby się książki nie wysunęły i wszystko się nie obaliło pode mną. Widzę teraz, że okienko ma dwa skrzydła, a w nich same małe szybeczki, na ołów wpuszczane. Otwieram i obaczę, że jedno skrzydło jest na zawiaskach i da się łatwo wyjąć, ale drugie jest nieruchome, w samym murze umocowane. Trzeba je siłą wylupać; próbuję rękami, nie pójdzie to. Złazę tedy na dół i omal co nie przewracam sobą wszystkiego, ale jakoś przecie się ostało. Biorę z ziemi ów sztylet po doktorze i wszedłszy znowu na górę, zacznę nim łupać ramy od okna. Szczęściem, że choć były dębowe, przecie od czasu i niepogody bardzo nadpróchniałe, inaczej kto wie czy byłbym w czas dokonał roboty, bo sztylet bardzo był do niej nieskładny, że tylko dziobać i dziobać, a skutku nie widać.

Nareście wyjąłem całe okno i wsuwam się w otwór, a widzę z wielką uciechą, że jest dość duży, aby się przesunąć plecyma. Rozglądam się teraz, leżąc w oknie na murze, który był szeroki, i wychylając głowę, co tam na dole. Widzę ciasne bardzo podwórko, dokoła murami wysokimi zamknięte, a wszystkie mury ślepe, żadnego w nich nie masz okna. Jeden z tych murów, lewy, to był widocznie od Zarwanicy drugi, co był naprzeciw mnie, od ulicy Szkockiej, trzeci po prawej, od kamienicy pani rajczyni Korzeniowskiej. Patrząc na sam dół pod siebie i tu widzę z pociechą moją wielką drzwi, które nie mogą prowadzić gdzie indziej, jeno w sień tej kamienicy, w której siedzę zamknięty, tak że kiedy mi się powiedzie spuścić na ziemię, to będę miał kędy wyjść na rynek, a już się bałem był, że z tego całkiem zamurowanego podwórka nie masz wyjścia i że znowu jak w klatce się znajdę.

Teraz chodzi o to, jak się na dół spuścić? Wracam na to moje rusztowanie, złazę na podłogę i prędko się obaczę, że to kłopot mniejszy, bo mam przecie płótna aż nazbyt. Popsułem go więcej, niż było potrzeba, nie dbając o to, że się pani Fokowa gniewać będzie, bom go nadarł w pasy i nawiązał tyle, że owo nie z jednego piętra, ale mało co nie z wieży ratuszowej byłbym się mógł spuścić na nim. Nie miałem gdzie tej liny uwiązać u samego okna, tedy uwiązałem ją silnie do dwóch kółców żelaznych, które miała po obu bokach owa skrzynia kowana, przewlokłem poza stół, a stamtąd miała pojsć przez okno, alem jej nie puszczał jeszcze, dopóki nie będzie pora ku temu, a zdało mi się, że dopiero kiedy wieczór zapadnie, najlepszy będzie czas do ucieczki. Zrobiwszy to wszystko, położyłem się na podłogę, bo mnie już wszystkie kości bolały od umęczenia i sam nie wiedząc, jako i kiedy, zasnąłem sobie w najlepsze.

Strach mnie zdjął niemały, kiedym się obudził, bo już zmrok się robił. Gniewałem się sam na siebie, że taki niebaczny i że się od snu nie bronił, bo łatwa rzecz była zaspać aż do

powrotu Foka, a wtedy już by dla mnie nie było ratunku. Porwałem się, jakby kto mieczem we mnie godził, poleciałem się Panu Bogu i Najświętszej Paniencie i zabrałem się do ucieczki. Żeby się móc tyłem na brzuchu przesunąć przez okno, trzeba było jeszcze podwyższyć rusztowanie. Pomogły mi do tego dwie próżne fasy drewniane, które ustawiłem na samym wierzchu dnami do góry, jak można było najbezpieczniej. Pomyślałem też o tym, że przesuwając się przez okno, będę musiał wziąć łokcie i ręce z liną pod siebie, a kiedy tyłem przepychać się będę, pozdzieram sobie dłonie na murze framugi okiennej, tedy, jak się dało, płótnem obwinałem ręce.

Wylazłem na wierzch mego rusztowania, ująłem mocno linę zrobioną z płótna, przysiadłem w raczki, a potem nogi wsunąłem w okno i w tył zacząłem się sunąć. Nie taka to łatwa sprawa była, jako mi się przedtem na oko zdawało; nie miałem się o co zaprzeć, bo całe to moje rusztowanie obalić się mogło lada czego; jakoż jak wąż musiałem się pchać samym sobą, a potem jak szczupak w tył sobą miotać, aby się wysadzić z okna. Kiedym nareście połową większą już się wysunął i rzucił się całą siłą w tył, tak się okrutnie otłukłem w ręce i w głowę, że omal przytomności nie stracił i ledwie co liny z rąk nie wypuścił, a tak byłbym pewno spadł na skręcenie karku. Na szczęście przetrzymałem to jakoś, ale kiedym się tak wymknął całym ciężarem ciała poza okno, usłyszę trzask wielki; całe rusztowanie obaliło się w tej komorze, bo lina jak nagle szarpnęła, tak wszystko, co było na skrzyni: faski, książki, kulawy stół, runęło tam na ziemię – ale ja szczęśliwie stanąłem na dole.

Skoczyłem do onych jednych drzwi, które były na podwórzu, przebiegłem długi ciemny chodnik i wpadłem w sień kamienicy, z sieni w bramę, z bramy na rynek. Nie myślałem nad tym poprzednio, kędy mam się chronić, jak już będę wolny, tedy na chybił trafił biorę się ku ulicy Ruskiej. Ledwie kilkanaście kroków ubiegł, słyszę, że pędzi ktoś za mną i woła, aby mnie trzymano, i poznaję ze strachem, że to Fok. Co mam tylko tchu w piersiach i siły w nogach, pędzę jak strzała, kiedy nagle wpada mi w drogę ów mularczyk, Włoch Banti, porywa mnie za gardło i woła:

– *Aspetta, ladro!* Czekaj, złodzieju!

Chcę go gwałtem odeprzeć i byłbym go odparł, ale w tej chwili chwytą mnie Fak za barki. Wyrrywam się jak mogę, kopię nogami, szamocę się, szarpie, kąsać próbuję – wszystko daremnie, trzymają mnie twardo obaj, a Fok do kamienicy swojej całą mocą mnie ciągnie. Kiedy tak myślę, że już zgubiony, bo nawet sztyletu wydostać nie mogę, aby się bronić, tak mnie ciasno trzymali, jeden za gardło, drugi za oba ramiona, nagle jakieś dwie ogromne łapy przewiną się koło mnie w zmroku, jedna chwytą za kark Foka, druga Bantego i nim ja się sam szarpnę dalej, buch! obaj leżą na ziemi. W tejże chwili ktoś mnie ułapił za ramię i mówi do ucha:

– Uciekaj za mną!

Był to Woroba. Nin się tamci dwaj podźwignęli z ziemi, on już odsadził się daleko ku Bosackiej furcie, a ja za nim.

## XI

### KARAWANĄ DO TUREK

Biegłem za Worobą, nie wiedząc dokąd; najpierw ku Bosackiej furcie, od furty wzdłuż miejskiego muru aż do Ormian, od Ormian znowu popod dom pana Stancla Szolca nazad ku ulicy Bożego Ciała, aż nareście widzę, żeśmy zrobili jakoby koło i dobiegamy do tylnej bramy kamienicy pana Spytka. Tu się hamał zatrzymał, wyjął z kieszeni klucz, otworzył bramę, pchnął mnie w sień i zaraz zamknął. Stałem zadyszany, a skorom tylko trochę tchu złapał, pytam:

– Woroba, a mnie tu szukano z ratusza?

– Szukano – rzecze Woroba i ciągnie mnie za sobą do indermachu.

Byłem bez czapki, bo została u Foka; mówię mu tedy, że muszę wziąć sobie starą czapkę z mojego alkierzyka. Puścił mnie, ale w ślad poszedł za mną. Już było całkiem ciemno; idę po omacku do kąta, gdzie moja skrzynka stała, a miałem na myśli nie czapkę, ale ową żelazną puszkę Semenową, czy też jest jeszcze. Szukam, skrzynki mojej nie ma.

– Woroba, a moja skrzynka? – mówię przestraszony – czy mi ją wzięli?

– Może by byli wzięli – rzecze Woroba – alem ją zawczasu schował. Jest w indermachu za belami z bawełną. Idź i ty tam zaraz, schowaj się poza bele, a z Fokiem się nie wdawaj!

– Woroba, Bóg wam za to zapłać, żeście mnie żywcem temu Niemcowi wydarli! W sam czas było, bo gdyby nie ten traf szczęśliwy, już by i po mnie było.

– To żaden traf – mruknął hamał jak niedźwiedź zaspany, bo tak zawsze wyglądało to u niego, kiedy co mówił – ja ciebie rano z daleka widział, jak ty z Fokiem za pan brat szedł. Ja miał ciągle dom Foka na oku, a kiedy ciebie nie było i pan Heliasz rozpytywał, a mendyczek i pan Niewczas przychodził, ja im dobrze mówił: «Fok!» Oni się śmiali ze mnie, a prawda moja była: Fok!

Zawiódł mnie do sklepu między towary, gdzie moja skrzynka już była. Niby szukając czapki, chwyciłem za sukmankę, macam, żelazne olsterko jest! Wyjąłem je i ukradkiem schowałem do kieszeni, choć i tak Woroba byłby nie mógł widzieć, bo w indermachu ciemniutka noc była.

– Woroba – mówię teraz – nim się dzień zrobi, mnie tu już nie będzie. Tak Bóg dał, że choć nic złegom nie zrobił, przed złymi ludźmi uchodzić muszę. Ale pana Heliasza muszę widzieć, koniecznie muszę. Mam bardzo pilną sprawę do niego. Czy pan Heliasz w domu?

– Pan Heliasz jest na górze, u pana na wieczery z tym kupcem, co przyjechał.

– Idźcież do niego, na Boga was proszę, idźcie i wywołajcie go do mnie; powiedzcie: wielką sprawę do niego mam. Nie moją sprawę, cudzą, ale ważną, nieomieszkaną. Idźcie, proszę, ja wam tylko jedno powiadam: Fok!

Woroba namyślał się trochę, ale poszedł, a pewno go to najbardziej skłoniło, że Foka mianował. Za chwilę wrócił z latarnią, a za nim przyszedł pan Heliasz. Nic do mnie nie rzekł, jeno popatrzył mi w oczy, a zdało mi się, że nie z gniewem, ale jakoby z żalem i smutkiem.

– Panie Heliaszu, nie o sobie wam chcę powiadać, nie czas mi teraz. Ale weźcie te papiery i nieście je zaraz do pana Spytka i do tego kupca z Wenecji, brata doktora Kurcjusza! – mówię i wyciągnąwszy z kieszeni papiery znalezione w komorze u Foka, daję mu je do rąk.

– Co to za papiery i skąd je masz? – pyta pan Heliasz.

– Fokowi je zabrałem, a co w nich jest, obaczcie.

Pan Heliasz wziął papiery i poszedł, a hamał Woroba zamknął żelazne drzwi od indermachu i także mnie opuścił. Minęła dobra gadzina, kiedyś zasłyszał znowu klucz w zamku i wszedł Woroba.

– Pan Heliasz każe ci do siebie – mówi i z latarką idzie naprzód.

Poszedłem za nim na drugie piętro, gdzie pan Heliasz miał swoją izbę; zastałem go samego. Znowu popatrzył na mnie tak samo, jak przedtem, z żalem i smutkiem, a mnie to markotniej było, niż gdyby mnie z gniewem wielkim ofuknął.

– Powiadaj, jakoś tych papierów dostał? – pyta.

W krótkości mu mówię, że mnie rankiem pan Fok gwałtem do swego mieszkania zawiódł, że mnie tam w ciemnej komorze zamknął, że te papiery tam znalazł i że przez okno uciekł – ale o co rzecz szła między nami, o tym ani słówka nie rzeknę. Mówi pan Heliasz na to:

– Co tobie za sprawa z panem Fokiem?

Milczę chwilę, nie wiedząc, co by rzec, a nareście mówię:

– Pan Fok chce mieć ode mnie to, czego ja mu dać nie mogę i chce wiedzieć to, czego ja mu nie powiem.

– Ani mnie?

– Panie Heliaszu – wołam ja i całuję jego rękę – na Boga żywego, nie myślcie źle o mnie! Do czasu ufajcie, że ja nie złoczyńca i na sumieniu żadnej winy nie mam! Nie pokaże się na mnie nic, choć ja dzisiaj sam obronić się nie mogę, jakobym tego chciał.

– Nie powiadajże mi – rzecze pan Heliasz – jeżeli nie chcesz albo nie możesz – nierad ja nawet wiedzieć; wolę już tak. Ale to masz wiedzieć, że u pana Spytka zostać nie możesz, a i we Lwowie także. Szukał ciebie pan wójt, chciał ciebie na ratusz. Pan Spytek powiedział, że ciebie nie ma w domu, ale gdybyś wrócił, obiecał cię zaraz w urzędzie stawić. A tego tobie mówić nie trzeba, że pan Spytek słowa dotrzyma.

– Mamże zaraz iść? – pytam.

– Przez noc tu zostaniesz i jutro przez cały dzień, ale aby cię oko ludzkie nie widziało. Jeden tylko Woroba wiedzieć o tobie będzie. Trzydzieści lat służę panu Jaroszowi, a przez ten czas nie skłamałem mu ani razu; jutro mu skłamię po raz pierwszy, bo jak mnie zapyta, powiem, że cię nie ma. Ocaliłeś mnie od nieszczęścia, może od śmierci; ja też ciebie chcę ocalić od nieszczęścia, a może także od śmierci. Ale już kwita będzie między nami; nic ja już więcej uczynić nie mogę.

Żal mi wielki ścisnął serce, że tracę i pocziwą sławę, i dobrodzieja, że ci wszyscy cnotliwi ludzie, których mi Bóg był dał, sierocie, za złoczyńcę mieć mnie teraz będą i że znowu tułać się muszę po świecie jako pies bez pana. Zacząłem płakać i od tego płaczu słowa wyrzec nie mogłem. Pan Heliasz patrzył na mnie przez chwilę milczący, a potem tak mówił dalej:

– Widzę ja twoje łzy, ale serca twego nie widzę; nie wiem, czy one z czystej duszy płyną. Jeżeliś żadnego złoczyństwa nie winien, Bóg cię nie opuści, owszem ścieli ci się teraz droga, na której wielkiej pociechy dostąpić możesz, jeżeliś wart. Czegoś tak bardzo chciał, teraz to masz: pojedziesz do Turek!

– Do Turek! – zawołałem, uszom własnym nie wierząc.

– Palec to Boży sprawił. Papiery, któreś uniósł z domu pana Foka, oddałem bratu doktora Kurcjusza, panu Curti z Wenecji. Są to cyrografy i zapisy na wielkie sumy, które się nieboszczykowi bratu jego należą; bez tych papierów, co wiedzieć, czyby je był kiedy odebrał, a w nich wielka majątność leży. Tedy pan Curti, wdzięczny za to, dziesięć cekinów dla ciebie przeznaczył. W skarbonce twojej także się mały grosik uzbierał, razem to na sumkę się złożę; możesz o tym ojca szukać. Droga cię nie będzie kosztować ani tam, ani nazad, jeśli Bóg da szczęśliwie.



Upadłem do nóg panu Heliaszowi, chciałem ucałować stopy jego, ale pan Heliasz nie dopuścił tego i mówił dalej:

– Tak się na twoje szczęście trafiło, że pojutrze wyjeżdża pan Harbarasz z karawaną do Turek. Uproszę go, aby cię wziął z sobą, jako czeladnik jego pojedziesz. Masz mu pilnie i wiernie służyć w drodze, posłusznym być i pocziwym w każdej okazji, złej czy dobrej. Nie dlatego jeno, abyś mnie wstydu nie zrobił, ale dlatego, żebyś na siebie szkody i biedy ciężkiej nie sprowadził, bo to ci powiadam, że jak co przewiniś, jak się tej służby godzien nie pokażesz, z wozu ciebie pan Harbarasz zrzuci i samego zostawi, choćby to na pustyni albo między ludożercy było.

– Choćby mnie na to jeno wziął – rzekę – abym najpodlejsze rzeczy robił, choćby na to, abym w nocy jako pies koło wozów biegał i jako pies na złodzieja szczekał, to za takiego psa wiernie mu będę służył, panie Heliaszu!

– Dam ci także list do Jędropola – mówi dalej pan Heliasz – do księdza karmelity Benignusa, który tam teraz jest i o wielu więźniach chrześcijańskich wie; może co o ojcu twoim zasłyszał, to ci pomoże. I pieniądze, i list podam ci jutro wieczór przez Worobę, a jak pana Harbarasza znaleźć, także się od Woroby dowiesz. A przez jutrzejszy dzień siedź w ukryciu, aby cię, broń tego, Panie Boże, nikt nie obaczył, bo o gardło twoje chodzi.

Rzekłszy to, pan Heliasz szybko odszedł, nie zostawiając mi czasu, abym mu podziękował, a Woroba na klucz mnie zamknął. Ległem na próżnych miechach, ale całe nie spałem aż do świtu. Następnego dnia okrutnie był mi długi i tak mi się zdało, iż mi już nigdy chyba końca nie będzie, jako iż ciągle byłem sam i nikt do mnie nie zaglądnął prócz Woroby, który jeść mi przyniósł, ale nic gadać nie chciał i tylko po staremu jak niedźwiedź pomrukiwał. Miałem dużo czasu do myślenia w tej samotności; rozpamiętywałem sobie, co się ze mną przez tych kilka miesięcy działo i jakie przygody mnie bezustawnie spotykają, że mną los jakby piłką rzuca, nie dbając o to, gdzie padnie: na zieloną ruń czy na ostry kamień lub w ciernie i pokrzywy – ale wszystkie te moje żalosne myśli wybijała mi z głowy radość, że jadę do Turek, jakom tego z całej duszy chciał, nigdy nie tracąc nadziei, że mi Bóg dozwoli powrócić z ojcem.

Ale jeden ciężki kłopot siedział mi przecie na głowie i ustąpić nie chciał, a to owa Semenowa tajemnica, owa żelazna sekretna puszką, która już tyle biedy na mnie sprowadziła, a pewno jeszcze i sprowadzi, a nie wiem, co z tym począć, bo nosić się z tym gorzej, niż z kamienienia u szyi, a pozbyć się tego nie mogę. Gdyby nie to, iż Kozak wyraźnie mi mówił, że na tej tajemnicy wszystko zależy, aby wyswobodził swego ojca z niewoli pogańskiej, nie wiem; czybym mu był tak statecznie i z narażeniem własnego zdrowia i życia dochowywał przysięgi. Ale pamiętałem zawsze o tym, że owo obaj z Semenem na jednym wózku siedzimy, obaj w sercu jedno nosimy, bom przecie i ja także ślubowałem ojca mojego doszukać się koniecznie. Tylko co teraz zrobić? Wziąć tego przeklętego olsterka z sobą? chyba nie mogę do Turek, bo kto wie jakie mnie tam nowe przygody czekają, a zostawić? Gdzie? Komu? A gdybym to gdzie i zakopać chciał, już nie mogę, skoro do samego wyjazdu z panem Harbaraszem siedzieć muszę zamknięty.

Doczekałem się nareście wieczora. Gdy się już dobrze ściemniło, słyszę klucz w zamku, otwierają się drzwi i wchodzi Woroba. Widzę, że nie taki jako zwykle; czegoś kontent. Przyniósł mi wicherkę, a kiedym jeść począł, on nagle machnie ręką, jakby już czemuś koniec był, jakby coś już zapadło, i mówi:

– Fok!

Popatrzę na niego i śmiać mi się chce, a on także gębę wykrzywił, jakby coś bardzo kwaśnego albo gorzkiego właśnie co połknął, a to u niego śmiech znaczyło, i rzecze:

– Fok! Uciekł Fok!

I opowiada mi, ale takimi urywanymi słowami, jako to jego zwyczaj był, że trzeba je było po jednym łapać i zbierać, jak rozsypane paciorki, a potem jedno przy drugim nizać, nim się to wszystko w zrozumiałą powieść ułożyło, opowiada mi, że Fok uciekł ze Lwowa, pewnie

dlatego, żem mu papiery zabrał, z których wynika, iż to on doktora Kurcjusza potajemnie ze świata zgładził, że zaraz nazajutrz po mojej ucieczce pan wójt z przysięgłymi i z pachołkami do niego się wybrał, aby dom cały przeszukać; że rzeczy jakieś po tym weneckim doktorze poznachodzili, ale samego Foka nie dostali, bo znikł bez śladu, zwiertzywszy, co się święci, i że w końcu jutro dalej szukać będą i kopać w piwnicach, czy trupa gdzie nie znajdą. Kiedy Woroba skończył swoją powieść, a raczej kiedym ją z niego słówko po słówku prawie że nie wygrzebał, tak to ciężko szło, zabiera się do wyjścia i mówi:

– O północy przyjdę. Pójdziemy do pana Harbarasza.

– Woroba – rzekę – wielką mam do was prośbę, siła mi na jednej rzeczy zależy. Chciałbym koniecznie widzieć jeszcze pana Grygiera Niewczasa, nim pojedę. Muszę przekazać matce, co się ze mną dzieje i że w daleki świat idę, a tego inaczej zrobić nie mogę, jeno przez pana Niewczasa, który ma szwagra w Samborze.

Nie chciał z razu, ale tak go bardzo o to prosiłem, że w końcu zezwolił. Otworzył mi tylną bramę od kamienicy, ale samego puścić mnie nie chciał, jeno za mną szedł. Kamienica Kłopotowska, w której pan Niewczas mieszkał i która była jego własna, znajdowała się, jakom już dawniej wspominał, tuż koło muru miejskiego, niedaleko rynku. Przesunęliśmy się w ciemności, nikt nas nie poznał, a mało i kto spotkał. Woroba czekał na mnie pod domem, a ja wszedłem do środka, bo jeszcze było otwarte. Czeladzi już w warsztacie nie było, siedział tylko pan Grygier z Marianeczką przy wieczerzy. Kiedy mnie obaczyli, oboje żywo powstali od stołu, tak na mnie patrząc, jakbym owo z tamtego świata wrócił. Pozdrowiłem ich grzecznie i mówię:

– Panie Grygier, przychodzę się z wami pożegnać i z panną Marianeczką i szczerym sercem podziękować, żeście łaskawi na mnie bywali. A proszę was, panie Grygier, i pannę Marianeczkę proszę, abyście nie dali wiary, kiedy źle o mnie mówić będą. Bo ja się do niczego złego nie znam i Bóg to wie, żem w sumieniu moim nie winowajca.

Pan Grygier łyżką po misie dzwonił ze spuszczoneymi w dół oczyma, snadź w kłopotcie był, co ma rzec na to, a Marianeczka także nic nie mówiła, ale patrzyła mi prosto w oczy, bystro i przenikliwie, jakoby mi wyczytać chciała z oczu i oblicza, jeżeli prawdę mówię. Nie spuściłem oczu, bom się nie miał czego wstydić w duszy, a Marianeczka pyta:

– A dokąd Bóg prowadzi? .

– Do Turek z karawaną jadę zaraz o świcie.

Zaczęli mnie teraz pytać, a jam, co mógł, to powiadał, a serce mnie bolało, że tym dobrym ludziom wszystkiego powiadać nie mogę i kryć się przed nimi muszę z własną prawdą, jakby to nie była rzecz godziwa i moja, ale kradziona. Przyrzekła mi Marianeczka, jakom ją o to prosił, że przez swego wuja, pana Zybulta, da znać matce do Strzałkowic co się ze mną stało, i że ją pozdrawiam, i proszę, aby się zbytnio nie troskała o mnie, bo mnie Bóg raczy powrócić z tej drogi, a może i nie samego. Jużem chciał iść, kiedy Marianeczka czekać mi kazała chwilę, a sama wybiegła do drugiej izby. Pan Grygier zaraz też przystąpił do mnie, wziął mnie za obie ręce, nasrożył wąsa, namarszczył czoła i po staremu woła:

– Jedziesz do Turek; nic się nie bój, chrrry! Jam pod Chocimem 100 000 Turków widział, chrrry! 1000 armat tam biło, a nie bałem się nic a nic...

I byłby pewno dalej tak po rycersku mówił, jako już taka ta jego słabość była, ale Marianeczka wróciła, a on też zaraz przestał. Wyniosła coś Marianeczka z drugiej izby i podając mi, mówi:

– Niech to Hanuszek zawsze na piersiach nasi, a Panna Święta niech go chroni i wraz z ojcem niech go zdrowo do domu przywiedzie.

Był to medalik mosiężny z wizerunkiem Najświętszej Panny Marii na jedwabnym sznurku; wziąłem go wdzięcznym do głębi sercem, a do dziękowania nawet jednego słówka znaleźć nie mogłem od rzewności i radości zarazem, bo mi się tak jedna z drugą zespoliła w duszy, żem jakoby między śmiechem a płaczem wisiał. Nosilem ten medalik odtąd zawsze, nigdym się z nim nie rozstawał, z nim też umrę i z nim mnie pochowacie... Z ciężkim sercem wróciłem do kamienicy pana Spytka i do mojego schowania, a kiedy Woroba już chciał

odejść i znowu aż do północy na klucz mnie zamknąć, przychodzi mi nagle myśl do głowy powierzyć się jemu. Mówię tedy:

– Woroba!

Hamał, zamruczawszy po swojemu, zatrzymał się u wyjścia.

– Woroba! Razu jednego był Kozak...

Woroba otworzył na mnie szeroko oczy i mówi:

– A co to, bajka będzie?

– Bajka będzie, ale prawdziwa – rzekę – o Kozaku bajka, o prawdziwym, o takim Kozaku, co za Dnieprem, za porohami żyje, z Turkami i Tatarami wojuje, na Czarne Morze się wyprowadza, pogańskie grody i zamki pali...

Woroba, który przed chwilą patrzył był na mnie jak na babę przy kądzieli, co dzieciom bajki opowiada, i ciągle przy otwartych drzwiach stał, aby wyjść, zawarł teraz drzwi i z ciekawością przystąpił do mnie bliżej, a nawet latarkę i klucz, które trzymał ciągle w pogotowiu, na pakę dużą położył; widocznie, że rad wiedzieć, co to za powieść będzie. A to już tak jest, że ludzie greckiej religii, chłopcy ruscy, a osobliwie, którzy pode Lwowem żyją, wielce się w kozactwie kochają: nie mają oni nic za większą szczęśliwość na świecie nad kozackie życie i nad swawolę mołojców, których jako najprzedniejszych rycerzy i bohaterów sobie cenią. Jakoż w dwadzieścia kilka lat potem, kiedy nastąpiły okrutne bunty i wojny kozackie pod onym zaporoskim hetmanem Chmielnickim, co przeciw Królowi naszemu Jegomości i przeciw Rzeczypospolitej miecz podniósł i z czernią swoją przy pomocy Turków Lwów oblegał, szturmem go chcąc dobyć, a wszystko w pień wyciąć, tedy ci ruscy ludzie jawnie z nim trzymali, do Kozaków się przedawali, za szpiegi i wywiady im służyli, króla i naszych zdradzając.

Woroba był chłop poczciwy i pracowity, u pana Spytka długie lata już służył, ale i on z ruskich wolan przedmiejskich pochodzący, za kozactwem przepadał. Widzę, że uważnie bardzo słucha i mówię dalej:

– Ten Kozak to był Kozak z Kozaków, z dziada pradziada mołojec. Ojciec jego był starszym Kozakiem, jak to oni zowią: assawułą, a taki był straszny Turkom, że sam sułtan wiedział o nim, a baszowie truchleli na jego wspomnienie. Tego assawułę jeden Żyd turecki zdradą pojmał i Turkom sprzedał, teraz go oni mają w swoich rękach i jęczy on u nich w okrutnej niewoli, tak jako i mój ojciec, o którym wiecie. Słuchacie mnie dobrze, Woroba?

Hamał potrząsnął głową kilka razy na znak, że ciekaw i że uważnie słucha, co będzie dalej.

– Owoż ten Kozak chce pomścić się na Turkach i na onym Żydzie i chce odbić ojca swojego z niewoli. I wy by tak pewno chcieli?

Woroba ścisnął swoją dłoń, co była szeroka jak łopata, w pięść taką potężną, że jeno mury nią tłuc jakby młotem, i uderzył z wielką pasją w dużą pakę z towarami, co najbliżej była, że mało jej nie rozłupał.

– Aby tego dokazać – ciągnę ja dalej powieść moją – ten Kozak ma tylko jeden sposób, a ten sposób mnie powierzył, bo sam uciekać musiał, a ja ten sposób znowu komuś powierzyć muszę, bo ja sam w pogańskie kraje jadę i z sobą tego zabrać nie mogę. Tedy ja wam to zwierzę, bo za uczciwą i wierną duszę was znam, Woroba. Ale musiał ja temu Kozakowi przysiąc, musicie i wy mnie. Czy przysięgniecie, Woroba?

– Przysięgnę – rzekł Woroba i rękę do góry podniósł.

– Przysięgnijcie, że nikt o tym wiedzieć i nikt tego widzieć nie będzie, tylko ten, kto do was ze znakiem przyjdzie – rzekę i dobywam owego medalika z Najśw. Panną, który dostałem od Marianeczki, a ukazując go Worobie, mówię dalej: – Na tę Pannę Świętą, Bogarodzicę, i na zbawienie duszy waszej, tak mi przysięgajcie, jak ja onemu Kozakowi przysięgał, a jak przysięgę złamiecie, będziecie pod wielką kłatwą i będziecie od Trójcy Św. odłączeni i na miejsce Judasza powołani!

Woroba przysiągł, a ja mu dalej tak samo, jako ongi Kozak Semen mnie, nakazuję, aby nikomu tego nie oddał, jeno albo mnie samemu, albo takiemu, co przyjdzie do niego i po lewym ramieniu go uderzy i powie:

*Oko Proroka*  
*Synopa Archioka*

Nauczyłem go tak wszystkiego, jak mnie Semen nauczył, a siła mnie to pracy kosztowało, nim sobie zapamiętał. Kiedy już pewny byłem, że Woroba dobrze zrozumiał, wyciągam ów mieszek i daję mu go do ręki. Bardzo był zdziwiony, że to rzecz taka mała i nieznaczna; patrzy na mnie i pyta:

– A to jest już wszystek ten «sposób»?

– Wszystek, Woroba, a ja sam nie wiem, co tam jest i wam wiedzieć się nie godzi i pod przysięgą nie wolno. Chowajcie to najbezpieczniej i najtajemniej, jako tylko możecie, a tego pewni bądźcie, że jakby kto wiedział, że to macie, na życie wam nastawać będą, a i o tym pamiętajcie, że kiedybyście mnie i tych Kozaków zdradzili, śmierć pewna was czeka, a po śmierci wieczne potępienie!

– Nie pokaże się to na mnie – rzecze Woroba i jak chwycił ów mieszek z żelaznym olsterkiem, tak mu cały w garści zniknął, jakby to orzech był.

– A jak ja odjadę – mówię dalej – pójdziecie do Marianeczki Grygierówniej i przekazcie jej ode mnie, aby matce napisała, że kiedyby jaki obcy człowiek, a osobliwie Kozak, o mnie się pytał, tedy rzec mu ma, żeby do was szedł i że wy świadom. Niechaj tylko matka wskaże, gdzie was szukać, że u pana Spytka we Lwowie, i niech tylko powie te słowa: «Woroba świadom».

– Woroba świadom! – powtórzył hamał, a zdało mi się, jakoby kontent był i za honor sobie miał, że wiernikiem został ważnej a tajemnej rzeczy.

– A jak wy to ukryjecie – pytam jeszcze.

– Co? ten «sposób» – rzecze Woroba spozierając na mieszek w garści. – Ten «sposób»? taki maluczki, a ja bym go schować nie umiał! Diabeł go nie znajdzie!

Lekko mi się zrobiło, kiedym już nie miał przy sobie mieszka z olsterkiem. Chwilę myślałem nad tym, jeżeli nie lekko sobie począł, żem tak Worobie zawierzył, ale poznałem dobrze tego uczciwego człeka przez tych parę miesięcy i mógłbym być śmieie przysiąc, że w sercu jego nie siedzi zdrada i że po ślepemu będzie wierny jako pies, a tak bezpieczniej to u niego będzie, niż gdybym był sam głęboko w ziemi zakopał.

Tymczasem północ wybiła na ratuszu. Woroba poszedł, a za małą chwilę wrócił. Dał mi mieszek dość ciężki z pieniędzmi i list do księdza Benignusa w Jędropolu, a potem dobył z zanadru pistolet i worek z prochem i z kulami i mówi:

– Mieszek tu masz z pieniędzmi i list od pana Heliasza, a pistolet weź ode mnie; przydać się, bo między pogany jedziesz. A teraz chodź!

Wziął mój węzelek, który już był gotów, i poprowadził mnie na Ormiańską ulicę. Stanęliśmy przed jednym domem z bardzo szeroką bramą Woroba zakołatał, a kiedy nam otworzono, weszliśmy na wielkie podwórze, na którym stały duże wozy statkowe z wysokimi płóciennymi poklatami, takie same, jako wóz mojego ojca był. Przy wozach był jakiś człowiek; powiedział mu coś Woroba, a on kazał mi wleźć do woza pod poklat i tam siedzieć, a nie wychylać głowy, aż kiedy za miasto wyjedziemy. Pożegnałem serdecznie, ze łzami w oczach. Worobę dobrego przyjaciela i obrońcę mego:

– Pomagaj wam Bóg, Woroba, pomagaj wam Bóg, dobry człowieku!

– Bóg ciebie prowadź, a wracaj zdrów! – mruknął Woroba i zniknął w nocnej ciemności.

## XII

### JENIEC TURECKI

Ledwie świtało na niebie, kiedy wozy ruszyły, tak że Halicka brama była jeszcze zamknięta i dopiero nam ją otworzono. Niedaleko za bramą, kiedy minęliśmy nowy kościół bernardyński i wjechali na gościniec gliniański, wylazłem spod poklatu i usiadłem sobie koło furmana, a świat wydał mi się wesoły jak nigdy, bom na wolność i z dobrą nadzieją wyjeżdżałem. To było jakoś w połowie sierpnia, słoneczko wytaczało się na pogodne niebo, świat wyglądał jakoby cały złoty i różowy, o było wesoło, aż człowiekowi w duszy robiło się ciepło i jasno.

W Krzywczycach zatrzymały się wozy przed gospodą, co była tuż przy drodze, i dopiero teraz zobaczyłem, że nas z miasta odprowadzali krewni i przyjaciele pana Harbarasza i tych, co z nim razem do Turek jechali, ale nie widziałem nikogo między nimi, co by mnie znał. Odbędzie się żegnanie, pito jeszcze na szczęśliwą drogę, śpiewano, hukano sobie na wiwat, wyprawiano «dobre myśli», jako to we Lwowie zwyczaj, aż nareście po jakich dobrych dwóch godzinach rozstano się z wołaniem i machaniem czapek i wozy ruszyły dalej.

Trzy wozy jechały dalej ze Lwowa, ale jeno ten jeden, w którym ja siedziałem, był bardzo ładowny, w dwóch zaś, w których był tylko lekki i bardzo kosztowny towar, jechali sami panowie Ormianie, a było ich czterech, sam pan Harbarasz i trzej kupcy, panowie: Rabczka, Goryczka i Zachnowicz. Panowie Rabczka i Goryczka jechali po kobierce i jedwabie, a pan Zachnowicz, o którym mi już był pan Dominik mówił, po dobrzeckie konie co najprzedniejsze, bo nimi handel prowadził, hetmanom, wojewodom, a nawet samemu królowi je sprzedając. Miał przy sobie pan Zachnowicz niejakiego Bonarka, zawołanego roztrucharza, co się na koniach dziwnie znał i koło nich jako nikt chodzić umiał, człeka małego, już starego, z ogromnymi siwymi wąsiskami, który jeszcze u pana Sebastiana Zielińskiego służył, co także ongi sławnie na całą Polskę końmi handlował, ale już umarł był.

Mój wóz wyładowany był czapkami, które wyrabiano we Lwowie i sprzedawano w Wołoszy, suknam i wschowskimi, gorlickimi i falendyszami, płótnem koleńskim, nożami norymberskimi i popielicami; zaś na wozie samego p. Harbarasza były skrzynie z sobolami, z bursztynem, ze srebrami lwowskimi, krakowskimi i augsburskimi, a wszystko to wieziono na «sztych» do Turek, to jest, miano to mieniać za towar tamtejszy, jako kobierce, złotogłowia, drogie kamienie, korale, korzenie i inne zamorskie rzeczy.

Dziwno mi było, że jeno trzy wozy jadą, bom zawsze słyszał, jeszcze od ojca, że karawany lwowskie w kilkadziesiąt koni i ludzi wyprawiać się do Turek zwykły, ale mi powiadano, że po drodze wszędy przyłączać się mają do nas wozy kupieckie: w Złoczowie, Trembowli, a osobliwie w Kamieńcu Podolskim, w którym to znacznym mieście jest bardzo dużo Ormian, co handle wielkie prowadzą, i tyleż ich tam, co we Lwowie, a może i więcej. Nad tymi wszystkimi, co z nami jechali lub jechać mieli, jako i nad całą karawaną starszym, czyli jako to zowią – karawan-baszą, był pan Harbarasz i wszyscy posłuszeństwo mu winni byli, osobliwie kiedy już karawana wyjedzie z granic polskich.

Pan Harbarasz więcej życia swego spędził w karawanach aniżeli w domu we Lwowie, bo ciągle jeno tam i nazad jeździł z Carogrodu, czyli Stambułu, do Lwowa, a ze Lwowa do Carogrodu, a niekiedy także w kraje perskie się wyprawiał; wszystkie drogi, miasta, zwyczaje, sposoby turskie znał, sześciu rozmaitymi językami, a to po polsku, po niemiecku, po włosku, po ormiańsku, po turecku i po mołdawsku mówić umiał, tedy zawsze karawan-baszą go obierano, a on taki w tym rozum i sprawność swoją miał osobliwą, że zawsze bez szwanku i bez szkodliwej przygody towar i ludzi przeprowadzał. Jeździł nadto pan Harbarasz do Turek zawsze za emirem, to jest za osobliwym pozwoleniem tureckim, a i tym razem miał taki emir, który mu wyjednał był księżę Zbaraski, kiedy do sułtana w poselstwie od króla Jegomości zeszłego roku jeździł. A tak tedy bezpieczną drogę sobie obiecywali z nim wszyscy.

Dopiero na pierwszym popasie w Glinianach przemówił do mnie pan Harbarasz, bo dotąd nie zważał na mnie, tak jakby mnie cale nie było. Pan Harbarasz niepodobny był do tych Ormian, jakich się we Lwowie napatrzyłem, jako że ci bywają zażywni, kędzierzawi, z wypukłymi, czarnymi jak węgiel oczami, a każdy ma setny nos garbaty, zaś nasz karawan-basza był człek słuszny, bardzo chudy i bardzo czarny, a oczy miał takie ciemnosine, jak żelazo na kosie, kiedy nowa, wąsy zaś i włosy jak mleko bielutkie, choć powiadano, że jeszcze nie był stary. Słyszałem także, że niegdyś po żołniersku królowi służył, i znać to też było, bo kiedy mówił, to zawsze krótko i rozkazująco, że jeno zrób, co-ć każe, a nie pytaj ani gadaj co swojego.

Pan Harbarasz zaczął od tego, że mam być wdzięczny panu Heliaszowi, bo tylko dlań to czynił, że mnie, nie znanego sobie, za pacholika do tej drogi turskiej wziął, i abym panu Heliaszowi wstydu, a sobie większej sromoty i szkody nie zrobił, ale uczciwie i posłusznie się sprawował, »bo – rzecze – i ze skórą będzie źle, i na zgubę cię między rozbójniki gdzie porzucę«. Miałem jemu samemu tylko służyć, towaru doglądać, koło broni jego chodzić, a miał jej z sobą sztuk kilkanaście: rusznic, pistoletów i szabel, tak aby w razie przygody każdego furmana i kupca uzbroić; miałem namiociki i kuchnię podróżną w pieczy mieć, przy odprawianiu myt pomagać, obroki pod liczbą trzymać i we wszystkim, co się zdarzy i czego potrzeba będzie, na jego rozkazanie być w pogotowiu.

Jechaliśmy dalej na Złoczów, Skalę, Trembowłę, z bardzo krótkimi popasami, a najczęściej i nocą dla wielkiego gorąca, które wtedy było, aż do Kamieńca Podolskiego, gdzieśmy się dwie całe doby zatrzymali. W Złoczowie przyłączył się do nas wóz jeden, który wyprawiali tamtejsi Ormianie, w Trembowli także jeden, a z Kamieńca wyjechaliśmy już długim żurawiem, bo nam znowu trzy wozy przybyło.

Zebrała się tak duża kompania; było nas razem kilkunastu. Wszyscy byli kupcy od rozmaitych handłów, ale najwięcej Ormian było, a między Ormianami okrom samego pana Harbarasza najlepiej mam w pamięci panów Rabczkę i Goryczkę, bo ci bardzo ucieszni byli i dobrze się z nich, bywało, wszyscy naśmieją. Spółkę mieli z sobą w handlu, a podczas całej drogi razem się trzymali, to swarząc się okrutnie, to znowu godząc się i całując. Obaj mieli głowy kędzierzawe i nosy bardzo duże i garbate, obaj przez nos mówili i obaj mieli okrągłe brzuchy na cieniutkich nogach. Gdzie jaki popas był, a nawet i na wozie w drodze, brali tabliczki czarne na kolana i każdy z nich kredą na swojej coś pisał i rachował, a z tego rachunku zawsze wielka kłótnia powstawała. Rzucali na siebie tabliczkami, zrywali się na równe nogi, zakasywali rękawy i jeden do drugiego z pięściami przyskakiwał, ale co jeden przyskoczył, to drugi zaraz odskoczył, i tak skakali do siebie, aż im tchu zabrakło, ale jeden drugiego nigdy nie uderzył. Gdy się tak srodze zmachali, tedy pan Rabczka sapiąc głowę w tył wygiął i panu Goryczce gołe gardło ukazywał, wołając:

– Weź ty noża i rznij, rznij; wołę, abys mnie zarzezał od razu, kiedy mojej zguby żądasz! Wtedy pan Goryczka jął także okrutnie sapać i gwałtem się rozbierać; pas rozwiązał, skórnice wyzuł, żupan o ziem rzucił i wołał:

– Bierz sobie, bierz, wszystko bierz, i koszulę weź, kiedyś się uwziął do gołego mnie obedrzeć!

Ale wołając tak, żupana z oka nie spuszczał i ledwie go rzucił, zaraz się podnieść kwapił i kieszenie macał, czy co nie wypadło. Po czym obaj rzewliwie płakać, a potem znowu rachować, a w końcu przepraszać się wzajem i całować zaczęli.

Świat był dla mnie całkiem nowy, bom go mało jeszcze znał, a ciekawy byłem bardzo już z urodzenia, tedy oczyma jakbym go ciągle jadł, dziwowałem się wszystkiemu, com jeno nie widzianego, a nie słychanego przedtem – teraz i widział, i słyszał. A ku największemu podziwieniu mi było, kiedy dojeżdżałem do Kamieńca, bo jest co widzieć i czemu się dziwować w tym znacznym mieście, takim warownym, że go siła ludzka nie dobędzie. Z daleka je widać, jako na ostrej skale zamek ku niebu sterczy, a dokoła zabrzeżyste skały miasta pilnują, a pod tymi skałami rzeka Smotrycz szumi, tak że chyba ptak się tam dostanie, a Tatar i Turek ani się pokusi, aby miasto takie szturmować. Powiadał pan Harbarasz, że temu dwa lata, kiedy nasi z Turkami pod Chocimem staczali boje, tedy sam sułtan, czyli cesarz turecki, Osman, z wojski wielkimi pod Kamieniec podszedł, aby go dobywać, a kiedy obaczył tę warownię, rzekł: «Bóg sam ten zamek zbudował, niechże go Bóg sam dobywa» – a tak odszedł, nic nie wskórawszy.

Powiadają, że w tym Kamieńcu jest loch podziemny, który pod całe miasto z zamku idzie, a z miasta popod Dniestr aż do drugiego zamku w Chocimiu, który już nie w polskiej, ale w wołoskiej ziemi leży. Prowadziła nas droga na ten Chocim, przepawiliśmy się przez Dniestr z brzegu polskiego na wołoski – i tak rozstaliśmy się z miłą ojczyzną, bo tu się zaczynały już cudze kraje, wprowadzie jeszcze chrześcijańskie greckiej religii, ale już pod władzą cesarza tureckiego, któremu książęta tej ziemi, co ich hospodarami zowią, haracz roczny płacić muszą i na każdy rozkaz jego z wojskiem się stawić, i za jego podłe sługi się uważać, a on, jak mu się taki hospodar nie spodoba, to go wypędzi, a czasem jedwabnym stryczkiem przez swoje posłańce udusić go każe.

Zamek chocimski na skale zbudowany, pamiętny będzie po wieki sercu polskiemu, a jam tak nań patrzył, jakoby dziecko patrzyło, kiedyby mu się nagle pokazało to na jawie, co mu niańka opowiadała. Albowiem nasłuchiwałem się jeszcze w Podborzu o chocimskiej wojnie, kiedy to z niej żołnierze wracali, jako już na swoim miejscu mówiłem, potem we Lwowie od pana Heliasza i od pana Dominika, i od mendyczka, a w końcu też i od biednego pana Grygiera Niewczasa, który tam od trwogi na umyśle poszwankował; nasłuchiwałem się takich dziwów, że aż się bajką zdały, chociaż to sama szczerza prawda była, bo ano czy to nie dziw i nie cudowna moc chrześcijańskiej cnoty i męstwa polskiego, że na tych tu polach chocimskich, które teraz Bóg własnymi oczyma widnieć mi dał, jeden Polak na siedmiu Turków odważnie szedł, z siedmioma sam jeden wojował i siedmiom sam jeden się nie dał, ano, co większa, do syta się jeszcze ich nabił. Bo owo tak było, że sam sułtan Osman na tę wyprawę z okrutnymi wojskami ruszył; 400 000 wojska pod sobą miał i armat mało co nie 300 i 10 000 wielbłądów z żywnością, z prochami i kulami, a naszych razem tylko 60 000 było, a przecież dwa miesiące się z Turkami bito i z placu nie ustąpiono, aż cesarz turecki pokój zawrzeć musiał i nic nie sprawiwszy, jak niepyszny, do swoich państw się powrócił.

Oglądaliśmy pola, na których się te srogie boje staczały, a groza i żałość zbierały patrzeć na one ślady gęste po nich, że prawie deptałeś, człeku, po kościach żołnierskich, co je krucy i wilcy poobżerali. Wszędy szańce i okopy, tak, jak je nasi usypali, były, aby się Turkom bronić, rozorane kulami, a teraz bujną trawą porośłe; kości z koni, strzały tatarskie, połamane spisy, wszystko to rozsypane było pomiędzy gęste burzany i wikliny; kędy spojrzysz, zaraz widzisz, że tu śmierć sobie tańcowała.

Przepawiliśmy się niedaleko za Chocimem przez rzekę Prut i jechaliśmy już dalej wołoską krainą, a za miastem Suczawą, pod Urekiem, znowu pan Harbarasz pokazywał one przepaściste debry i lasy, gdzie lat temu sto kilkadziesiąt zdradziecka Wołosza wycięła w pień rycerstwo polskie pod królem Olbrachtem, tak że i w przysłowie to poszło: «Za króla Olbrachta wyginęła szlachta» – a jam pomyślał sobie w duszy, że, mój ty miły Boże, chyba ta

droga nasza samymi śladami polskiej krwi wiedzie, skoro pan Harbarasz wraz zapowiedział, że i przez ową żałosną Cecorę jechać będziemy, gdzie sławnej pamięci pan hetman Stanisław Żółkiewski poległ za ojczyznę od tureckiej szabli.

Jakoż pod Jassami, które to miasto jest stolicą księcia, czyli hospodara wołoskiego, kazał pan Harbarasz stanąć wozom i pozsiadaliśmy wszyscy, bośmy właśnie dojechali do pól cecorskich. Pan Harbarasz zdjął czapkę i my wszyscy za jego przykładem odkryliśmy głowy, a on nam wskazywał miejsce, gdzie pan hetman trzy lata temu poległ, i opowiadał, jako mu janczarowie głowę ucięli i na spisie po obozie tureckim obnaszali, a potem sułtanowi do Carogrodu na znak zwycięstwa odesłali. Jam tę żałosną historię dobrze znał, bo o niej we Lwowie siła mówiono, żałując się bardzo śmierci sławnego hetmana, jako iż we Lwowie każde dziecko go znało i dobrym sąsiadom miastu był, mieszkając w Żółkwi, a lwowscy ojcowie jezuici, u których Urbanek się uczył, wydrukowali byli żałosne wiersze, co się *Płacz grobowy* nazywały. Mendyczek te drukowane wiersze do czytania mi przyniósł i wiele z tej książeczki na pamięć umiałem, jakoż i teraz jeszcze pamiętam, że tam tak stało:

*Ojczyzno, czemu płaczesz, czemuś tak struchlała?  
Boleść serce-ć ścisnęła i w mowieś ustała!  
Lata prędkimi skrzydłami  
Między polskimi miastami  
Wieść w rańtuch czarny przybrana,  
Łzami krwawymi zalana!*

Nie będę opisywał tej drogi mojej po wszystkim szczególe, bo pisać by o tym nazbyt dużo i nierychło bym skończył moją opowieść, a powiem tylko, że nie masz takiej książki, z której byś się, człeku, tyle nauczył, ile się z podróży nauczysz, bowiem książka albo powieść ludzka – to zawsze tylko cień jest i marne podobieństwo rzeczy, a podróż – to rzecz sama jest, i uczysz się na niej rozumu w jednym dniu więcej niż doma przez rok, bo ci tu rozumu na każdym kroku potrzeba, a jak go z przyrodzenia nie masz albo go nie nabierzesz z przykładu i z przygody cudzej, i własnej, tedy doma siedz za piecem. W podróży uczysz się wszystkim, czym cię Pan Bóg obdarzył do poznawania ludzi i świata: i głową, i językiem, i okiem, i uchem, a nie trza na ciebie różgi ani batoga, abyś był pilny i baczny, i o sobie pamiętał, bo kiedyś ospały albo nieopatrzny, to cię pokuta szkolna nie minie: zapłacisz szkodą własną, straconym czasem, zdrowiem, workiem, a niekiedy to i życiem.

Jechaliśmy przez kraje włoskie, przez rzekę Seret do Fokszan, dalej na Tekuczę do Rymnika, a tu pan Zachnowicz i pan Bonarek rozłączyli się z nami i wzięli się na bok inną drogą ku Braile, a stamtąd w dół do tureckiego kraju Dobruczy jechać mieli. Żegnaliśmy z żalem pana Zachnowicza i Bonarka, za którym mi bardzo tęskno było, bo był bardzo wesoły i ludzki dla mnie, a opowiadać umiał takie dziwne i ciekawe historie, że, bywało, jeść i spać człek by nie chciał, jeno słuchać a słuchać.

Miał także pan Bonarek przy sobie fujarę bardzo długą czyli fletnię, na której grywał: jeno że kiedy opowiadał, to zawsze co nowego i nad podziw zabawnego, a zaś kiedy grał, to zawsze a zawsze jedno i to samo, bo to jedno tylko umiał, a nic już więcej. Tedy siadał po turecku na skrzyżowanych nogach, dobywał tej okrutnej fletni, rozdymał policzki, że bywało aż posiniał, i grał przegrywkę na nutę zawsze jednej i tej samej pieśni:

*Słońce już padło, ciemna noc zachodzi.  
Nie wiem, co za głos uszu mych dochodzi,  
Postoję mało, a dowiem się pewnie,  
Dlaczego płacze ta pani tak rzewnie.*



Ale nad te cztery wiersze nic więcej nie umiał, zawsze je powtarzając, a i nutę do nich jedną i tę samą na swojej fletni wygrywał.

Rozstawszy się tak z obydwojma, jechaliśmy na Bożów, Giergice – do znacznego grodu multańskiego Bukaresztu, a stamtąd ruszywszy, w niedługim czasie wjechaliśmy w kraj turecki Bułgarią zwany, a mieszkają w nim chrześcijanie greckiej religii, których srogi Turek pod jarzmem swoim i jakoby w kajdanach niewoli trzyma.

Tu mi się tak zdało, jakoby do domu wrócił i między swoimi się znalazł, bo do tego czasu jakoby niemy i głuchy jechałem, nie rozumiejąc mowy wołoskiej, a teraz już od biedy rozmówić się mogłem, bo ci Bułgarowie – to naród jest słowiański, do naszego podobny i jednego z nami Polaki plemienia, a mowa ich – to jakoby między polską a ruską, jakoż i te same mają słowa, lubo przeinaczone, ale przecież naszym całę podobne, a co się zapytasz, jak się jaka wieś nazywa, to ci odpowiedzą całkiem jakby to w polskim kraju było: że Szumowce, Mogiła, Śliwnica, Lipnik, Gnojnica, Bukowa.

Przyjechaliśmy nareście nad Dunaj, rzekę ogromną, szeroko rozlaną, że i drugiego brzegu nie widzisz, a po niej już duże statki pływają. Kraj to jakoby raj ziemski: wszędy drzewa orzechowe, kasztanowe i morwowe, owoców i winogrodu w bród, róże stulistne na polach jako u nas chwasty same się rodzą, a na rzece zielone ostrowy cudnymi krzewy i bluszczami zarosłe, melony między nimi jakby złote banie w słońcu połyskują, a wszędy moc ptactwa przeróżnego, łabędzie szumne po wodzie szybują, a w głębinach ryb obfitość, że jeno rybitwa sięgnie, aliści i na łokieć dużą na brzeg wywlecze – a jak na tę żywność a obfitość Bożych darów patrzysz, tedy choć się z początku rozradujesz, potem zaraz cię serce zaboli, że to wszystko niecnotliwy Turek poganin posiadał, a naród chrześcijański pożywać tego w pokoju nie może i w nędzy tu żyje.

Po brzegach Dunaju są dwa miasta i dwa zamki tureckie; jeden zamek na drugi patrzy, a oba bardzo warowne. To miasto, co leży po lewym brzegu, nazywa się Dziurdzewo, a to, co po prawym, Ruszczuk. Pan Harbarasz zapowiedział był już w drodze, że w tym Ruszczuku zatrzymamy się parę dni, jako że to jest znaczne miasto handlowe i panowie kupcy, którzy z nami jechali, sztychy na rozmaity towar mają robić, a co ujednają u tutejszych Turków i Greków, to ma być w pogotowiu, tak że wracając, towar już przyładowany z sobą zabiorą.

Miało się tu zakupywać kobierce i kilimy bułgarskie, które w tym kraju wszędy białogłowy po domach dziwnie wzorzyste i piękne wyplatać z wełny owczej umieją, a także i glinę turecką, która to glina nie tylko do nas, do Polski całej, ale i w kraje niemieckie idzie, bo są w Ruszczuku garncarze, co lepią cudne dzbany, misy i kusze, jakie i na stole senatorskim stawiać można, nie tylko pięknie malowane i polewane, ale także złotem i srebrem bardzo sztucznie a misternie pisanie. Są tu także bogate hafty złote, jakimi wielcy panowie komnaty swoich zamków zdobią, a wyrabiają je sermadże, czyli hafciarze, sprawniejsi do tego od naszych lwowskich, a w końcu i ów sławny na cały świat olej woniejący bywa w Ruszczuku na składzie, który Bułgarowie z kwiecia różanego wyciskają, jakoby nasz olej ze lnu, bo w tej krainie są całę okolice, które z tych pól różanych żyją, jako my z łąnów zbożowych.

Ale gdyby nas nawet handle nie były zatrzymały, to i tak dalej jechać byśmy zaraz nie mogli, bo kilka koni nam ochromiało, a co większa, najlepszy nasz furman, który samego pana karawan-baszę wioził i nad innymi furmany nadzór miał, na gorączkę bardzo zachorzał. Stanęliśmy tedy w gospodzie jednej dużej, czyli w hanie, bo tak w Turczach gospody zowią, a pan Harbarasz już z dawna znany był gospodnikowi, bo do niego przedtem zajeżdżał.

Chadzaliśmy sobie do miasta i razem, i z osobna; nikt nam nie bronił i nic nam Turcy nie powiadali; czasem tylko jaki okrutny brodacz w takim dużym zawoju na łbie, jakby mendel zboża, z ukosa groźnie spojrział i coś gniewnie mruknął, ale nie kazał nam zważać na to pan Harbarasz, «bo – powiada – w każdym Turku diabeł siedzi, to rzecz pewna jest, ale ten diabeł z częsta drzemie i dopóki go nie zbudzisz, to ci nic nie zrobi, a naród turecki z natury gnuśny

jest i dla tej tylko gnuśności często nieszkodliwy, bo kiedyby cię Turek zabić mógł, z łoża nie wstając, pewno by cię zabił, ale po staremu wstać mu się nie chce».

Chadzałem sobie tedy za pozwoleniem pana karawan-baszy po mieście, jakby po Lwowie, dziwując się wszystkiemu, aż raz zaszedłem pod sam zamek. Stały tu na wale szerokim ogromne armaty, snadź świeżo skądś przywiezione, bo od niektórych dopiero bawoły odprzegano, a nieco z dala pokładli się na ziemię puszkarze, czyli topczowie, bo tak ich po turecku mianują, to drzemiąc, to w niebo patrząc, a takie odpoczywanie to się u nich *kef*zowie.

Kiedy się tak przypatruję, obaczę naraz, że koło jednej armaty stoi człowiek jakiś bardzo nędzny, grubym łańcuchem do niej za jedną nogę przykuty. Chłop setny, nie wysoki, a za to barczysty, ale bardzo znędzniały, z dużą czarną, ale już siwiejącą brodą, z twarzą wychudzoną i z zapadłymi oczyma, z których głód i smutek żałośnie wyglądały. Prawie że nagi był, bo miał na sobie ubranie z zgrzebnego płótna, całe w szmatach i dziurach, że wszędy ciało wyglądało.

Z litością w sercu spoglądnę na niego, a on obejrzawszy się dokoła, a osobliwie w stronę, gdzie owi topczowie w trawie się rozłożyli, zaczyna się żegnać krzyżem świętym po trzykroć, jak to ludzie greckiej wiary i u nas zwykli. Snadź chciał biedaczek dać mi znak, że chrześcijanin, ja też bliżej postąpię, a on siadłszy na ziemię, bo dotychczas stał był, odwrócił się niby ode mnie w przeciwną stronę i mówi powoli, głosem przytłumionym, ale wyraźnie po rusku:

– Duszo chrześcijańska, litościwy człeku, czy ty mnie słyszysz i rozumiesz?

– Słyszę i rozumię – rzekę na to z cicha, ale tak, aby mnie mógł zasłyszeć.

– Sława Bogu, żeś ty nie Niemiec, bom ciebie za takiego miał – mówi ów więzień na łańcuchu, bo snadź tak mu się po moim ubraniu zdawało. – Nie patrz w moją stronę, ale ku miastu, na meczet patrz.

A był niedaleko meczet, to jest bożnica turecka z wieżą i półksiężycem złocistym na szczycie. Tedy ja na ten półksiężyc niby patrząc, a uszu pilnie nadstawiam.

– Duszo chrześcijańska, uzał się mnie duszy chrześcijańskiej! *Na światoho Spasa i Bohorodyciu* proszę ciebie, podaj mi pilnik; w chlebie mi go podaj; tam widzisz niedaleko piekarz, kup dwa bochenki chleba, jeden niby dla siebie, a drugi dla mnie. Rozkrój ten chleb jeden, ukryj w nim pilnik i podaj mi, a nie bój się, bo nam jałmużnę wolno dawać, byle nie w pieńdżach, bo je te psy zaraz odbiorą.

Gdybym nawet nie miał był ojca straconego gdzieś między Turkami, byłbym temu jeńcowi nieszczęsnemu uczynił, o co prosił, choćby to nie całkiem bezpieczne być miało, a cóż dopiero, kiedym pomyślał, że co wiedzieć, czy i mój biedny ojciec nie w takiej samej nędzy teraz żywot trawi a do Boga o wyzwolenie żałośnie wzdycha? Idę tedy na bezestan, czyli bazar, to jest na ono miejsce, gdzie same kramy są z różnymi towarami, i zaraz obaczę Cygana kowala, co siedzi na ziemi, a przed nim na sprzedaż młotki, obcęgi, piłki, pilniki, gwoździe i inny towar kowalski. Wybrałem pilnik, jaki mi się wydał najlepszy, nie targując się całe, bo o rzecz ważniejszą szło aniżeli o jeden lub dwa aspry, o które mnie Cygan oszukał; kupiłem dwa bochenki chleba, a wstąpiwszy w zatyłek jednego domu, gdzie nikt na mnie nie patrzył, rozkroiłem jeden chleb na dwoje, ukryłem w nim pilnik, a nadto jeszcze i jeden złoty cekin, co tyle jak dobry dukat znaczy.

Te dwa chleby wzięwszy, sam zaczynam mój bochenek łamać i niby smaczno jeść, i tak jedząc podchodzę znowu pod armaty, a ów jeniec niby mnie po raz pierwszy obaczywszy, zrywa się z ziemi i choć topczowie w naszą stronę patrzą, pocznie jak żebrak rękę wyciągać, a głowę trząść i do chleba mego się modlić. Tedy ja niby chwilę się waham, a potem ów drugi chleb z pilnikiem i dukatem mu podaję, a on chwyta go chciwie i zaraz jak pies zgłodniały kąsać go pocznie, dobrze dzierżąc obu rękami, aby się nie rozpadł. Widzieli to topczowie i jeden na mnie coś krzyknął i ręką machnął, abym precz sobie poszedł, ale chleb temu więźniowi zostawiono.

Kilka dni bawiliśmy w tym Ruszczuku i już panowie kupcy pokończyli swoje sprawy i jechać dalej czas było, a tymczasem furman pana Harbarasza nie tylko nie wyzdrowiał, ale

jeszcze ciężiej zachorował i tak mu się źle zrobiło, że błagać począł, aby mu koniecznie księdza katolickiego sprowadzić, bo czuje, że umierać będzie. Kłopot był o to niemały, bo gdzie tu znaleźć w Ruszczuku księdza katolika; same tu tylko popy, a raczej mnichy schizmatyki, których tu kaługerami zowią; sprośne chłopcy brodate, prostaki nieuczzone, że ich i własny naród niejako w pogardzie ma. Ale powiada nasz handzi, to jest gospodnik, który Grek był, jako słyszał, że u jednego Włocha, co był zarazem i kupcem, i baszyńskim lekarzem, stanął ksiądz jakiś katolik, który z Jędropola do Polski jedzie. Posłał mnie tedy pan Harbarasz z jednym miejscowym Bułgarzynem do onego Włocha, abym się dowiedział, czy prawda, a jeśli tak, żebym onego księdza do chorego uprosił.

Pokazano mi do tego księdza, patrzę, a to jakiś brodacz na pół z turecka, na pół z bułgarska ubrany, z marafetem, to jest zawojem, na głowie, człek, jako mi się zdało, całe świecki i do księdza ani podobny. Bułgarzyn, co ze mną przyszedł, mówi do niego, a on po bułgarsku także odpowiada i zaraz nam skórzaną sakwę podaje, aby nieść za nim do gospody. Tam przyszedł, dobył z sakwy komeżki i stuły i zaraz do chorego poszedł. Jam się mocno dziwowałem wyglądaniu tego księdza, aż pan Harbarasz powiedział, że nasi księża, kiedy do Turek jadą, brody jako najdłuższe zapuszczają i stroju kapłańskiego zaniechają, bo inaczej by żaden z nich niczego nie sprawił, ano i zdrów się nie ostał nie tylko dla onej złości pogańskiej, ale i dla niezyczliwości samych popów i kaługerów tutejszych, którzy nasz święty Kościół katolicki w nienawiści sobie mają.

Kiedy ów ksiądz wrócił od chorego, pocznie z nami po polsku rozmawiać i powiada, że do Lwowa z Jędropola powraca. Tedy ja całuję mu rękę i pytam, czyli w Jędropolu nie zna księdza karmelity Benignusa i czyby mi wskazać nie raczył, jako tam odszukać go będzie można?

– A tom ja jest ksiądz Benignus – rzecze na to – a co za sprawę masz do mnie?

Ucieszyłem się bardzo tym szczęśliwym spotkaniem i daję mu list od pana Heliasza. On list przeczytał uważnie i – pyta:

– A jakże się twój ojciec nazywa, który ma być w niewoli turskiej, jako tu w liście stoi?

– Marek Bystry.

– Bystry, Bystry... – powtarza ksiądz Benignus – coś mi to nazwisko jakby już słyszane. Poczekaj, mam ja tu długi spis naszych, co tu więźniami u Turków są, i panów, i chłopów, i niewiast, i dzieci nieszczęśliwych, co ich Tatarowie pobrali; owo poszukać muszę.

Wydobył książkę całą nazwiskami zapisaną i począł przepatrywać, a trzeba wiedzieć, że ten ksiądz Benignus żywot swój i zdrowie temu poświęcił, aby polskich jeńców z jasyru ratować, i posyłał go panowie z pieniędzmi na okup, a on pewniejszy był niż Ormianie, bo ci lubo-ć także wiele ludu z niewoli dobywali, tedy przecież nie z samej cnoty chrześcijańskiej to czynili, częściej zysku i zapłaty znacznej za swoje starania wymagając. Kiedy on tak w onej książce czytał, jam jakby na węglach żarzących stał, bom nadzieję całą w nim położył.

– Bystry – ozwał się nareście ksiądz Benignus – jest Bystry, Marek Bystry!

– Żyw tedy, żyw mój ojciec! – zawołałem z radością, ale zaraz wielkim płaczem wybuchnąłem.

– Żyw był przed pół rokiem, kiedy go widziałem – rzecze ksiądz Benignus – ale czy jeszcze żyje, Bóg wiedzieć raczy.

– A gdzie go widzieliście, ojcie dobrodzieju, i co robi?

– Widziałem go w Warnie na sultańskiej galerze; do wiosła go sprzedali. Prosił mnie, aby żonie jego dać znać o nim w Podborzu, w ekonomii samborskiej – mówi ksiądz Benignus, czytając z tej książki – i aby jej zlecić, żeby przeze mnie albo przez Ormiany lwowskie wykupiła go z niewoli.

Ma na to sołtystwo sprzedać. Pięćset twardych talarów żąda za niego ten aga, pod którym wiosłuje. Kiedym go widział, galera, na której był, miała na Czarne Morze płynąć. Należy do tych galer wojennych, co pod Mezembrią przystań mają, kiedy z morza wrócą, i tam się o niego pytać trzeba.

## XIII

### WYPRAWA PO OJCA

Po tym, com usłyszał od księdza Benignusa, pierwsza rzecz była: policzyć, ile mam w mieszkaniu, bowiem dotąd nie myślałem nawet o pieniądzach moich, mając wszystko, czego mi było potrzeba do życia, od pana Harbarasza jako myto za moją służbę. Od owego weneckiego kupca, pana Kurcjusza, dostałem był, jakom już mówił, dziesięć podwójnych cekinów; w skarbonce mojej, co ją w kantorze pana Spytkowym zawiesił był pan Heliasz, nazbierało się dziesięć dukatów – i zdało mi się tedy, że jestem bogacz wielki i że Bóg wie czego takim skarbem dokażę. Kiedym się teraz dowiedział, że okupu za ojca żądają 500 twardych talarów, obaczyłem z żalnością, jako za ledwie cząstkę tej sumy mógłbym zapłacić. Szło trzy złote na talar, tedy potrzeba by mi było 1 500 złotych, zaś cały mój majątek wynosił trzydzieści dukatów, a to znaczyło ledwo 500 złotych, a i to niespełna.

Pocieszałem się przecież myślą, że mam dość grosza, aby dotrzeć do mego ojca i próbować, czy mi go z niewoli wydostać mniejszą sumą się nie uda; że może do ucieczki mu pomogę, a w najgorszym razie dołę mu jego osłodzę. Teraz więc szło mi tylko a to, aby się jak najprędzej dostać do onej Mezembrii, bo z tego, co powiadał ksiądz Benignus, jasno mi było, że choćbym tam ojca nie zastał, to przecie wieści o nim najpewniejszej zasięgnę, skoro gale-  
ra, na której przy wiosłach go trzymają, przystań swoją ma w Mezembrii. Wiedziałem, że karawana nasza nie będzie szła na Mezembrię, ale że zawsze największą część drogi z nią razem będę mógł odbyć, bo czy do Jędropola się jedzie, czy do onej Mezembrii, którą Bułgarowie Nesembrem zowią, droga zawsze prowadzi przez góry bałkańskie.

Chory furman nie obiecywał wrócić do zdrowia, a pan Harbarasz dłużej już w Ruszczuku zostać nie mógł; trzeba go tedy było zostawić, a innego człeka do koni szukać, co rzecz trudna była bardzo w obcym mieście, i to jeszcze między Turkami. Bułgarzyna jakiego nierad był pan Harbarasz brać, jako iż nie miał do Bułgarów ufności, że to naród dość niepewny i w tej ciężkiej niewoli pogańskiej już wiele z przyrodzonej cnoty ludzkiej postradał; Turka uczciwego choćby chciano, tedyby Turek znowu nie chciał, a obejść się całe bez nowego człowieka także niełatwo, bo droga przez wielkie góry i dzikie parowy nas czekała. Kiedy tak mówimy o tym wszyscy, przychodzi nasz handzi, czyli gospodnik, i rzecze, że jakiś człek mówić chce z panem karawan-baszą. Wchodzi Bułgarzyn jakiś, chłop tęgi, jeno zmizerniały nieco, jakby po chorobie był, i mówi do pana Harbarasza:

– Szukacie, panie, arabadżyka?

A trzeba wiedzieć, że tak tu z turska furmanów zowią.

– Szukam.

– Weźcie mnie, jeśli wola.

Snadź się panu Harbaraszowi człowiek ten podobał z samego wejrzenia, bo go nie odprawił tak zaraz z miejsca, jako innych, którzy się byli zgłaszali, ale odstąpił z nim nieco na stronę i rozpytywać go zaczął. Mnie tymczasem tak się zdaje, jakobym tego człowieka kiedyś znał albo przynajmniej kiedyś widział, jeno w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę, gdzie to było. Kiedy tak ciągle nań patrzę i w pamięci szukam, on też na mnie z ukosa spoj-

rzy i nieznacznie mrugnie okiem, jak gdyby mi rzec chciał: Nie powiadaj, że mnie znasz! Dopiero wtedy poznałem go od razu, a nie był to kto inny, jeno ten więzień przykuty do armaty, któremu ja w chlebie pilnik i jeden dukat podałem.

Gdyby był nie spojrział tak na mnie i nie dał tego znaku oczyma, byłbym go nigdy nie poznał i w pamięci daremnie szukał, bo tak się odmienił, że rodzony brat byłby go się wyparł na pierwsze spojrzenie. Ogolił brodę, podstrzygł i podkręcił wąsa, a ubrany był ubogo, ale ochędożnie, jako się Bułgarowie ubierać zwykli; miał dużą baranią czubarek na głowie, kaftan z ciemnej chaby, szarawary także, szerokie, fałdzone, na nogach opończe i przepasany był czerwonym pasem z wełny.

Nie słyszałem, co panu Harbaraszowi na jego pytania odpowiadał, ale zmiarkować mogłem, że pan Harbarasz nie wszystkiemu jakoś rad był i nie wszystkiemu wierzył, co słyszał; na Bułgarzyna jakby z podejrzeniem spoglądał, namyślał się i wahał, ale w końcu przecież go ujednał, wyraźnie pokazując po sobie, że to od biedy i z konieczności czyni. Zaraz też nowy furman do wozów poszedł i już tego dnia ani się wychylił ze stajen.

Nazajutrz równo ze świtem mieliśmy wyjechać w dalszą drogę, a ja widząc, że ubranie moje lwowskie nazbyt jest znaczne i że w nim między Turkami niedobrze będzie się przewijać, zwłaszcza kiedy już sam i bez opieki będę, kupiłem sobie przy pomocy gospodnika naszego w bezestanie ubogie odzienie bułgarskie i zaraz je oblokłem, co mi pan Harbarasz pochwalił, mówiąc, że sam to chciał mi kazać, ale był zapomniat.

Ruszyliśmy w dalszą drogę i wjechaliśmy w góry one straszne bałkańskie. Opisywać ja tej drogi nie będę, bobym nieprędko skończył, a byłoby co opowiadać. Siedm dni i siedm nocy strawiliśmy na tej przeprawie przez okrutne skały i góry, przez urwiska i wąwozy, przez ostre grzbiety i ponad głębokie przepaście, bo ano takich gór, jak one bałkańskie, chyba już nie ma na Bożym świecie. Głowa się człowiekowi zawracała i bywało, lęk zbierał od samego patrzenia, to na dół w głębie czeluści i rozpadlin, to w górę na strome, a tak wysokie skały, że się prawie obłoków sięgać zdawały i orłom tylko, a nie ludziom tędy by bywać. A każdą z tych największych gór i z tych przepaści bezdennych pan Harbarasz znał i ciągle nam powiadał, że to jest Pisana Czuka, a to Golona Głowa, a to Czarna Głowa, a to Babin Nos, a to znowu Iwanowa Liwada i tak dalej bez końca, i bardzo to miałem w podziwieniu, że pan Harbarasz tak dobrze o każdej wiedział i każdą zaraz mianował.

Kiedy w dzień słońce pali, to skały te i góry jakby gorzały, a kiedy słońce się chować zaczyna, to ci się zda, że całe krwią oblane; bo są gołe i całe z czerwonego kamienia, nocą zaś jeszcze straszniejsze, bo ano ci się zdaje, że to nie góry i nie skały, tylko jakieś gmachy i potwory z bajki albo ze snu w gorączce, bo ano widzisz wieżyce pod niebo strzelające, słupy, kościoły, domy, jakoby miasto jakieś zbudowane ręką nieludzką i na wieki w kamień zaklęte; ta góra wygląda nocą jak smok z otwartą szeroko paszczą, ta druga jak okręt z żaglami, ta znowu jak bestia jakaś bajeczna, ta jak głowa człowieka i tak bez końca. Ludzi spotykaliśmy mało po drodze, a i tym albo źle z oczu patrzyło, albo się z nimi dogadać nie było sposobu; kiedy Turek, to ci na zapytanie mruknie: *Kim bilir?* – to jest: kto tam wie? a kiedy Bułgarzyn to odpowie: *Koje znaje?* – albo: *Ako gospod da* – jak Bóg da.

Gospód po drodze prawie że całe nie masz, a jak się przydarzy taki han, to ani w nim jeść, ani pić nie dostaniesz za najdroższe pieniądze, chyba obrzydliwą gorzałę ci podadzą, którą oni tu *rakki* zowią, szczęście też nasze, że pan Harbarasz i kupcy żywność z sobą wzięli, a czasem i zwierzynę który z nas z rusznicy ubił, w czym ja najwięcej miałem szczęścia, bo do samopału i do łuku równie sprawny byłem. Najwięcej pod gołym niebem nocowaliśmy, namiocik rozbiwszy, a wtedy nieraz bardzo wesoło bywało: rozłożyliśmy ogień, warzyliśmy wieczerzę, pili śliwieńskie czarne wino, któreśmy z sobą w skórzanym miechu mieli, panowie Ormianie śpiewali, a pan Goryczka z panem Rabczką koło ognia śmiesznie tańcowali, klaszcząc w dłonie i pokrzykując: »Ej, ej! Dziś, dziś, dziś!«

Jam bardzo żałował, że Semenowej nie miał, ale pieśni kozackie śpiewał, których mnie Semen nauczył. Kiedyś tak raz zanucił jedną, ów furman, czyli arabadzyk, cośmy go w Ruszczuku przyjęli, porwie się od ognia, jakby go wąż ugryzł, ale zaraz siada, głowę na rękach wesprze i słucha, słucha, a widać że się bardzo o to gniewa, kiedy ktoś zagada i śpiewanie przerwie, jeno okazać tego nie śmie.

Ten człowiek dopiero w drodze do mnie przemówił; przed wyjazdem i na wyjeździe ani na mnie zważał, że aż markotny był, iż mi tak całe żadnej wdzięczności nie okazuje, chociaż mu do szczęśliwej ucieczki dopomogłem. Ale kilka mil za Ruszczukiem, kiedyś koło jego wozu szedł, a pan Harbarasz nas nie widział, rzecze on do mnie:

– Bóg ciebie nadniósł, *detyno*; zmiłowanie swoje ukazał nade mną przez ciebie. Śmierć mnie już pewna czekała, bo mieli mnie nazajutrz do Dziurdżewa dostawić, a basza tamtejszy mnie zna; byłoby mnie dziś już na szubienicy sępy jadły. Kilka razy ja uciec próbowałem; zdawało się, że wszystko mi służy, bo mi przyjaciele pomagali, a zawsze daremno. A teraz ot co, głupstwo: pilniczek za parę groszy, i udało się. Bóg tak dał!

– A co wy zacc jesteście – pytam – i jak się nazywacie, boście nie Bułgarzyn przecie, jeno z naszych ruskich ludzi.

– I z waszych i nie z waszych – odpowie – a tobie wiedzieć na co? Ja Pańko jestem; tak mnie ochrzczono; Pańko mnie wołaj.

– A jak wy, Pańku, nie uciekali zaraz daleko, jeno w Ruszczuku zostali? Nie strach wam było?

– Gdybym ja był dalej uciekał, już by mnie Turcy mieli byli w swym ręku. W tym rozum cały, strachu nie znać i na miejscu zostać, bo cię właśnie tu nie szukają. Topczowie za mną daleko dokoła w rozgony poszli; jeszcze mnie gonią. Ale kiedyby nie twój dukat, może bym ja i był przepadł. Oddam ci go, Bóg to da, dziesięćkrotnie, stokrotnie może!

– A łatwo wam uciec było?

– Tom ci już rzekł, że nad moje spodziewanie. Kiedy w nocy topczowie spali, jam odpiłował łańcuch i do monasteru Świętej Trójcy pobiegł, bo wiedziałem, że tam jest czerniec jeden, który mnie dobrze znał, kiedy w Kijowie w Ławrze przebywał, ale on mnie przechować nie mógł, bo kaługery byliby mnie ze samego strachu Turkom wydali, tak się boją. Chciał ma dać ten znajomy kaługer mniszę ubranie, abym się przebrał, ale nie chciałem, bo kaługery z brodami chodzą i z długimi włosy, a gdybym się nie był ostrzygł i ogolił, Turcy by mnie byli snadno poznali. Ale ty, skąd ty się taki wziął, *hołubczyku*, że tak śpiewać umiesz?

– Jeden Kozak mnie nauczył – rzekę.

– Kozak, Kozak cię nauczył – powtórzył Pańko, jakby do siebie mówił. – Wart i ty być Kozakiem, wart; lepski by był mołojec z ciebie!

Ja bym się był rad z nim szeroko rozgadał, ale on skąpy był w słowach; ani rusz pociągnąć go za język. Pan Harbarasz zrazu na niego krzywym okiem patrzył, jakby mu nie bardzo wierzył, ale im dłużej z nim jechał, tym mniej był nieufny, aż w końcu i chwalić go zaczął, osobliwie kiedy zapuściliśmy się w najdziksze góry i między odludne i przepaściste skały, o których pan Harbarasz dobrze wiedział, że się w nich zbójce na podróznym zasadzają, a już najbardziej na karawany kupieckie, bo się na nich dobrze obłowić można.

Taki był jeden kawałek drogi, który zgrozą najśmielszego przejmował, bo się ciągle natykało na kości końskie, a nawet i ludzkie, jeszcze świeże, około których sępy krążyły, albo na szczątki skrzyń rozbitych, jakby na ślady zabójstwa i rabunku, a szlak ten nazywał się «hajducki», bo trzeba wiedzieć, że tam zbójców nazywają hajdukami, com ja rad bardzo słyszał, jako że i nasz podborski hajduk Kajdasz jako prawdziwy zbójca sobie z nami poczynał, a tak owa nazwa całe mu się godziła.

Jechaliśmy przez te hajduckie wąwozy w pogotowiu jakby wojennym; co było broni, to pan Harbarasz porozdawał, tak że każdy kupiec i każdy furman miał nabity samopał, a Pańko

najlepiej w tym szedł na rękę, osobliwie w nocy; kiedy się pod gołym niebem dnia czekało. Wtedy Pańko wozy nasze dziwnie w tabor ustawiał, konie wyprzęgnawszy, że się z tego jakby mała forteca robiła, w której się i całej kupie opryszków bronić i odstrzeliwać można było; czaty rozstawiał, sam boczne skały obchodził, czy zasadzki nie odkryje, a tak zawsze urządzić nam nocleg umiał, że tył i boki mieliśmy skałami zakryte i bezpieczne, a kiedyby napad jaki na nas był, to tylko od jednej strony i z przodu.

Jednej nocy stał się nawet popłoch i kto wie czyby nas byli owi hajducy nie opadli. Stał wtedy Pańko na czatach, bo jego kolej była; obaczył, jak spoza wysokiej skały wychylił się na chwilę zbójca, jak rozglądnął się i umknawszy za skałę, świsnął, jakby znak dawał towarzyszom. Pańko dał ognia z rusznicy, a na odgłos strzału porwiemy się wszyscy na równe nogi i jak nas było kilkunastu, wypalimy wszyscy razem z rusznic, że aż skały na milę jakby jednym grzmotem zahuczały – acz żaden z nas nie wiedział, po co strzelił i do kogo.

Rozgniewał się o to srodze pan Harbarasz, który sam jeden nie strzelił, przypadł do nas i bardzo złajał, «bo – mówi – jaki to wiwat był, czy to księżyc wam zawadza, chcieliście go z nieba ustrzelić; a tak gdyby teraz ci hajducy na nas z góry spadli, hanczarami by nas jak barany porzezali, bo żaden z was kuli w rusznicy nie ma». I kazawszy nam prędko rusznice nabić, mówi do Pańka:

– Myśmy tu tylko dwaj żołnierze: ty, żeś strzelał, ja żem nie strzelał. Nie może być inaczej, jeno żeś kiedyś żołnierzem bywał?

– Może i bywał – odrzekł Pańko i na tym przestał.

Szóstego dnia rankiem wjechaliśmy na miejsce, którędy droga wiedzie wśród najwyższych garbów tych gór bałkańskich, a pan Harbarasz zawiódł nas ku jednej skale i kazał nam wdrapać się na sam jej wierzch, co mozolna rzecz była, i sam na nią wszedł, a kiedyśmy stanęli już na samym szczycie, ukazał nam góry, przez które przeprawiliśmy się byli, a wyglądało to jakoby ogromne zwałisko skał i kamieni, a potem rzekł:

– A teraz patrzcie dobrze na lewo i na prawo, daleko, daleko, a obaczycie dwa morza; po lewej Czarne, po prawej Egejskie. A ta wieża na lewo, co widnieje tam wśród sianej mgły, to jest Warna, ta sama Warna, pod którą dwa wieki temu znalazł śmierć w bitwie z Turkami, sławnej w całym Chrześcijaństwie pamięci, król polski Władysław.

Jam to wszystko, co pan Harbarasz mówił i pokazywał, oczami pił, a uszyma łykał – i całego żywota mego nie zapomnę tej drogi i tego wszystkiego, com na niej widział i słyszał ku ciekawości mojej i wielkiemu podziwieniu, a dziś jeszcze, po tylu latach, kiedy do czego innego głowy nie mam albo gdy w nocy się obudzę, przechodzę myślą przez te same góry i skały, wędruję pamięcią, kędym za młodo wędrował nogami, i tak wszystko jasno widzę, jakby to wczoraj dopiero było, i rzecz każdą dobrze pamiętam, choć jej nazwy zapomniałem.

Zaczeliliśmy się teraz spuszczać ku dołowi i podróż nam już rażno szła i bezpiecznie, ale dla mnie już nie była taka wesoła, bo mi się niebawem rozstać trzeba było i samemu, bez cudzej rady, i własną tylko głową myśleć o sobie i o tym, co sprawić mam, jakom sobie słubowałem. W Kaloferze, nieznacznym bardzo miasteczku, uściskałem kolana pana Harbarasza i prosiłem, aby mnie tu już ze służby swojej odpuścił, bo stąd do Mezembrii pójdę. Pan Harbarasz wiedział już o moich zamysłach, bom w drodze nieraz o nich wspominał, ale po staremu w ich stateczność nie wierzył i raczej je za fantazję miał – jakoż bardzo nierad był temu i wszelkimi sposoby odwieść mnie chciał od wyprawy, «bo – mówi – drogi nie znasz, ludzi nie znasz, języka nie znasz, sposobów nie wiesz, pieniędzy nie masz, jak ślepa ćma w ogień lecis na zniszczenie własne; ojca ani obaczysz, a siebie zgubisz, i coś miał ojca oswobodzić, sam się w niewolę podasz».

Ale kiedy się obaczył, że te wszystkie mądre słowa i przestrogi jakby na wodzie pisał i że mnie od zamysłu nie odwiedzie, już mi tylko rozmaite dobre rady dawał i sposoby wskazywał, jak sobie poczynać, a bardzo żałował że w onym mieście Mezembrii żadnych znajomych kupców Ormian albo Greków nie ma, aby mnie listami opatrzyć. Żałośnie ze mną się

rozstawał, bo mnie w drodze cale był polubił, jako iżem zawsze pilny i posłuszny mu był i chętny, i skory do każdej rzeczy, która do służby mojej należała. Dał mi też pięć dukatów zasługi, choć mi tego nie obiecywał był nigdy i z łaski mnie tylko w tę drogę z sobą brał, wielkim prośbom pana Heliasza folgując. Kiedym się z wszystkimi pożegnał i już odejść miał, wziął mnie Pańko na bok i rzecze:

– Bóg cię prowadź, dobra *detyno*; gdybym ja tak mógł, nie puściłbym ciebie samego. Poszedłbym ja z tobą, a może co i sprawił. Ale jam się z tym kupcem do Jędropola ujednał i słowa mu dochować muszę, a choćby i na to sposób był, to ja w innej stronie bardzo pilne sprawy mam. Ja tę Mezembrię znam, bywał ja i tam, bom ja na wszystkim brzegu czarnomorskim jakby u siebie w domu; ciężko ci tam co zdziałać przyjdzie, ciężko, bo tam same Greci poturczone, a to naród sobaczy, od rzetelnych Turków gorszy. Miej się ty dobrze na baczności. A jeżeli ta galera tam w przystani będzie, na której twój ojciec ma być przy wiosłach, tedy trudno-ć będzie dostać się na nią własnym dowcipem. Ale jest tam jeden Pomak, to jest Bułgarzyn poturczony, ale ni pies, ni kot, bo on i w Mahometa wierzy, i przed Matką Boską świeczkę pali, jak mu trzeba. Łacno go przydybiesz; on zawsze koło przystani i między łodzie i statki się kręci; Jowan się nazywa.

Jak zobaczysz człeka małego z taką obrośniętą twarzą, że nic z niej nie obaczysz, jeno nos bardzo duży i krzywy jako dziób u sępa – to to Jowan będzie. Za cekin on ciebie na galerę zaprowadzi, bo to turecki brat i służka, a tak z ojcem się zobaczysz; ale w żadną sprawę z tym Jowanem nie wchodzić, nic mu nie wierz, bo ciebie zdradzi. Znam ja go, psiego syna. On za pieniądze wszystko sprzedaje; własną duszę by dał, Kozaka sprzeda Turkam, Turka Kozakom, a Turka i Kozaka diabłu, kiedyby płacić chciał. Bóg ci pomagaj!



## XIV

### POTURMAK JOWAN

Dostał ja się za Bożą pomocą szczęśliwie do Mezembrii, czyli Nesembra, całą prawie drogę przebywszy pieszo, bo przysiąc się już przez to samo trudno było, że samych konnych spotykałem, a kiedy wóz, to bawołami zaprzężony i tak pomału jadący, że nie warto siadać, choćby mi i pozwolono. Nałożyłem niemało drogi, bom nie szedł najkrótszą, jako iż ta przez górskie przesmyki wiedzie, a ja bez przewodnika nie byłbym trafił; szedłem tedy na Karnabad, a choć stąd do Mezembrii tylko dziesięć mil liczą, trzy doby wędrowałem, bo i droga bardzo kamienista i stroma była, i spieka taka straszliwa, żem z sił opadał. Mezembria jest dosyć nikczemne miasto, choć jak mi powiadano, niegdyś bardzo wspaniałe i bogate być miało, i ośmdziesiąt kościołów w nim było, ale pod Turkiem niszczało..

Niedaleko od miasta są duże dąbrowy, a same miasto całe bielutkie i na białej skalistej wyspie, która w morzu siedzi, a kiedym już do niego dochodził, tak było oblane gorącym słońkiem, że patrzeć nie można było na mury, bo oczy od tego białego blasku jakby ślepy. Jest to miasto dokoła morzem oblane i gdyby nie tama, miejscami ledwie na dobre strzelenie łuku szeroka, która je z lądem łączy, toby do niego tylko czółnem lub statkiem dostać się można. Nie myślałem, gdzie gospodą stanę, jeno spieszyłem do przystani, a tam przyszedłszy, usiadłem sobie na samym brzegu, rozglądając się dokoła, czy onych wojennych galer tureckich nie obaczę.

Była moc statków i łodzi koło brzegu, ale same małe, rybackie, co jeno wzdłuż brzegów morskich żeglują, a na wielkie morze się nie puszczają. Kupiłem sobie chleba, sera, winogrodu i innych owoców, które tam są nad podziw smaczne i tanie, a podjadłszy, zacząłem się oglądać, czy onego Jowana gdzie nie poznam, ale że to było samo południe, tedy ludzi prawie że nie było, bo kto mógł, przed tym upałem nieznośnym pod dach się chronił. Znalazłszy trochę cienia, ległem dla odpoczynku, głowę sparłszy na mój węzełek, w którym nie miałem nic prócz lwowskiego ubrania, ubogiej bielizny i owego pistoletu, który mi Woroba dał na drogę.

Po południu wyszedłem znowu na sam brzeg w przystani i patrzyłem na dalekie morze, wielkie, straszne, nieskończone, żem przy tej niezmierzonej wielkości sam w sobie gdzieś zaniknął i samego siebie nie czuł, robaczek mały, jakby mnie już nie było na świecie pod tym gorejącym od słońca niebem, co gdzieś na sinym końcu, jakby na samym brzegu wszelakiego Bożego stworzenia, zapadało w wodę, i jakobym się cały rozprysnął w szumie i w pianie wód i przepadł gdzieś w tym huk zielonych bałwanów, co wyglądały, jakoby ta wszystka woda kipiała i jakoby jakieś szklane góry tańcowały, aż w końcu tak mi było, jakby tylko sama dusza ze mnie została i żeglowała smutna po morzu.

Na morzu były tylko same małe statki i łodzie, jakby kto na wodę garść łupinek orzechowych rzucił, a każda z nich jakby się już, już topiła, to się zapadała całkiem we wodzie, to się na wierzch znowu podbijała, że zdało się, iż woda tak nią poigra chwilę, a zaraz połknie; w dalekości, wśród smug ciemniejszych, białaty żagle, takie małe, jak listki lipowe, a nieruchome, jakby na miejscu stały w spokoju i cichości, a morze pod nimi z martwego szkła było.

Ale powoli, powoli żagielki te rosły pod okiem, choć zawsze niby stały na miejscu, a i to, co się małą łodzią zdało, zaczęło się zwiększać, zwiększać, żeś nie wiedział, jak i kiedy, aż nareszcie poznałeś, że to płyną ku przystani okręty, duże jakby wysokie domy albo kościoły z wieżami.

Były dwa takie ogromne okręty, a domyśliłem się zaraz, że to sułtańskie galery. Kiedy się już tak zbliżyły, że można było lepiej je widzieć, wyglądały, jakby nie płynęły, tylko nad samą wodą w powietrzu na dużych skrzydłach się unosiły, a skrzydła te zdały się być zrobione z okrutnie długich piór i to się podnosiły nad morze, to spadały i maczały się w wodzie, a za każdym takim machnięciem tych potężnych skrzydlisk biała pianista skiba zostawała na morzu, jakbyś je pługiem orał.

Jak się już dobrze zbliżyły do przystani, widzę, że to są okrutne gmachy z trzema masztami i z żaglami na nich z białego płótna, dwa maszty niskie, a trzeci, środkowy, nad podziw ludzki wysoki, że ani wiedzieć, gdzie takie gonne drzewo rosnąć może, aby z niego taki maszt zrobić – jakoż powiadano mi później, że to tak z dwóch drzew jest zesztukowane. Na przodzie okrętu widać armaty, jak wylotami patrzą niby dużymi czarnymi oczyma, a na pokładzie ruszają się ludzie, a wyglądają jak chrabąszcze.

Zawinęły te dwie galery do przystani, ale zapuściły kotwice tak daleko od brzegu, że mi się im samym wprawdzie dobrze mógł przyglądać, ale twarzy ludzkich dojrzeć było trudno. Owo to, co mi się skrzydłami z daleka zdawało, to były wiosła wielce długie, poza boki okrętu sterczące, a było ich po 27 z każdej strony, a każde takie wiosło miało trzech wiosłarzy, którzy nim poruszali, każda trójka w jednym rzędzie, a wszystkie dziewięć, jedna za drugą, wzdłuż okrętu. Długości miały te galery pewnie jakich dwadzieścia sążni, ale wąskie były, bo zaledwie na cztery sążni mogły mieć całej szerokości.

Nie mogłem oderwać oczu od tych galer, a serce mi mocno bić jęło, jak gdyby mi powiadało, że na jednej z nich jest i mój ojciec. Ale daremnie wyteżałem oczy; twarzy rozpoznać nie było można; widziałem tylko, jak się tam zaczęło roić, i słyszałem tylko krzyki i nawoływania, bo spuszczano z tej galery małe czółna. Kusiło mnie do wody skoczyć i podpłynąć, bom się już nie posiadał z niecierpliwości i jakbym od gorączki cały płonął, ale tyle pomiarowania przecież mi zostało, aby pomyśleć, iżby to szalona rzecz była. Przypomniałem sobie nagle tego Pomaka Jowana, o którym mi Pańko mówił, bom w tym ściśnieniu serca zapomniał był wcale o nim, i począłem rozglądać się dokoła, czy między ludźmi, których się teraz sporo nad przystanią zgromadziło, nie obaczę człowieka, co by tak wyglądał jak mi Pańko powiadał.

Niedługo szukać go trzeba było; zaraz go poznałem. Pańko jakby mi go był odmalował, bo widzę człowieka niskiego, chudego, pół z turecka, pół z bułgarska odzianego, z twarzą całą taką zarośniętą i kudłatą, że spod siwiejącej brody i wąsów i ogromnych kosmatych brwi, które się z włosami na głowie cale spływały, nic nie było widać, jeno nos jak dziób krzywy, długi i ostry, i dwoje oczów małych, łyskających, tak że człek ten jak wierutny jastrząb wyglądał. Chwilki na miejscu nie postął, jeno ciągle się kręcił i to z tym, to z owym coś rozmawiał; z każdym sprawę miał, jako nasz Żydek na jarmarku. Idę ku niemu, a on mnie już dostrzegł jako cudzego w tej stronie, bo ciekawie łypnął na mnie oczyma i byłby pewno sam mnie zaczepił, gdybym był pierwszy doń nie przemówił.

– Skażcie mi, panie – rzekę do niego z ruska, bo Bułgarowie tak łacniej rozumią anizeli po polsku – czy te duże statki to galery są?

– Galery, cesarskie galery; a wy tu skąd?

– Z daleka – odpowiem – z bardzo daleka...

– A po co wam tu było, kiedy z daleka?

– Szukam tu kogoś... – mówię, ale nie wiem, jak dalej ciągnąć.

– Szukacie kogoś? A kogo szukanie? Jowan wszystkich tu zna i Jowana wszyscy znają. Czy to kupiec jest? czy żeglarz, korabnik? Grek może, Włoch może? Jeden z naszych czy z

Franków? Do urzędu chcecie może; do którego urzędnika? do kajmakana, do mudira, do muktara, do czorbaszego?

Tak mnie zasypał pytaniami, a tak szybko mówił, że słowa jeno leciały, jakby groch z góry sypał, i anim się połapać mógł, co do mnie gada, jako że i bułgarskich słów wiele nie znałem.

– Na galery bym te chciał – rzekę nareście i na morze wskazuję.

– Na galery? A po co wam na galery? *Allach kerim!* Na galery! Nie wolno nikomu na galery, bo to sułtańskie, cesarskie statki są, wojenne statki! Nie wolno!

– A ja bym przecie chciał, panie Jowan – mówię na to pokornie – i zapłaciłbym za to.

– A kogo tam chcecie widzieć; może jakiego hadama?

Nie rozumiałem tego słowa, a Jowan zaraz to poznał, bo mówi:

– Niewolnika może, takiego, co przy wiosle? – i zaczął rękami machać naśladując, jak się wiosłem robi, a to żebym go łatwiej mógł zrozumieć.

Powiadam mu tedy, że ojca szukam, który jest w niewoli i na jednej z tych galer ma być przy wiosle, które w Mezembrii przystań mają, kiedy z dalekiego morza wracają.

– *Allach kerim! Allach kerim!* – woła Jowan, wysłuchawszy mojej powieści, bo Turczyni Boga Allachem wołają i zawsze go mają na ustach, kiedy trzeba i nie trzeba. – Chociażes ty niewierny giaur, ja ciebie już kocham, jakby własnego syna ciebie kocham! Jako takiego młodzieńca nie kochać, co z drugiego końca świata bieży ojca ratować! Allach sam raduje się tobą. Widzisz ja *hadži* jestem – mówił dalej, wskazując na zielony turbin, którym miał głowę owiniętą – i żadnemu giurowi bym nie pomógł, a tobie pomogę!

I począł mi obie ręce ścisnąć, i po twarzy głaskać, i lży sobie z oczu ucierać, że już był gotów uwierzyć, że to poczciwa dusza, choć tureckiej wiary, i że Pańko niesprawiedliwie za zdrację go miał.

– Ja nic od ciebie nie chcę – mówił dalej Jowan – ja bym tobie jeszcze dał, gdybym miał! Ale trzeba starszemu nad tymi galerami dać *bakczysz*, a taki aga, to wielki pan, on czego bądź nie weźmie, na srebro on nawet nie popatrzy!

Wydobyłem z mieszka jeden cekin i chcę mu go dać, a on na to:

– To mało, trzeba mu dwa – i łakomym okiem na mieszek spojrział.

Musiałem dać mu i drugi, a on zaraz z wielką skwapliwością pobiegł ku miejscu, gdzie były małe łodzie, które oni *kaikami* zowią, coś z wiosłarzem pogadał po turecku i na mnie kiwa abym szedł. Podjechała łódź do brzegu, wsiedliśmy do niej i popłynęli ku galerom. Zaraz przy pierwszej Jowan zaczął wołać, a na to wołanie jego wyszedł jakiś setny Turek z srogim wejrzaniem, czarny jak Murzyn, z nożami i pistoletami za pasem i przy szerokiej krzywej szabli.

Gadali z sobą, czegom ja nie rozumiał, a tymczasem patrzyłem na galere i na tych nieszczęsnych niewolników, co przy wiosłach byli. Każdy z nich po biodra był goły i każdy łańcuchem do okrętu przykuty, a siedzieli, biedaczkowie, milczący i każdy z spuszczaną głową przed siebie patrzył, owo jak bydłę umęczone, kiedy mu odetchnąć po pracy pozwolą i bat nad nim nie świszczy. Jedni z nich mieli głowy całe ogolone, a to byli złoczyńcy, co ich za zbrodnie na galery do wiosła skazano na całe życie, inni tylko ostrzyżone, a to byli jeńcy chrześcijańscy. Ojca mojego między nimi nie było, alem ja widział jeden tylko bok galery, a po drugim boku było drugie tyle wiosłarzy, których z tej strony widać nie było.

Pozwolił nam nareście ten starszy Turek wejść na galere i podpłynęliśmy tak blisko, że się nasze czołno aż o ścianę okrętu oparło, a wtedy spuszczone nam drabinkę, aby się po niej dostać na sam pokład. Kiedy tak leżę po tej drabince i patrzę do góry przed siebie, obaczę na środku wysoki pomost, a na tym pomoście jakiś człowiek z dużą brodą, w nędznej, podartej odzieży, z siekierą ciesielską coś przyciosuje i naprawia. Kiedym już był na ostatnim szczeblu drabiny, człowiek ten, któremu dotąd tylko z boku mógł widzieć, obrócił się naraz całą twarzą do mnie. Jenom krzyknął i omal z drabiny do morza nie spadłem!

Mocny Boże, to był mój ojciec!

Skoczyłem z drabinki na pokład okrętu, a chociaż czułem, że Jowan, który za mną z tyłu szedł, pochwycił mnie za kabat i zatrzymać chciał, rzuciłem się jak strzała na pomost ku ojcu, a chwytając go za kolana począłem wołać z płaczem:

– Ojcze! Ojcze!

Ojciec mój jeno drgnął i siekiera mu z rąk wypadła, a potem stanął niemy i jakby skamieniały. Wpatrzył się we mnie dużymi oczyma, które od nagłego zdumienia były jakoby martwe i szklane, ustami ruszał, jakoby coś powiedzieć chciał, a nie mógł; powietrze jeno łykał i ciężko oddychał. Ja mu poczną ręce całować i wołam:

– To ja, Hanusz, to ja, ojcze! Czy ty mnie poznał?

Ojcu łzy się puściły z oczu, a te łzy snadź zbudziły go z tego osłupienia, bo mnie ujął oburącz za głowę i szepnął:

– Panno święta, cudowna! Panno święta, cudowna! Tyżeś to, Hanusik! Tyżeś to, tutaj... tutaj!...

I naraz z wielkim strachem w oczach dodał:

– Dziecko nieszczęsne, to i ciebie wzięto!

– Nie wzięto mnie, ojcze – wołam – ja tu sam przyszedłem! Ja wolny jestem; do ciebie przychodzę i po ciebie!

Ale ledwie tych słów domówić mogłem, kiedy mnie ów starszy Turek chwycił za barki i z wielką złością coś krzyknąwszy, na pokład mnie zrzucił. Jowan też zaraz za ramię mnie wziął i za sobą pociągnął.

– Chodź, ustępuj, zaraz ustępuj – mówił do mnie – na drugiej galerze jest sam basza, zaraz on i tu będzie; tedy niech Allah broni, żeby nas tu zeszedł!

I nim coś rzec mogłem, już mnie na drabinkę popchnął, a ów srogi aga turecki prawie że z mieczem w ręku nastawał, abyśmy uciekali z okrętu, pókiśmy żywi i cali. Wskoczyliśmy do naszej łodzi i szybko dopłynęli do brzegu. Tu ledwiem do siebie wrócił, rzekę raczej do siebie niż do Jowana, który został przy mnie:

– Boguż chwała, że mój ojciec nie jest z tych potępieńców, co wiosłami robią, jeno cieślikę odprawuje!

– To właśnie jest nieszczęście – odzywa się Jowan – wielkie nieszczęście! Bo gdyby przy wiosle był, tedyby go za małą sumę uwolnić można było, ale że cieślikskie rzemiosło umie, toby już moc złota za niego żądano, a może by okupu cale nie wzięto, bo takich cieśli okrętowych to sobie nasi bardzo cenią.

Przypomniało mi się, co ojciec przez księdza Benignusa przekazywał, że 500 twardych talarów okupu żądają, i mówię:

– Boże miłosierny, więc ma mój ojciec śmierci czekać, aż go ona wykupi z tej męki doczesnej!

– Allah jest wielki – odpowiada Jowan – ojca wykupić nie można, ale dobrych ludzi przekupić można. Niechaj twój ojciec uciecze.

– A jakoż uciecze, kiedy to jest pływająca forteca! Jowan, co mam, to oddam, ale na miłość Bożą, radźcie, co by czynić!

– A cóż ty masz i co dać możesz?

– Dam dwadzieścia dukatów temu adze, co straż trzyma nad więźniami, a pięć dukatów wam za tę łaskę, co mi wyświadczycie!

Jowan niby się namyślał czas jakiś, ale mi się zdało, że tylko udawał, jakoby się namyślał, a potem rzekł:

– To ciężko, bardzo ciężko będzie! Z kim innym nawet bym mówić o tym nie chciał, bo to rzecz niebezpieczna i gardłem grozi, ale dla takiego cnotliwego syna, jako ty jesteś, to ja rad zrobię, co w mojej mocy i rozumie będzie. Dawajże te pieniądze.

– Jowan – rzekę – pieniądze są jakby u was w kieszeni, alem ja u jednego mądrego kupca w nauce był, a ten kupiec gotowy pieniądź tylko za gotowy towar dawał.

– Młodyś, a mądry; niechaj ci Allah pomaga – odpowiada Jowan, bystro spojrzując na mnie spod brwi, które jak dwa krzaki wyrastały mu nad oczyma. – Nie masz tu gdzie mieszkać, tedy ja ciebie do mego ubożego domku zawiodę; siedź tam i czekaj, a nie pokazuj się ani w mieście, ani w przystani, jakoby ciebie już tu nie było, i nikomu nie powiadaj, że z Jowanem masz jakąś sprawę, że Jowana znasz, żeś go kiedy w swoim życiu na żywe oczy widział; nikomu, nikomu, bo zgubisz i mnie, i ojca twojego, i siebie. Ja tymczasem chodzić koło tej rzeczy będę.

Nie miałem wiary w tego poturmaka, nie tylko dlatego, że mnie Pańko kazał z nim być bardzo ostrożnym, ale że i sam już zacząłem odgadywać jego chciwość i skrytość, jednakoż ten człek w swojej mocy mnie już miał, a kiedy mi raz ojca pokazał i kiedym się przekonał, że na galerę przystęp ma, to już nie było dla mnie innego sposobu, jak tylko dalej się go trzymać a na baczności się mieć.

Poszedłem za nim do jego domu w ciasną uliczkę na końcu miasta, gdzie tylko sami Turcy mieszkali, a on mnie zawiódł do małej izdebki i tu mi czekać kazał, sam zaś zaraz do przystani pobiegł. Nie było go długo, dopiero pod sam wieczór wrócił i zaraz na progu woła:

– Allah jest wielki! On się nad twoim ojcem zlitował! Wszystkom sprawił, jako pragniesz. Dzisiaj aga zapomni włożyć ojcu twemu na noc kajdany, jako to zwykle się czyni, a straży nocnej będzie się bardzo chciało spać, a ten rybak, co nas dzisiaj na swojej łodzi przewoził, będzie przypadkiem ryby łowić pod samą galerą, a ojciec twój do tej łodzi skoczy, a łódź podpłynie z nim na pewne oznaczone miejsce, gdzie niedaleko jest wielka dąbrowa, a tam w tej dąbrowie będziesz ty i Jowan z tobą. Allah dobry, Allah wszystko tak zrobi, jako ci teraz mówię!

Chociaż ten Jowan bardzo mało wiary u mnie miał i ciągle się jego zdrady lękałem, przecież tak się uradowałem tą wieścią, że poskoczyłem ku niemu i ręce mu z wdzięcznością wielką ucałowałem, bo owo taka już natura ludzka, że temu łącno uwierzy, czego pragnie. A co mi przyjdzie jakie wątplenie do głowy i co zacznę myśleć nad tym, czy też mnie Jowan nie zdradzi haniebnym jakim sposobem, to zaraz staje mi przed oczyma ojciec nieszczęśliwy, wynędzniały, skatowany, śmierci jako wybawienia czekający, i tak mi sobą zasłania cały świat i przed duszą, i przed rozumem, że na ślepo bym szedł i w przepaść bym skakał, byle tam na jej dnie było troszeczkę nadziei, że ojca wybawię.

Ogadaliśmy z Jowanem całą rzecz, jako się ma odbyć. Powiadał mi, że wszystko już przygotowane, aga stargowany, rybak ujednany, miejsce na wybrzeżu oznaczone – i abym już spokojny był, i gotów do drogi czekał, a pieniądze miał odliczone, a on w nocy po mnie przyjdzie i kiedy już ojca przy sobie będę miał, tedy mam mu zapłacić, a on za to przez las mnie przewiedzie drogą bezpieczną i potem nas zostawi, a jako już dalej radzić sobie będziemy w ucieczce, to on Panu Bogu i naszej głowie porucza, bo więcej uczynić nie może. Ja też po nim więcej nie żądałem, ufając miłosierdziu Bożemu, że kiedy z ojcem będę już w czystym polu, skryć się jakoś na razie, a potem w góry ująć zdołamy.

Jowan znowu poszedł, a jam także wybiegł o zmierzchu na miasto, choć mi tego surowo był bronił, i kupiłem bukłak wina, suszonej ryby, chleba i nieco owoców, aby mieć pożywienie, bo kto wie kędy nas droga poprowadzi i kiedy dobrych ludzi spotkamy, co by nam pomóc chcieli. Kiedym wrócił i odliczył owych ugodzonych 25 dukatów, okazało się, że mi zostanie ledwie trzy i to bez czegoś i że o tym w tak daleką drogę puścić się będzie trzeba. Ale wiedziałem, że bez Boga i wór złota od przygód mnie nie uchroni, a z Bogiem to i o kiju zebraczym zdrowo i bezpiecznie do Polski wrócimy.

Noc już zapadała i ciemno się zrobiło, ale Jowan zostawił mi był zapalony kaganiec oliwny w izbie, dobytek tedy owo *Officium*, czyli *Godzinki do Anioła Stróża*, którym zawsze przy sobie miał od onego czasu, kiedym z Podborza w świat wywędrował, i z pobożnym ser-

cem czytałem modlitwy. Przyszedł mi potem w pamięć ów medalik z Najśw. Panną Domagaliczowską, która we Lwowie cudami słynie, darowany mi przez Marianeczkę Niewczasównę; zdjąłem go z szyi i całując go, z pokorą westchnąłem do Panny Świętej o Jej pomoc miłościwą w tak ciężkiej chwili, od której i życie mego ojca, i moje własne zależało. Kiedy się tak całą duszą oddaję świętej opiece, zda mi się, jakoby się drzwi od izdebki uchyliły i ktoś cichutko do niej wchodził.

Oglądałem się i widzę kobietę, ubraną tak, jak się bułgarskie białogłowy ubierają, ale z twarzą tak osłoniętą, że tylko czoło i oczy widać było, a po tym poznać mogłem, że nie była chrześcijanka jeno tureckiej wiary. Podeszła do mnie bliżej i całą twarz odsłoniła, a wtedy ujrzałem, że to była kobieta podeszłego wieku, starsza od mojej matki, a bardzo stroskana i smutna. Popatrzyła na mnie uważnie i palec do ust przyłożyła, nakazując mi milczenie; jam też nic nie mówił czekając, aż sama się odezwie, a ona weźmie mi z rąk ów medalik z wizerunkiem Matki Boskiej i uklęknąwszy pocznie go z wielkim skruszeniem całować a żałośnie wzdychać.

– Masz taki drugi? – pyta mnie szeptem.

– Nie mam.

– A tego nie dasz?

– Nie dam, bom ślubowałam, że się z nim póki żywota mego nie rozłączę.

Kobieta pocałowała raz jeszcze medalik, westchnęła ciężko, powstała i oddała mi go do rąk.

– Dobrze czynisz, dziecko – rzecze – niech cię Najśw. Bogarodzica ochrania!

– A wy chrześcijanka? – pytam.

– Jam w sercu moim chrześcijanka i katoliczka, bo ja z Beliny jestem, a tam nie greckiej religii ludzie, ale katolicy zawsze mieszkali. Ja ze sławnej bogumilskiej rodziny pochodzę, ale mój dziad już był katolik i ja się na katoliczkę wychowała. Gwałtem mnie Turczynką zrobili; mój ojciec zabity od Turków; wołał on umrzeć, niż wiary się wyrzec, ale ze mną, małą sierotą, uczynili jako chcieli... Ale o tym dużo by mówić, a jam nie po to przyszła.

I oglądnawszy się ostrożnie dokoła, tak mówi dalej:

– Jam jest żona Jowana, a raczej byłam jego żoną, a teraz jako ostatnia podła sługa w domu jego jestem, bo już pewno wiesz, choć z obcej ziemi jesteś, że Turczyni tyle żon brać sobie mogą, ile chcą, a Jowan dwie sobie jeszcze trzyma. Jowan jest moslim, to jest: wiarę Mahometa wyznaje, ale on żadnej wiary w sercu nie ma. Zły to człek, poturmak niegodny, nie wierzaj mu; po tom ja przyszła, aby ci to powiedzieć, bo mi żal ciebie, chłopczyño.

– Czy Jowan zdradę mi gotuje? – pytam.

– Tak jest, biedny synaczku, gotuje ci zdradę, tobie i ojcu twemu. Ja wiem wszystko; nie z tobą pierwszym on tak robi i nie ty będziesz ostatni, jeśli go Bóg w czas nie pokarze. On ma współnictwo z tym agą na galerze; on ci ojca pewno na miejsce przyprowadzi, a potem do lasu z wami pójdzie, niby bezpieczną drogę wam wskazać. A kiedy już w lesie będziecie, to wam powie: «Teraz idźcie dalej w tę a w tę stronę, bezpiecznie na pole wyjdziecie. Bogu was zostawiam». Sam się wróci, a ty ledwie z ojcem kilkaset kroków ubieżysz, aż tu z zasadzki wypadną Turczyni i pojmą was i znowu ojca na galerę wezmą, ale już i ciebie nie puszcza, jeno do śmierci w ciężkiej niewoli trzymać będą...

Ledwie tych słów domówiła, kiedy jakiś szelest ją przestraszył; z lękiem spojrzała ku oknu i cofnęła się do drzwi nasłuchując.

– Nie zdradź mnie; milcz o tym, com ci rzekła! Jowan zabiłby mnie, gdyby się dowiedział... – rzekła z cicha i znikła za drzwiami.

Co pocznę teraz? – spytałem sam siebie. – Klamka zapadła; cofnąć się już nie mogę. Ojca prowadzą i tak na oznaczone miejsce, skoro już Jowan i aga tak się umówili; jeśli ja się nie stawię i pieniędzy tym łotrom nie dam, co ojca czeka? i czy go z zemsty do wiosel nie wezmą jak onych ogolonych potępieńców, co piekło za życia przebywają?

Co nas czeka, kiedy pójdę, Bóg wiedzieć raczy, ale że pójść muszę, to mi pewna rzecz była. Nie mam już co rozmyślać, nic ja nie wymyślę.

Wydobyłem z węzła pistolet i ów sztylet, który wziąłem z sobą, uciekając od Foka; opatrzyłem pilnie pistolet, czy nabity, czy podsypyany, czy krzoska ostra i dobrze nakręcona. Pistolet był bardzo duży; dziękowałem sobie, że miał odzież bułgarską, bo w fałdzistych i szerokich szarawarach dobrze go ukryć mogłem.

Ledwie się tak uzbroił, kiedy Jowan wszedł do izby i kazał mi iść za sobą. Noc była jasna, ale niezapowiedzianie księżyc miał zejść z nieba. Wyszliśmy z miasta ku stałemu lądowi ową tamą, o której już mówiłem, a kiedyśmy ją minęli, Jowan skręcił na prawo ku brzegom morza i prowadził mnie tak samym brzegiem dobre pół godziny, aż nareszcie stanął i z cicha świsnął. Usłyszeliśmy, jak ktoś takim samym świstem odpowiedział, i w tym kierunku podbiegliśmy może na jedno *Zdrowaś Maria*. Usłyszeliśmy plusk wiosła i do brzegu przybiła mała łódź rybacka, a z niej wysiadł mój ojciec i jeszcze jakiś człowiek.

Chwyciłem ojca za ramię, jakbym się bał, że to mara nie ciało, i że się w ciemnościach rozplynie, a ów człowiek z turecka ubrany odkrył latarkę, którą miał z sobą przysłoniętą, i robi znak, abym płacił. Miałem już przygotowane cekiny i kładłem mu jeden po drugim na dłoń, a on każdy z nich przy świetle latarki bardzo pilnie oglądał, czy nie obrzezany. Kiedy Turkowi wyliczyłem wszystkie pieniądze, przyszła kolej na Jowana, który chciwie porwał swoich pięć dukatów. Turczyn coś jeszcze szepnął Jowanowi, który na to odpowiedział: *peki, peki* – to znaczy: dobrze, dobrze – potem wrócił do łodzi i odpływając zawołał:

– *Jo! hair olsun!*

– Co on mówi? – pytam Jowana.

– Dobrej drogi nam życzy – odpowie Jowan – ale teraz bierzmy! Za mną idźcie ciągle, za mną.

I ruszył w pole, a z pola do lasu, który był niedaleko morza. My biegli za nim, a ja co chwila chwytalem ojca za ramię i czułem, że biedny trzęsie się na całym ciele. Wyjąłem z zanadrza sztylet i podałem go ojcu, ale mówić mu się bałem, co mam na myśli, aby Jowan przypadkiem nie usłyszał i nie zrozumiał. Mój ojciec milcząc wziął sztylet i jeno dłoń mi przy tym uściśnął, jakby mi znak dać chciał, że rozumie i że gotów będzie na wszystko.

## XV

### KATAKALLO! KATAKALLO!

Wiedziałem jedno tylko i pewna to dla mnie rzecz była, że jeśli damy się wieść Jowanowi, kędy on zechce, wpadniemy w zdradziecką zasadzkę, bo już nie było żadnego wątpienia, że ten niecnota tak się z Turkami z galery umówił, jako mi pocziwa żona jego powiadała. Tedy cała sztuka w tym była, aby za jego przewodem nie iść, a właśnie w przeciwną stronę się obrócić, i kiedy on zechce na prawo, to brać się na lewo, kiedy zaś on na lewo każe, to my na prawo się weźmiemy.

Umyśliwszy tak, puściłem Jowana naprzód, aby przewodził, a sam wydobyłem pistolet i w pogotowiu go trzymałem. Dałem mu tak iść kilka *Zdrowaś Maria* w głąb lasu, a kiedy trafiliśmy na parów duży, który nam drogą przecinał, Jowan bierze się na lewo.

– Tędy teraz – rzecze, obracając się ku nam – na lewo pójdziemy.

– Jowan – rzekę ja teraz i dotykam się jego ramienia – na prawo nam droga.

– Na lewo, na lewo – odpowiada Jowan, a widać, że go moje słowa zdziwiły – czy ty mnie tu będziesz drogi uczył?

– A ja przecież na prawo chcę i na prawo pójdę.

– Na skręcenie karku pójdiesz! Czyś ty zwariował?

– Hanusz – rzecze ojciec do mnie – ten dobry człowiek lepiej drogę zna; idźmy, kędy on każe; jakże ty możesz lepiej od niego wiedzieć?

Ścisnąłem ojca za ramię na znak, aby nic nie mówił i nie przeszkadzał, a sam podchodząc do Jowana, który był przystanął, pistolet mu do piersi kieruję i rzekę:

– Jeżeli już karki kręcić mamy, to wolę na prawo, a nie wiem jeszcze, czy skręcą lub nie skręcą, ale to wiem, że jak tylko piśniesz, zdrajco, łeb tobie kulą roztrzaskam!

Jowan stał chwilę cały nieruchomy, jakby go kto w głąz przemienił, aż nareście mówi:

– To taka wdzięczność twoja! To na życie mi godzisz za to, żem ci ojca uratował, zdrowia, a nawet gardła mojego narażając! Idźcież wy sobie kędy chcecie, do samego czarta sobie idźcie, a ja z wami już żadnej nie mam sprawy!

I tak rzekłszy chciał odskoczyć od nas i w las biec, ale jam tego oczekiwał i zaraz z pistoletem ku niemu, wołając, że strzelę, jeśli się tylko ruszy, a mój ojciec w tej chwili ułapił go za kark i sztylet mu pokazał.

– Jowan, pójdziecie z nami – rzekę teraz – a przez drogę udawajcie niemego, bo jak zawołacie na kogo, to już to będzie wasz krzyk ostatni w życiu, pewno śmiertelny!

Jowan nic nie odpowiedział i jako mu kazałem biec przed nami na prawo, biegł zwawo, od czasu do czasu oglądając się tylko, czy ma pistolet mój przy karku. Ubiegliśmy tak dobrą chwilę, a tymczasem księżyc zaszedł i zrobiło się bardzo ciemno. Musieliśmy iść powoli, bo las był gęsty, ale zawsze wzdłuż tego parowu, który dąbrowę przerzynał. Jam prawie na nogi Jowanowi następował, kiedy on nagle jakby pod ziemię się zapadł, tak zniknął sprzede mnie od razu!

Usłyszałem tylko trzask i szelest, jak gdyby ktoś na dół spadał, a krzaków się po drodze chwycił. Nachylałem się ku ziemi i poznaję, żeśmy przy samym brzegu parowu, który w tym



miejscu był dość głęboki i urwisty, a krzaki go zakrywały, i rzecz widoczna była, że Jowan po ciemku w parów zleciał albo, zdrajca, umyślnie się zsunął, aby nam uciec.

Nasłuchiwałem chwilę, ale zataił się, bojąc się pewnie ruszyć, abym tam nie strzelił, skąd chrobotanie krzaków usłyszę. Nie było dalej co robić, jak tylko po omacku lasem się przedzierać, na chybił trafił, na ślepe szczęście, nic nie wiedząc, gdzie zajdziemy, ale to trudna rzecz była: po tej ciemnicy co stąpisz, to nogą, a i głową zawadzisz. Trzeba nam było przecież iść koniecznie, aby się jakby można najdalej od tego miejsca odsadzić, gdzie nam Jowan uszedł, gdyż w trwodze byliśmy niemałej, że owo zdrajca poganin tym parowem do zasadzonych w tym lesie Turczynów się dostanie, a potem miejsce wskaże, gdzie nas zostawił. Ale wrychle my się uspokoili, bo po nocy w lesie ledwie by nas znaleźć można, tedy zaszywszy się w krzaki, legliśmy, aby odpocząć, bo i mnie, i ojcu trzeba tego było. Pokrzepił się ojciec winem i jadłem, com je wziął z sobą i rzecze:

– Do świtu tu siedzieć musimy, ale skoro świt, trzeba nam radzić o sobie.

Jam już mój rozum do dna wyczerpał; com zrobił, tom zrobił, a co dalej robić mamy, nie wiedziałem i strach mnie wielki zebrał. Nic też ojcu nie odpowiedziałem na jego słowa, ojciec też milczał i tak siedzieliśmy w nocnej cichości.

Nagle usłyszemy huk wielki, krótki, ale mocny jakby grzmot, aż las cały koło nas odezwał się także, jak gdyby odpowiadał na wołanie. Ojciec mój porwał się na równe nogi i rzecze:

– To na galerze z dużej armaty strzelono! A wiesz ty czemu? Już tam odkryto, żem uszedł, i to znak jest dla wszystkich, że kto jeno żyje, ścigać mnie ma, a kto by mnie ukrył, na gardle mieczem karany będzie! A ja wolę śmierć, niż być pojmany!

– I ja wolę – rzekę na to i Bogu siebie i ojca polecam, gotów na wszystko.

Zaczęliśmy dalej iść lasem, jak się dało, a już i świtać zaczęło. Lżej nam teraz było, a kiedy niebo nad nami już dniem pojaśniało, a przez gęste liście dąbrowy padały deszczem światełka jakby koralowe od porannej zorzy, bo słońce bardzo czerwono wschodziło, przybyło nam trochę serca i rażno przebieraliśmy się dalej, ciągle w jedną stronę, ku wschodowi. Naraz dąbrowa porzedniała, światło spoza drzew zaczęło się przebijać jak przez zielone rzeszoto; byliśmy już na brzegu lasu i słyszym, jako coś ryczy i huczy, i grzmiący łoskot czyni.

– Ta morze gada – rzecze ojciec – nad morzem znowu jesteśmy.

Wyglądniemy ostrożnie z lasu; ojciec rozpatrzył się i mówi:

– Nie widać jeszcze ludzi; trzeba nam biec polami ku góróm. Niedaleczko my uszli tym lasem, przystań tuż za nami; kołem się zawróciliśmy, ledwie co nie na to samo miejsce, skądśmy wyszli.

Bardzo mnie to przeraziło, ale ojciec, który znał dobrze całą okolicę nadbrzeżną, bo na nią ciągle z tej galery patrzył, a tak każde sioło i każdą skałę znał, nie tracił ducha, ale jeszcze i mnie dodawał, a jak przedtem zdał się był całe na mnie, kiedy go w łódce przystawiono, tak teraz jam się zdać musiał na niego, bom sam jako ślepiec był w tych stronach.

Ruszył ojciec ku góróm, którymi ja do Mezembrii szedłem, ale niedługośmy szli, bo naraz widzimy, że w dali gromadki ludzi pieszych i jezdnych stoją, jakby w czaty rozstawione. Wróciliśmy się zaraz w przeciwną stronę, ku morzu, bieżąc co sił starczyło, aby się jak najdalej odsadzić, nim nas spostrzegą. Biegliśmy tak całym pędem z pół godziny i dobiegli do samego morza, pod jedno sioło, które się Ajanowa Skola zowie. Już nam dech uszedł i nogi pod nami łamać się zaczęły w kolanach, że ani biec, ani stać, ani mówić, jeno powietrze łykać, jak ryba na suchym brzegu. Wtem zasłyszemy krzyki za sobą z początku dalekie, potem coraz to bliższe, aż w końcu już słyszę wyraźnie, że ciągle: *Dur! dur!* – to jest: Stój! stój! – wołają.

Ojciec na to wołanie ostatku siły dobył i ku morzu skoczył, a ja za nim, ale w duszy miałem i siebie, i ojca za straconych. U brzegu, ale już w wodzie, były pale duże, a do tych pali przywiązanych było kilka małych łodzi rybackich. Ojciec rzucił się na jedną z nich i począł odwiązywać, nie oglądając się nawet, czy kto nie widzi; jam mu też chciałem być pomocny, ale

ojciec tak mnie odtrącił, że się omal nie wyrócił, bo zamiast pomóc, jenom mu zawadzał, a ojciec już w tych rzeczach na tureckiej galerze wielkiej sprawności był nabył. Rychło łódź była odwiązana; skoczyliśmy do niej, ojciec porwał za wiosło, które leżało na dnie i odbił od brzegu. Chwyciły łódź fale, a morze było tego dnia bardzo niespokojne, prawie że naprawdę czarne, jako jest nazwa jego, i tylko od czerwonego wschodu słońca jakby się miejscami krwawiło.

Kiedy zacznie ta łódka maluczka to skakać do góry jak piłka, to zapadać jakoby w przepaść, a dokoła morze huczeć i grzmieć, i ryczeć, a bałwany, z okrutnym rykiem i szumem przewalać się na nas, że w jednej chwili woda się z nas łała – tedy groza i trwoga śmiertelna mnie zdjęła i truchlejący, zamknąłem oczy, trzęsąc się jak listek osikowy, bom nigdy na morzu jeszcze nie bywałem, i kiedy na lądzie nie miałem bojaźliwej duszy, teraz ze strachu prawie że omdlewałem. Ale to jeno pierwsze chwile takie były i wrychle się orzeźwiłem, widząc jako ojciec śmiało i spokojnie wiosłem robi, w czym się dobrze był wyćwiczył, dwie lecie przebywając na morzu z Turkami.

Jakoż nie morze nam straszne było, ale ludzie, bo ledwie na pełniejszą wodę wypłynęliśmy, widzę, jak z brzegu Turcy na nas wołają, rękami ukazując i znaki jakies ku przystani robiąc, a od przystani i od owych dwóch galer gotują się łodzie, aby nas ścigać. Ojcu pot strumieniem leje się z czoła, kark mu okrutnie poczerwieniał od krwi nabiegłej, stęka tylko, a wiosłem tak robi, że jeno słuchać, czy mu żebra nie trzeszczą, a kiedy za siebie spojrzę, mówi:

– Zginęliśmy, Hanusz, puścili na nas szybkie łodzie na sześć wiosel, ani trzech pacierzy nie zmówisz, a złapią nasi

Już mu i ręce opadać zaczęły z umęczenia i z rozpacz, że się to na nic nie zdało, kiedy widzimy przed sobą, na jedno może strzelenie z łuku, statek cale duży, kupiecki, dwumasztowy, z rozpiętymi żaglami, który nam poprzek nadpływa.

Z trwogą wlepiłem weń oczy, myśląc, że tak umyślnie przecina nam drogę, aby nas zatrzymać, aż pogoń nas dosięże, i widzę, że na samym statku i na jednym żaglu wypisano jest ogromnymi literami:

## KATAKALLO

– Katakallo! – zawołałem, bo poznałem, że to ten sam napis greckimi literami, który na belach i pudłach, w składzie towarowym p. Jarosza Spytka we Lwowie widziałem, a który mnie mendyczek czytać nauczył.

Zrywam się tedy na równe nogi w łodzi i z całego gardła, jak tylko najgłośniejszym głosem, poczną krzyczeć:

– Katakallo! Katakallo!

Na pokładzie okrętu stało kilku ludzi, a jeden z nich musiał być starszy, bo był tak ubrany, jak tylko bogaci Grecy ubierać się zwykli, a ci, co z nim byli, z dala się trzymali jakby z uszanowania.

– Katakallo! Katakallo! – krzyczę ja jak opętaniec i ręce ku onym ludziom błagalnie wyciągam.

Tymczasem łódka nasza prościutko do okrętu pędziła i ojciec z całej siły wiosłem tak robić zaczął, aby się umknąć, bo się bał, aby nas ten duży statek nie przejechał, boby nas był niechybnie zatopił. Naraz widzę, że ten Grek jakiś rozkaz swoim ludziom daje i ręką na nas wskazuje, a jeden z nich gruby sznur, jakby w obręcz zwinięty, chwyta i ku nam z taką mocą i tak sprawnie ciska, że ta lina, bo to okrętowa lina była, rozwinąwszy się w powietrzu, końcem do łodzi naszej wleciała.

Ojciec uchwycił linę, kazał mi jąć się jej całą mocą i sam się jął, a potem wraz ze mną buch! do wody. Skąпалиśmy się wyżej czuba, aż nam się dobrze w uszy nalało, a morze na-

krywało nas co chwila swoimi bałwanami, ale ci ludzie z okrętu poczęli nas zaraz ciągnąć ku sobie i windować na pokład, aż nas tak wywindowali na sam okręt, a czas był wielki, bom już dodzierżyć nie mógł liny w rękę i byłbym się za jaką małą chwileczkę puścił i w morzu niechybnie utonął. Ledwie ociekł i tchu złapał, bom się wody gorzkiej dobrze natykał, a już jak opętaniec znowu krzyczę:

– Katakallo! Katakallo!

Mój ojciec, choć ani wiedzieć, ani domyślać się nawet nie mógł, co by to słowo znaczyło, ale jakoby w cudowną moc jego uwierzywszy, wrzeszczy za mną także: «Katakallo! Katakallo!», bardzo głośno i bezustawnie, że jak to sobie dzisiaj wspomnę, to mnie śmiech zbiera z tego wołania, ale wonczas całe mi do śmiechu nie było.

Tymczasem okręt, na który nas z wody wywleczono, płynął szybko dalej, a ów starszy na pokładzie mówi coś do nas, czego my nie rozumiemy, tak że ja nic odpowiedzieć nie mogę, jeno znowu mówię: «Katakallo!», a ojciec za mną tak samo: «Katakallo!» Tedy ludzie na okręcie śmiać się z nas poczną, a jeden z nich za każdym razem, co tylko ja powiem: «Katakallo!» pokazuje palcem na onego Greka, którego ja za starszego na statku uważałem. Wziąłem to za znak, że do niego mówić mam, i proszę go na pół po polsku, na pół po rusku, a słowa bułgarskie też przymieszając, aby miłosierdzie nad nami miał. Zrozumiał mnie ów Grek i mówi do mnie także z bułgarska po polsku:

– Jam jest Katakallo, którego wołacie. Wyście pewno z Polski?

Powiadam, że z Polski i ze Lwowa. On odpowiada, że bywał we Lwowie i że tam handle z kupcami ma, a ja na to wołam:

– Z panem Jaroszem Spytkiem! – i zaraz dodają, że jestem sługą pana Jaroszowy, że z p. Harbaraszem karawaną tu przybył, ojca szukać i z niewoli wykupić, i że ten tu człowiek, to właśnie mój ojciec jest.

Znał ten Grek, a był to bardzo znaczny kupiec z wyspy Chios, także i pana Harbarasza i począł mnie teraz wypytywać o swoich znajomych Greków, co byli z jego ojczyzny, a we Lwowie handlem się trudnili, o pana Korniakta, o pana Langisza, o pana Gargę, o pana Mazepetę, o pana Teofila Jani, a jam odpowiadał, bom ich wszystkich, w handlu pana Spytka będąc, albo z nazwiska tylko, albo i z widzenia znał i dobrze wiedział, który z nich czym handlował. Słuchał mnie tedy pan Katakallo już jakoby z większą ufnością i bardzo ciekawie, a kiedy mu rozpowiedziałem, jak mój ojciec z galery uszedł i jak zdrady Jowana uniknąc Bóg sam pozwolił, on tak rzecze:

– Nie możecie tu zostać na moim okręcie, bo ja tam płynę, kędy wam nie potrzeba, ale podpłyniemy pod Świętego Nikołą (tak się jedna mała przystań rybacka na wybrzeżu nazywa), tam was na taki mały statek dam, co samymi brzegami właśnie w stronę Dobruczy popłynię, i niech was Bóg dalej prowadzi.

Jakoż tak z nami uczyniono. Pod Św. Nikołą przewieziono nas czółnem na ów mały statek rybacki, a pan Katakallo temu, co był na nim jako starszy, coś po grecku powiedział, snadź nas dobrze jemu zalecając, a przedtem jeszcze, nim okręt jego opuściliśmy, ojcu mojemu dwa dukaty dał.

Tak nas ten kupiec cnotliwy od pewnej zguby ocalił i jeszcze na dalszą podróż zaratował, za co niechaj mu Bóg w życiu i po śmierci hojnie płaci; jam zaś samego siebie za moją ciekawość w duszy chwalił i każdemu to przekazuję i radzę, aby się zawsze uczyć i wywiadywać starał, i o wszystko ciekawie ludzi pytał, bo owo nie ma takiej dalekiej a drobnej rzeczy, której by wiedzieć nie przydało się kiedyś człowiekowi; jakoż i ja, kiedybym był nie pytał mendyczka, co znaczy on napis grecki na miechach i belach towarowych, nie byłbym mógł wołać skutecznie na okręt pana Katakalli i byłby okręt ten popłynął mimo nas, na śmierć lub pewną zemstę turecką nas zostawując.

Płynęliśmy tym rybackim statkiem bardzo powoli i tygodnie nam na nim mijały, bo brzegu się prawie ciągle trzymał, a rzadko kiedy i tylko przy spokojnym morzu dalej się puszczał,

i bywało, pół dnia płynie, a pół dnia na brzegu przy jakimś siole stoi, nocą zaś to prawie zawsze darmujemy, że mi się aż ckliwo robiło i myślałem, że temu nigdy nie będzie końca i lepiej by nam było pieszo brzegiem iść.

Ale ojcu memu to się całe nie przykrzyło, bo się z niego na galerach tureckich doskonały cieśla okrętowy i prawdziwy morzak zrobił, że chleba darmo nie jadł, w sterowaniu pomagał, na maszt łąził, co było popsowanego w onym bardzo już starym i kruchym statku, ponaprawiał i połatał, owo zgoła taki z niego pożytek był, że się nim wszyscy dość naradować nie mogli.

A miał ten statek do Bałczyku nas zawieźć, a dalej już płynąć nie miał. Przed Bałczykiem zatrzymał się pod Warną i tu w przystani cztery dni strawiliśmy, ale ojciec do miasta wyprawić się bał i cały ten czas na statku przesiedział; ja tylko sam dla ciekawości wielkiej, zem o tej nieszczęsnej Warnie tyle się nasłuchał, raz jeden do miasta łodzią się wybrałem, aby je przecież oglądać.

Kiedy ruszyliśmy nareście z Warny, wypłynęliśmy na dalekie morze, bo było spokojne, a droga nam była dużo krótsza na przelaj do Bałczyka, aniżeli kiedyby się brzegów trzymać. Tak daleko na morze wypłynął okręt, że brzegi nam całe zniknęły z oczu i nic nie było widać dokoła, jeno niezmierną wodę i niebo nad nią niezmierne, a to przez całą tę naszą podróż bardzo rzadko nam się trafiało. Cały też czas stałem na pokładzie, dziwiąc się tej wielkości morza i truchlejąc z pokorą przed wielkością Bożą, w której te wszystkie cuda świeckie początek i koniec mają, kiedy naraz przepędza nas statek jakiś dziwny, a bardzo chyży, oczereciem, po bokach jakby skrzydłami opleciony, z jednym tylko żaglem z szarego płótna, a w nim duża gromada ludzi, z których większa połowa wiosłuje, a wszyscy śpiewają chórem, a pieśń razem z nimi po morzu płynie, aż miło słuchać.

Poznaję zaraz, że to jedna z tych pieśni kozackich, które Semen śpiewał, a ci ludzie, co w czajce siedzą, bom odgadł, że to czajka być musi, tak samo ubrani, jako i Semen się nosił. Mijała nas ta czajka szybko, a tak bliziutko, tuż, tuż, pod nasz okręt się mignęła, żeśmy już myśleli, iż zawadzi, i wtedy widzę, że ktoś stoi w pośrodku na podwyższeniu, taki podobny do Pańka, lubo inaczej ubrany, zem aż krzyknął z całej siły:

– Pańko!

A ten człek w tej samej chwili, jakby mnie spostrzegł i także poznał, zerwał czapkę z głowy, do góry nią wyrzucił i zawołał: «U-ra! U-ra!» A wszyscy, co byli w czajce, a było ich ze trzydziestu, jakby na dany znak rzucą także czapki swoje do góry i hukną razem, aż za-grzmiało po morzu: «U-ra! U-ra!»

I jeno tyłem ich widział i słyszał; czajka pomknęła chyżo po morzu, jak jaskółka w powietrzu, i nikła mi w oczach, aż niebawem czerniało się tylko coś drobnego, jakby kaczka na stawie.

Dobiliśmy w końcu pod Bałczyk i tu na ląd nas wysadzono, a właściciel statku nic od nas za przewóz wziąć nie chciał, powiadając, że kiedyby do czynienia liczby przyjść miało, tedy nie ojciec jemu, ale raczej on ojcu dopłacić by musiał. W Bałczyku ojciec już tak, jako i ja, z bułgarska był przyodziany, bo sobie już na onym statku od jednego flisa ubogiego ubranie kupił, a tak całe nie bawiąc i nie odpoczywając w mieście, bośmy się na statku aż do cikliwości nastali i nasiedzieli, rażno powędrowaliśmy krainą, która się zwie Dobrucza, a w której i Wołosza, i Bułgarowie, i Turcy mieszkają, tak nam zaś droga wypadła, żeśmy właśnie stornami szli, kędy tylko sami Turcy byli, czym ja się niemało trwożył, bom się złej przygody i napaści bał. A to może właśnie dobrze tak było, bo Turcy wszędzie, jako iż tylko swój własny język dobrze znają, nas, mówiących po rusku i po polsku, za Bułgarzynów albo za Serbów, tedy więc za rajasów, czyli poddanych cesarza tureckiego mieli, zaś mój ojciec tyle się na galerze po turecku nauczył, że chleba kupić i nocleg znaleźć, i o drogę wypytać się umiał, a i sprzedać by się, jak to mówią, nie dał.

Bardzo my biedowali w tej drodze i nie zawsze wiedzieli, kędy najkrócej iść, tedy nie-mało mil sobie przyczyniliśmy, a i pieniądze nam już wychodziły, że na chlebie i wodzie poprzestać było trzeba a do końca ciągle daleko, daleko. Tak przyszliśmy do miasta Bazar-czyku, ledwie trochę nędznych miedzianych groszy mając, że i na suchy chleb dalej by bra-kło. W utrapieniu tedy byliśmy wielkim, chociaż sobie nawzajem dodawaliśmy serca, ufając, że kiedy Bóg wywiódł nas z gorszej przygody, to i z głodu nam po drodze zginać nie da.

Z żalem niemałym przyszło mi się rozstać z pistoletem, który mi Woroba był dał, a i to zamiast pieniędzy mało się biedy nie napytał, bo w tureckich krajach rajasom, czyli podda-nym chrześcijańskim, pod gardłem broni mieć nie wolno, a nas, i, jako rzekłem za rajasów uważano. Na szczęście Turek uczciwy się znalazł, co bacząc na naszą biedę, z miłosierdzia pistolet kupił, ale choć to była broń przednia i bardzo dobrego majstra lwowskiego, przecie ledwie kilka złotych za nią wziąłem. Już nawet nie chcieliśmy nocować w tym Bazarczyku, ale ruszyliśmy w dalszą drogę, obiecując sobie odpocząć i pożywić się w najbliższej wsi Ko-złudzy, bo tam, mniemaliśmy, i taniej, i bezpieczniej nam będzie.

Wychodząc tak z miasta, mijamy duży i bardzo przystojny karawanseraj, tj. turecki zajazd wraz z gospodą, gdzie snadź tylko bardzo znaczni i bogaci kupcy stawali. Kiedy tak koło tego karawanseraju przechodzimy, słyszę ja naraz głos fletni, a taki mi znany, żem stanął w niepewności, czy też mi się tylko nie przysłyszało. Podbiegam bliżej do okna, z którego mnie to granie doleciało, ale właśnie w tej chwili umilkło. Czekam przecież jeszcze chwilę, choć mnie ojciec za poły ciągnie, abym już szedł, bo zmierzch zapada, a do Kozłudzy dobry kawał drogi, i oto znowu usłyszę to samo granie, a już teraz pewność mam, że mnie uszy nie zwo-dzą, bo poznaję nutę do pieśni:

*Słońce już padło, ciemna noc zachodzi,  
Nie wiem, co za głos uszu mych dochodzi,  
Postoję mało, a dowiem się pewnie,  
Dlaczego płacze ta pani tak rzewnie.*

Nigdy mi się ani przedtem, ani potem żadna muzyka taka słodka i cudna nie zdała, jako ta teraz, bo nam ona ratunek zwiastowała.

– Pan Bonarek! – zawołałem z wielką radością i poskoczyłem do gospody, zostawiając zdziwionego ojca na drodze.

Jakoż tak było, jakem się domyślał. W izbie gospodniej siedział na kobiercu pan Bonarek, po turecku, z podłożonymi pod siebie nogami, i grał na owej długiej fletni, aż mu twarz po-czerwieniała jak koral, a policzki jak pęcherz się rozděły.

## XVI

### OKO PROROKA!

Zdumiał się pan Bonarek, kiedy mnie obaczył, aż mu fletnia z rąk wypadła, ale ucieszył się mną bardzo i z wielką ludzkością mnie powitał, a po pana Zachnowicza zaraz pobiegł. Zaczęli mnie wypytywać, skąd się tu wziąłem i co zacz ten człowiek, co ze mną idzie, a kiedy im powiedziałem wszystko, dziwili się tak szczęśliwemu zdarzeniu, chwalili mnie i ojcu memu wszelką pocziwość świadczyli, żalując się niedoli, którą przebył, i winszując szczęśliwej odmiany. Kiedy im rzekłem, że skoro ich obu widzę, to mi się zdaje, że już w domu, a nie na obczyźnie między poganami, mówi pan Zachnowicz:

– Dobrze powiadasz, bo, wierę, jakbyś doma był. Powracać będziecie obadwaj, ty i ojciec twój, ze mną razem do Polski.

Ja mu na to z wdzięcznością rękę całuję, mówiąc, że mi słowa nie starczy, aby mu za tę łaskę, jakoby trzeba, podziękować, ale odsługiwać mu ją będę jako najwierniejszy a ostatni pacholek jego, a on rzecze:

– Jam może tak samo rad z tego spotkania, jako i wy, bo mi ludzi brak do koni i oto właśnie mieliśmy ujednać jutro jakiegoś Turczyna z sobą aż do Polski, a tak ojca weźmiemy i ciebie, bo tak mnie lepiej i wam dobrze będzie.

Miał pan Zachnowicz sześć koni dobrzeckich, które w tym kraju był kupił, dwa dryganty i cztery klacze, wszystkie warunkowe i bardzo cudne, że przedniejszych i droższych chyba już nie znaleźć, i z tymi to końmi odbywając drogę, mieliśmy roboty, a i kłopotu niemało, bo konie jakoby panięta trzymane były, a nad ich zdrowiem pan Zachnowicz aż się trząsał, bo w każdym z nich cały majątek był, i każdemu człowiekowi bym życzył, aby mu tak dobrze było, jako tym niemym bydłom czasu tej całej drogi.

Szczęśliwie, chociaż nie bez przygód i różnych utrapień wyszliśmy nareście z krajów tureckich, przeprawili się przez kawał Wołoszy i dostali się na granicę polską do Dniestru, a już późna jesień była. Kiedyśmy się przez Dniestr przeprawiali, zaleciał mnie głos dzwonów kościelnych – i nigdy nie zapomnę, jako się we mnie uradowała dusza, kiedy ją posłyszałem; jakby to powitanie dla nas, biedaczków, było na progu miłej ojczyzny, a od długiego czasu tu po raz pierwszy usłyszałem dzwony, bo w tureckich krajach chrześcijanom ani wież na kościołach budować, ani dzwonić nie wolno – tedy to dalekie dzwonicie, co z Dniestrem płynęło ku nam, zdało mi się taką słodką muzyką, jak kiedyby Aniołowie niebiescy śpiewali.

Ale te dzwony nie samą chwałę Bożą głosiły; niosły one do niebios żal ludzki i płacz, i narzekanie, bo całe Podole jeszcze się jakby krwawiło po srogich rozbojach tatarskich; jeszcze tam węgle nie wygasły, kędy popalili pohańcy sioła, dwory i miasta; wszędy zgliszcza i zniszczenie, wszędy stratowane kopytami tatarskich koni pola, że i trawa rósć nie chciała.

Miły Boże, jakież to straszliwe są dopuszczenia Twoje na tę polską ziemię, a już najsrozsze chyba na tę podolską krainę, taką żyzną i miodem i mlekiem płynącą, jako to mówią, kiedyby nie ci Tatarowie okrutni! My pod górami węgierskimi mało zaznaliśmy Tatarów, a we Lwowie, że to jest mocna forteca, nie bali się ich panowie mieszczanie, ale tu, na podolskiej ziemi, dopieroś widział, bracie, co to Tatarzyn znaczy!

Jechaliśmy popod wielkie nasypiska z ziemi, które tu robią gęsto, aby z nich daleko widzieć, czy Tatarowi nie idą; popod szańce, kopane na prędkości, w których się biedny naród, jako mógł, prawie że gołymi pięściami bronił; popod beczki półzgorzałe, w których smołę palono, aby dawać znać ludziom, że Tatarzy idą – a co wszędy zniszczenia dobytku i pracy ludzkiej, tego ja już dla samej żalości rozpowiadać tu nie mogę. A ku Żwańcowi jadąc, jakby w samą paszczę tatarską wpadliśmy, choć już Tatarów dawno nie było, bo wszędy spotykaliśmy obozowiska, a w nich żołnierzy i zbrojnych chłopów, a po polach koczowali jeszcze tu i owdzie gromadkami ludzie, co ich Tatarom po drodze odbito: mężczyźni, kobiety, dzieci, co prowadzeni już byli na tatarskich łykach w jasyr, jak bydło, a teraz uratowani do domu wracali, a przecież nie byli weseli, bo udręczeni, głodni, chorzy. A byli to biedaczkowie, których pan Stefan Chmielecki odbił Tatarom, zaszedłszy im drogę, kiedy już na Budziak wracali z łupami i z zabranym w niewolę chrześcijańskim ludem – ten sam pan Chmielecki, rycerz sławny na całą Koronę Polską, o którym ludzie śpiewają i pewno wieki całe po naszej śmierci śpiewać będą:

*Cny Chmielecki, mężu stawny,  
Jakiego czas nie miał dawny,  
Nie jeden wiek, nie dwa minie,  
A twa sława nie zaginie!*

Umarł ten pan Stefan Chmielecki jakoś w sześć czy siedm lat potem, a był już wtedy wojewodą kijowskim, ale na parę lat przed śmiercią swoją, kiedy Tatarowie pod wodzą swojego sultana Nuradyna znowu polskie ziemie najechali, uderzył na nich pod Białą Cerkwią i tak ich straszliwie poraził, że powiadają, iż ich 11 000 trupem padło!

Gdyby to więcej takich wojowników było w Polsce, jako on albo pan hetman Koniecpolski, nie tylko noga tatarska nie powstałaby w naszej Polsce, ale ano i własne ich kraje byśmy zawojowali, własne ich gniazda zbójeckie roznieśli i tak byśmy Tatarów sprzedawali tanio na bydłęcych targowicach, jako oni, psy obmierzłe i plugawe, naszych chrześcijan, pozał się Boże, rokrocznie w Turcezech sprzedają!

Pod Kamieńcem spotykaliśmy ciągle rozmaitego żołnierza, który szedł już na zimowe leże: pancernych, dragonię, piechotę, ale najwięcej Kozaków zaporoskich, którzy z panem Koniecpolskim i z panem Chmieleckim wojowali byli, a teraz do swoich siedzib za Dniepr wracać się gotowali – i napatrzyłem się dosyć mołojców, z których każdy tak przypominał Semeną, że i on sam nieraz mi się przywidział, choć go między nimi nie było. W Kamieńcu mieliśmy kilka dni zabawić, a w drugim dniu naszego tam pobytu pan Zachnowicz wieczorem, zanim się spać położył, dał mi list i rzecze:

– Jutro rano, skoro się tylko dzień zrobi, masz pismo to zanieść do Książpola, do dworu, i oddać go panu Janowi Awakowi, który, jako słyszę, z Bałty tam powrócił, a pilną sprawę ze mną ma.

Ten pan Awak był tak samo Ormianin, jako pan Zachnowicz, ale już nie handlem, ale wojaczką się trudnił i królowi rycersko służył, a wieś Książpol od Kamieńca o dwie mile leży. Wybrałem się tedy nazajutrz w drogę bardzo wczesnie, przed świtem jeszcze, bo dzień już był krótki, a szedłem pieszo. Pana Awaka nie było jednak w domu i wrócić miał dopiero nazajutrz, a że mi pan Zachnowicz odpowiedzi czekać nie kazał, oddałem list wyrostkowi, a nie bawiąc, puściłem się z powrotem do Kamieńca.

Droga prowadziła popod dużą gospodę i już z daleka widziałem, że w niej musi być pełno Kozaków i żołnierzy, bo kilkanaście koni stało na dziedzińcu, a z izby gospodniej zalatywały mnie wesole krzyki, jako to zwykle bywa, kiedy sobie gdzie ochotę wyprawiają.

Prawdę mówiąc i mnie tam trochę wabiło, aby przynajmniej przypatrzeć się wesolej kompanii; jakoż chwilę się zatrzymałem na drodze, wahając się, czy nie wstąpić, ale że w miesz-

ku kuso u mnie było i że pomyślałem sobie, jako to nie bardzo jest rzecz bezpieczna do cudzej ochoty nieznanemu się mieszać, poszedłem dalej swoją drogą. Ledwie kawałek uszedłem, słyszę, że ktoś spiesznie za mną idzie, a kiedy się właśnie chcę oglądnać, czuję, jak jakaś twarda ręka uderza mnie po lewym ramieniu.

Obracam się i widzę przed sobą okrutnego chłopca w kozackim ubiorze, przy szabli, z przebraną twarzą, bo długa, sina, snadź niedawno zagojona blizna szła mu od oka przez nos aż ku brodzie, z rudym wąsem, z bardzo dzikim i surowym spojrzeniem. Chłop ten srogi patrzy mi w oczy i mówi groźnym głosem:

*Oko Proroka*  
*Synopa Archioka*

– *Musztułuk!* – zaraz zawołałam, a słowo to wyleciało mi z ust jakby swoją własną wolą bez mojego pomyslenia; tak mi je Semen w pamięć wbił, że i przez sen bym był tak odpowiedział.

– Bedryszko ci się kłania! – rzecze na to Kozak, ale nie czekając ani chwili, co mu na to powiem, skoczy ku mnie, porwie mnie całą mocą za gardło, obali mnie na ziemię, a przygniółszy mi kolanem piersi, tak mnie zdławi, że krzyknąć, i nawet odetchnąć nie mogę.

W tejsze chwili widzę, jak przypada dwóch innych Kozaków, i nim jakie słówko wyrzec mogłem, już mi ręce powrozem skrupowano i w pole powleczono. Tu czekały już konie, które przyprowadził spod gospody wyrostek jakiś; Kozacy powsiadali, a jeden z nich, ów straszny, przerębany, co do mnie w Semenowe słowa był przemówił i na ziemię mnie zaraz potem powalił, przytroczył mnie teraz do swego konia.

Dotychczas nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, tak to wszystko nagle, jakoby w jednym okamgnieniu się stało, a w oczach mi jeszcze to iskry, to czarne kropki skakały, tak mnie ów niecnota zdławił, ale teraz ochłonałem po tym zaskoczeniu i widzę, że jeden z Kozaków to nie kto inny, jeno ów nasz Kozak z Podborza, Semen Bedryszko!

– Semen! – zawołałem – Semen!

Semen tylko popatrzył na mnie jakby z wielkim gniewem i żalnością zarazem, ale nic nie odpowiedział, jeno zaraz głowę w przeciwną stronę odwrócił.

Kozacy ruszyli przez pola dobrym kłusem, a jam musiał biec co tchu i kroku koniom dotrzymywać, i już byłem bliski omdlenia, kiedy Semen coś przekładać zaczął temu, co mnie miał na troku, i w chwilę potem zwolniono, i stępo jechać zaczęto. Zadyszany bardzo, nie mogłem zrazu nawet przemówić, aż wysapawszy się trochę, rzekę:

– Semen! Za co mnie, jak Tatary, tak w łykach wleczenie?

– Ty wiesz, za co – odpowiada krótko Semen.

– Ani ja wiem, ani ty wiesz, boś mnie jeszcze nie pytał.

– Nie bój się – rzecze Semen – wiem ja dobrze. Byłem w Podborzu i tam mi powiadano...

– Co ci powiadano?

– Żeś wykopał i uciekł.

– To ci źle powiadano.

– Alboż nie wykopał? – pyta Semen.

– Wykopał – odrzekę, ale już śmiało i z gniewem, bom się nigdy po Semenie tego nie spodziewałem, aby mnie nie wysłuchawszy, tak zdradziecko i jakby ostatniego złoczyńcę pojmać i związać kazał.

Jechaliśmy dalej, a jam milczał ciągle, aż Semen znowu zaczął:

– Czemuż ty dalej nie mówisz?

– A czemuż ty mnie sam nie pytał? Czemuż ty nastawiłeś na mnie tego człowieka, aby mnie jako napadł, nie czekając, aż przemówię? Przecież tyś mnie pierwszy widzieć i poznać musiał, skoroś mnie drugim wskazał, co mnie nie znali!



– Bo tak trzeba było – rzecze Semen, ale w pole, a nie na mnie patrzy, jak gdyby się wstydział, że tak uczynił. – Tak trzeba było, aby mi dali wiarę, bo ja sam przed tymi ludźmi także jako winowajca jestem. A tak przekonali się, że prawdę mówił. Nas jest czterech do tego, com ja zakopał, a tyś zabrał: mój ojciec nieszczęsny, o którym nie wiem, czy żyje jeszcze w tureckich rękach, ja i ci dwaj starsi mołojcy, Midopak i Ryngasz. Czemuś wykopał?

– Bobby inni byli wykopali! Jeżeliś był w Podborzu, jako powiadasz, toś przecie widział, co na polanie w lesie robią.

– Widziałem, ale tyś przedtem jeszcze wykopał... tak mi mówili... A zresztą, widzisz, to nie moja tylko rzecz; czterech nas do tego należy...

Kiedy tak z Semenem rozmawiałem, ów, co mnie miał u swego konia, a był to Midopak, bardzo pilnie słuchał, a z niedowierzaniem to na mnie, to na Semenę spoglądał, czy się też nie zmawiamy z sobą.

– A gdzieś to podział, coś wykopał? – pyta Semen.

– Tam, gdzie mi się bezpieczne zdało – odpowiem.

– U siebie masz?

– Nie u siebie; we Lwowie mam.

– Gdzie?

– W pewnych rękach to jest – rzekę.

– Daj tobie Bóg – mówi na to Semen – aby to w pewnych rękach było, bo inaczej żyw od nas nie wyjdiesz i lepiej by było, żeby ciebie matka na świat nie rodziła!

– Daj i tobie Bóg – odpowiem – aby ci każdy tak wiary dotrzymał, jako ja, Semenie! Kto tobie kazał mnie, pacholęciu jeszcze, twoje tajemne sprawy zawierzać, kto tobie kazał kamień ciężki do nóg mi wiązać, miecz mi nad głową zawieszać, bo to miecz dla mnie był, miecz na moje gardło! Jam matkę opuścić, jam w świat uciekać, jakby złodziej się taić, dobrym ludziom kłamać, w trwodze bezustannej żyć musiał, aby tobie wiary dochować, jakożem i dochował. A jeżeli tej twojej przeklętej rzeczy nie będzie już we Lwowie, to ją pewnie diabeł wziął, bo to jego było, a i ciebie weźmie, bo tego wart będziesz, jeśli pomsty na niewinnym szukać zechcesz!

Nic na to Semen nie odpowiedział, ale widać było, że mu na taką mowę moją bardzo marnotknie się zrobiło. Jechaliśmy tak w milczeniu dość długo ku Paniowcom, a zamek tameczny ciągle nam widniał nad Smotryczem. Niedaleko Paniowiec widzę obóz, ale nieduży, jakich dwadzieścia namiotów i tyleż wozów, a koło wozów kilkadziesiąt osiodłanych koni kozackich.

Zbliżając się do obozu, słyszymy krzyki jakoby radosne i strzelanie z samopałów i pistoletów jakoby na wiwat. Semen i obaj Kozacy popatrzyli na siebie z zadziwieniem, snadź im to zagadką było, a że to nie bójka była, ale jakieś wielkie radowanie się kozackie, to już z okrzyków miarkować było można. Widzimy dwóch Kozaków, co wyskoczyli na koniach z obozu i pędzą naprzeciw nas, i czapkami w powietrzu wywijają, i krzyczą, że dobrą nowinę niosą.

– Opanas jest! Bedryszko stary jest! – wołają z całego gardła.

– Ojciec jest! – krzyknął Semen tak radośnie, że się aż we mnie serce także odezwało na jego uciechę, i kopnął się z kopyta do obozu, co tylko koń jego mógł wyskoczyć.

Midopak puścił swojego konia także klusem, tak że znowu dobrze musiałem wydzierać nogi, ale już bardzo blisko było i nie bardzom się zmęczył, a nawet rad byłem, że prędzej zobaczę, co się tam w obozie kozackim dzieje. Midopak wjechał w obóz, a ciągle mnie dobrze na troku trzymał, bojąc się, abym w tym zamieszaniu nie urwał się i nie umknął. Ale ja, gdybym był nawet mógł uciekać, pewnie byłbym nie uciekł, bo to, com obaczył, tak mi dało serca, że się już całe czułem bezpieczny.

Owo gromada Kozaków z wielkimi wiwatami podniosła na rękach w górę Opanasa, a Opanas stał na ich ramionach, chwiał się w powietrzu, przechylał się to na lewo, to na prawo,

aby wagi nie stracić, ale śmiał się wesoło do mołojców i czapką im potrząsał. Tylkom spojrział na Opanasa, Semenowego ojca, tak zaraz i ja z radością krzyknąłem:

– Pańko!

Bo to nie kto inny był, jeno ów Pańko, więzień turecki, któremu w Ruszczuku tak szczęśliwie do ucieczki pomogłem i z którym całą drogą przez bałkańskie góry w karawanie odbywałem.

Tymczasem Semen, nie mogąc się precyzyjnie do ojca, zawołał na Kozaków, aby go puścili i stary Bedryszko nagle jakby utonął między mołojcami, a potem, wydostawszy się z tego zgiełku, z synem się witać zaczął. Wszyscy razem mówili do niego, wszyscy razem pytali, tak że żadnego zrozumieć nie mogłem, on też nikomu nie odpowiadał, tylko ręce im ścisnął po kolei, żadnego nie pomijając. Kiedy się zbliżył także do Midopaka, który mnie jak charta trzymał na smyczy, zawołałem znowu:

– Pańko!

Opanas dopiero teraz mnie spostrzegł i małą chwilę zdumiony stał, jakby oczom własnym nie wierzył, aż nagle krzyknął:

– Hanusz! *Jej Bohu!* Hanusz! Tyś tu? na troku? związany? Midopak! A to co?

I nim jeszcze Midopak miał czas odpowiedzieć, poskoczył ku mnie, rozwiązał mi ręce, porwał mnie w swoje ramiona, podniósł do góry, ukazał mnie Kozakom i zawołał:

– *Mołojcy!* Temu chłopcu po Bogu ja mam dziękować, że do was zdrowo powrócił się. On mnie z turskich kajdan wydobył, on mnie od śmierci na palu uratował; gdyby nie on, już by sępy i kruki dawno były obgryzły kości Bedryszkowe!

Porwali mnie na to Kozacy z wielkim hukiem, podnieśli mnie w górę, jak przedtem Opanasa, i strzelając na wiwat, dokoła obozu mnie obnosili. Kiedy mnie nareście na ziemię spuszczone, Semen podbiegł do mnie, w ramiona mnie swoje wziął i jak rodzzonego brata ścisnął i całował, i dziękować, i przepraszać począł:

– Nie myśl ty o mnie źle, daruj, zapomnij, co się stało! Ja tobie zawsze brat i przyjaciel byłem i będę. Widzisz, ja pewny byłem, żeś ty mnie zdradził. Powiadano mi w Podborzu, żeś wykopał, com ci zawierzył, widziano ciebie, jakoś wykopał i uciekł. Mnie o to wielkie nieszczęście czekało, bo Midopak i Ryngasz mnie samego za zdrajcę i złodzieja mieli; nie wierzył mi nikt, jako to było między nami. Kiedym cię nagle z okna gospody na drodze zobaczył, chciałem z tobą najpierw sam mówić, ale gdyby mnie ten Midopak widział był z tobą, a to zły jest człowiek, zajadły jak głodny wilk na stepie, byłby mnie o zdradę posądził. Dlatego ja jego z tym słowem i znakiem za tobą wysłałem. O ojca mego mi chodziło, nie o siebie, bo Midopak i Ryngasz pieniędzy dać mi mieli na wykup, a bez tego i grosza bym był od nich nie wy dostał. Ale teraz wszystko dobrze i bądź ty mi brat i druh, jako dawniej, i Bóg tobie zapłaci za wszystko!

Wziął mnie potem Opanas do osobnego namiotu, do którego przywołał Midopaka, Ryngasza i Semenę, i tu dopiero jam wszystko opowiedział, jako było, i że ten mieszek z żelaznym olsterkiem powierzyć musiał w ręce Woroby, bom je w ten sposób bezpiecznie uchwycić chciałem, wybierając się w turecką drogę, a innej rady dla mnie nie było, bom się przecież sam ucieczką ratować musiał ze Lwowa.

Chwalili mnie wszyscy, że uczyniłem, jako trzeba było, i wiernie przysięgi dotrzymałem, i to przyznali, że więcej o dochowanie wiary dbałem niż o własny chleb i o własne zdrowie, jeden tylko Midopak chmurnie patrzył przed siebie, jakoby nie wierzył, a potem odgrzącać się i kłać niepoczciwie zaczął, aż Opanas i Ryngasz wsiedli na niego ostro i gromić go słowami, a nawet szablami trzaskać zaczęli. Semen porwał się z siedzenia, uderzył po szabli, poczerwieniawszy całą, a z oczu jakby mu żywe iskry się sypały.

– Midopak, biesi synu, sobacza duszo, *hadiugo* – zawołał z okrutnym gniewem – a ty co warczysz i szczekasz i kąsać chcesz, podła duszo! A kto tobie powiedział o wszystkim, czy nie ja? A kto Mordachowi odebrał? Czy nie ja? A czyje to było szczęście? Moje czy twoje?

A gdybym ja był Mordacha nie spotkał, gdzieby twoja część była? A gdybym ja był zataił, zem Żydowi odebrał, i gdybym sobie to był zatrzymał, skądbyś ty wiedział o tym, ty durna głowo, ty! Zem ja był wierny, to ty za Judaszów nas masz; zem ja był głupi, to ty chcesz być mądry i lepszy od nas! Stul ty gębę twoją przerażaną, bo cię ją raz jeszcze przerażę, na poprzek przerażę, w krzyż, abys był znakowany jako szelma!

I już Semen do szabli się brał w zapalczywości swojej i kto wie na czym by się była ta kłótnia skończyła, ale wdał się w to Opanas i rozjął ich mówiąc:

– Będzie, jako Bóg da, a mnie Bóg dał już teraz więcej, niż to warte, o co tego chłopca turbujecie, bom srogiej męczarni i śmierci uszedł. Czy się ta nasza zdobycz znajdzie, czy nie znajdzie, ty, Midopak, bądź spokojny, my tobie część twoją zapłacimy. Jeszcze stary Bedryszko coś wart i jego słowo także coś warte. Dostanę ja listów od pana hetmana Koniecpolskiego i od innych panów, co mnie dobrze znają, i sam królewicz Władysław za mną pisać będzie, pojedziemy śmiało za tym chłopcem do Lwowa; znajdzie się, sława Bogu, podzielimy się rzetelnie; nie znajdzie się, także sława Bogu; na woli to Jego stoi.

Uradzono tedy, że Opanas z Semenem i Midopakiem, bo Ryngasz całe na Opanasa się zdał, do Lwowa ze mną pojedą, a jam podczas całej tej narady o Worobie tylko myślał, czy też mi wiary i przysięgi dotrzymał, i co będzie, jeżeli zdradził? Czy mi wtedy uwierzą, zem prawdę mówił, i czy się nareście skończy to całe utrapienie moje, i czy ja przed tymi cnotliwymi ludźmi we Lwowie, którzy mnie pewnie dziś za złoczyńcę mają, stanę raz przeciw śmielemu, z prawdą całkowitą i bez żadnej skrytości w sercu – jako człowiek niewinny i sprzyjania ich godny?

Ale kiedy mi stanął w oczach Woroba, taki, jakim go dobrze znałem i jakim ukazał się dla mnie w złej przygodzie, chłop chmurny i mrukliwy, ale poczciwy i wierny, przestałem się niepokoić i pewien tego byłem, że się na nim nie zawiodę.

Chcieli mnie po tej naradzie koniecznie zatrzymać przez noc w obozie, abym na ich hulance był, alem się bardzo prosił, bo wiedziałem, że tam w Kamieńcu pewnie pan Zachnowicz już się gniewa, a ojciec bardzo trapi, że tak długo nie wracam. Dano mi konia, a Semen wsiał na drugiego i odprowadził mnie aż do Kamieńca. Po drodze opowiadaliśmy sobie wzajem nasze przygody wszystkie od czasu, kiedy on z Podborza uchodzić musiał. Kiedy mu opowiedziałem, jako hajduk z tureckim Żydem Kara-Mordachem szukał mnie we Lwowie i jako mnie pojmać i na męki do ratusza brać chciano, i kiedy wspomniałem o tym, co mi złotniczek Lorenc opowiadał, że Kara-Mordach ma listy od możnych panów i od samego księcia siedmiogrodzkiego, i że może dalej ścigać nas będzie, Semen zawołał:

– Kara-Mordach? Już on nikogo nie ukąsi, pies zdradziecki! Zginął, jako zasłużył, jeno mi bardzo żal, że nie z mojej i nie z kozackiej ręki! Dostał się w ręce wołoskiego hospodara Tomży, z którym miał sprawki swoje i którego także na swój sposób oszukał i zdradził; kazano mu głowę uciąć. Głowa jego na wysokim palu dwa tygodnie sterczała na polu pod Jassami, a ciało psy głodne pożarły.

## XVII

### JAK SIĘ SPISAŁ MATYSEK

Zatrzymać się miał pan Zachnowicz kilka dni jeszcze w Kamieńcu, a droga do Lwowa miała być długa, bośmy bardzo powoli jechali i częste odbywali popasy i noclegi dla onych koni, które pan Zachnowicz przywieść chciał do domu gładkie i zdrowe, aby ognia i formy nie utraciły, tedy że kamienieccy Ormianie swoją pocztę mieli, napisałem dwa listy, jeden do pana Niewczasa, drugi do matki, prosząc, aby jej to pismo moje panna Marianeczka przez pana Zybulta wysłała. Radowałem się bardzo pisząc te listy, bom w duszy widział, jak matka się ucieszy, kiedy się dowie, że oja z pogańskich rąk tak szczęśliwie wydobył i sam z nim razem do niej powracam.

Za to mój ojciec, czym do dom było bliżej, tym był smutniejszy, bom mu ukryć tego nie mógł, że podstarości i Kajdasz wójtostwo mu odebrali i matkę z jej dziedzictwa tak niegodziwie wygnali, a tak nas wszystkich w dziady obrócili. Gryzł się i lamentował coraz bardziej, że aż żałość brała patrzeć na to zmartwienie; to znowu wpadał w gniew okrutny, srodze się przegrążając podstarościemu i hajdukowi, jako im obom siekierą głowy na trzaski porąbie, choć mu za to wisieć przyjdzie, i na Króla Jegomości też popłakiwał, że ano łaskaw nań był, a nie uczynił według obiecania swego.

Pocieszałem go, ile mogłem, za przykład mu stawiając, jako Bóg nie opuścił go w niewoli i mnie, ubogiego wyrostka, za narzędzie sobie wziął, aby mu łaskę swoją pokazać, a jam, bez grosza, bez nauki, bez doświadczenia, przecie do niego na dalekie morze trafił i do ojczyzny go przywiódł.

– Bodajbym był marnie zginął między poganami – narzekał mój ojciec – anizelim na to miał trafić, co na mnie tu między swoimi, w kraju chrześcijańskim, teraz przypadło, bo tam nie gorsi ludzie są, anizeli tu, i wolę ja niewiernego Turczyzna anizeli takiego podstarościego albo hajduka, bo Turcy chrześcijan za bydło mają, to prawda jest, ale sobie samym sprawiedliwość czynią, i krzywdy takiej Turczyn Turczynowi nie robi, jako mnie zrobiono. Ale żebym ja głowę miał dać pod miecz katowski, to przecie bez pomsty tego nie puszcze; wolę ja to, anizeli o żebranym chlebie po wsiach chodzić albo pod faram samborską rękę do ludzi wyciągać!

Przez całą drogę ojciec mój tak trapił się i narzekał, że w końcu i ja, com się po takich ciężkich przygodach tylko radować był powinien, markotny się zrobił i świat mi już nie był taki wesoły, jako mi się jeszcze wczoraj zdawał.

W Złoczowie przypadł nam popas, całą dobę tu zostać mieliśmy. Jakom zawsze był ciekaw, zaraz po robocie około koni wybiegłem do miasta, gapiąc się na wszystko, co było do widzenia, choć tego krom samego zamku pana Sobieskiego niewiele było. Kiedy minąłem zamek i już do gospody wracam, słyszę, że mnie ktoś po imieniu woła, a kiedy się obróczę, obaczę młodego pacholika, ubranego w czerwony kontusz z złocistymi guzami, pasem jedwabnym przepasanego, z magierką futrzaną na głowie, chromego na jedną nogę. Biegł za mną, utykając, a kiedy już się całkiem zbliżył, woła:

– Hanusik, to ty mnie nie poznajesz?

– Matysek! – krzyknę i dopiero teraz widzę, że to kulawy Matysek z Podborza, plebański sługa, co go rybałem we wsi zwano.

Powitałem go z wielką radością, jakobym rodzzonego brata spotkał po długim niewidzeniu, i mówię:

– Jakoz cię poznać, kiedyś taki strojny, że w tym czerwonym kontuszu wyglądasz jak starosta!

– Hankam ci ja, Matiaszu, Hanka, a tyś myślał, żeś wojewodziańska! – odpowiada on zaraz gadką, jako zawsze zwykł był czynić. – Kontusz jest i guzy się na nim świecą, ale pod kontuszem niecała koszula. Bo to barwa jest, co ją mam na sobie; kat to wie kto ją wczoraj miał na grzbiecie i kto ją jutro mieć będzie.

– A czyżże ty teraz sługa? – pytam.

– Ja jestem w kapeli pana podczaszego koronnego Sieniawskiego w Brzeżanach; na skrzypcach gram w muzyce nadwornej, a to jest barwa nas, grajków. Żeni się we Lwowie jeden dworzaniin pana wojewody, to nasza kapela jedzie na jego wesele. Ale ty, Hanusik, skąd ty się tu wzięłeś? Z deszczem wczorajszym tu spadłeś?

– Jeżeli deszcz turecki tu padał, to z deszczem spadłem, bo z Turek wracam, i to nie sam. Ojciec jest ze mną! Matysek rozwarł i oczy, i gębę szeroko od wielkiego zdziwienia, a potem skoczył wysoko na zdrowej nodze, a krzywą jakby w tańcu wywinał, magierką jak na wiwat w górę podrzucił i zawołał radośnie:

– Ojciec jest, ojciec twój wrócił! Niechże Pan Bóg będzie pochwalony! Matko Święta! Marek wrócił z niewoli! A gdzież on, prowadźże mnie do niego, bo nie uwierzę, aż go obaczę.

Zaraz poszliśmy do gospody i do stajni i zastajemy ojca, jak siedzi w ciemnym kącie z głową podpartą na dłoniach i rozmyśla, i smuci się, że go trzeba było aż potraścić, aby się ocknął z tego frasunku i podniósł na nas oczy. Matysek począł nań wołać z radością, jakby własnego ojca witał, i ręce jego całował, a ojciec także zrazu ucieszył się bardzo, ale wrychle znowu wzdychać zaczął i lży znowu obcierać, bo mu Matysek jakoby bardziej nawiódł to na myśl, że go w żebraka obrócono i że nie ma po co wracać do Podborza, gdzie jego dziadowie i ojcowie w ucziwości i dostatku żyli i pomarli.

– Marku, a co wam to? – woła Matysek. – Chorzyście to? Jam się spodziewał zastać wesołego jako ptaszka w pierwszym słońcu na wiosnę, a wy jakby z pogrzebu!

– Bom też jest pogrzebion, żywcem pogrzebion, Matysku – rzeczce mój ojciec – alboż nie wiesz, żeś bez dachu i chleba pozostał; w nędzę ostatnią idę.

Matyskowi zaświeciły się jakoś dziwnie oczy, zamiast się uzalić także, zaśmiał się cale wesoło, pomacał się po swoim czerwonym kontuszu, jakby się chciał upewnić, czy czegoś ważnego bardzo nie zgubił i mówi:

– A ja tę nędzę zaraz wypędzę!

I wydobył spod kontusza coś bardzo bezpiecznie owiniętego w szmaty i zacznie to rozwijać bardzo ostrożnie i powoli, i jedną szmatę po drugiej odrzuca, a było tych szmat może aż pięć, że się zdało, iż temu już chyba końca nie będzie, a przez cały czas spoziera to na mnie, to na ojca tak wesoło, że mu aż oczy skaczą, aż nareście wy dostał jakiś papier złożony w kilkoro, rozłożył go, jak był szeroki i długi, i woła:

– A to co jest?

– A to co jest? – powtarzam ja także wraz z ojcem.

– Dekret królewski jest! – woła Matysek. – Konfirmacja na soltystwo przyszła.

– Dekret jest! Konfirmacja przyszła! – wołamy. – Kiedy przyszła? kto ci ją dał? skąd to masz? Dawajże tu, pokaż!

– Cicho, Żydy, niechaj sam rabin szczeka – mówi Matys, a umyka przed nami z papierem i jeno palcem pokazuje na pieczęć, która na nim była. – Jak będziecie tak razem pytać i krzy-

czeć, to się niczego nie dowiecie. Przyszedł dla was dekret, Marku, i kwita! Pomału bestia laźła, ale przecie wylazła, ale nie sama, tylko ja jej trochę dopomóc musiał.

Dał nam nareście ten papier; ojciec mój chwycił go oburącz, a ręce mu się trzęsły przy tym okrutnie; na opak pismo wziął, bo czytać dobrze umiał tylko z drukowanego, do nosa je przytknął, do oczu, do gęby, jakby chciał pokosztować i powąchać, co tam jest, aż w końcu mnie je podał.

Było to pismo podłużne, pięknie pisane, z wielką pieczęcią na opłatku, a z samego wierzchu stało dużymi literami:

ZYGMUNT III, Z BOŻEJ ŁASKI KRÓL POLSKI, WIELKI XIAŻĘ  
LITEWSKI, RUSKI, PRUSKI, MAZOWIECKI, ŻMUDZKI, INFLANCKI  
etc. I SZWEDZKI, GOTSKI, WANDALSKI DZIEDZICZNY KRÓL.

Pisane było całe po polsku, ale było w nim wiele słów łacińskich, których ja nie rozumiałem, to jednak jasno i wyraźnie tam stało, że

«uczciwego Marka Bystrego na sołtystwie w Podborzu w starostwie naszym samborskim utrzymujemy i zatwierdzamy, dekreta pobożnej pamięci przodków naszych confirmujemy i aby jako *possessor privilegiatus* tegoż sołtystwa w spokojnym posiadaniu był zostawiony, rozkazujemy i mieć chcemy».

Przeczytałem raz; kazał ojciec czytać drugi raz, przeczytałem znowu; kazał trzeci raz, a zawsze składał przy tym ręce jak do modlitwy i słuchał jak świętej Ewangelii, że prawie temu końca nie było. Jużem cały dekret prawie na pamięć umiał, aż ojcu nareście dosyć było samego dekretu, tylko kazał sobie powtarzać jeszcze słowa łacińskie: *possessor privilegiatus*, ażby je zapamiętał.

– *Possessor privilegiatus! Possessor privilegiatus!* – powtarzał ciągle i pytał: – Co to znaczy?

– Trzeba się zapytać pana Zachnowicza – mówię – ale jako się domyślam, to pewnie coś takiego, jak *auriga legius*, którym was Król Jegomość mianował swego czasu w Janowie.

– Tak to pewnie będzie! – rzecze ojciec, a oczy mu błyskają od wielkiej uciechy – *Auriga Regius! Possessor privilegiatus!*

I powtarzając ciągle te łacińskie słowa, pobiegł z pismem do pana Zachnowicza, aby się jeszcze lepiej upewnić, czy to naprawdę jest dekret na sołtystwo. Powrócił rozradowany machając dekretem jak mieczem i ciągle tylko wołając:

– *Possessor privilegiatus!*

– Nie widziała sowa słońca, zagorzała od miesiąca – rzecze Matyszek trochę markotny. – Już wy teraz, Marku, nic nie widzicie i nic nie słyszycie z hardości wielkiej, a jako to Matyszek sprawił, że dekret jest, tego to nikt ani ciekaw, ani wdzięczny! Polazła wdzięczność do nieba i drabinę z sobą zabrała.

– Głupiś ty, Matys, niedobrze ciebie rybałem nazwano – rzekł ojciec już niedobry. – Albożeś ty dekret podpisał, że najpierw tobie wdzięczny być mam, a potem królowi! Tom ja w radości mojej jeszcze Panu Bogu nie podziękował! Ale chodźże, Matysku, nie bądź mi markotny; Bóg widzi, jakom ci w sercu moim wdzięczny, żeś mi w sam czas taką pociechę sprawił, bom już od tego frasunku i jeść, i spać przestał.

– A ja spał, tylko nie jadł jeszcze – mówi Matyszek, kiedy go mój ojciec ściska i w głowę jak syna całuje.

– Chodźże jeść i miód pić – rzecze ojciec – a przy miodzie rozpowiadaj, jak to wszystko było.

Zaprowadził nas ojciec do gospodniej izby i kazał chleba i mięsa dać, i miodu postawić, a kiedyśmy zjedli, Matyszek pociągnął dobrze miodu, pogłaskał się po piersiach i po brzuchu, klasnął językiem, oblizał się szeroko i mówić tak począł:

– Onego czasu... Owo nie; źle zacząłem... Roku sucho-mokrego, na końcu miesiąca, gdy ząb zęba nie doszedł z wielkiego gorąca, wtenczas następowały gwałtowne powodzie, a żaden nie utonął, co się wisieć godzi...

– A i ty nie utoniesz, bo się tobie wisieć godzi – przerwał mu ojciec – i pewnie jeszcze wisieć będziesz, kiedy się tego rybałckiego swawolnictwa nie oduczysz! Opowiadaj po ludzku!

– Niechajże będzie i po ludzku – mówi Matysek – choć lepiej by przystało po wilczemu, bo zacząć muszę od wilka, bestii niedobrej, bo od samego podstarościego. Owoż, kiedy Markowa wywędrowała z Podborza, a Hanusz w świat także poszedł, został ja sam, sierota, bez chleba, bez butów i bez dobrego słówka, bo nikt go nie miał dla mnie, a z plebanii na pół mnie wygnano, a na pół sam uciekłem, bo nastąpiła nowa gospodyni, taki herod-baba, że i głodny diabeł uciekać by przed nią musiał. Nie miałem tylko ciało, duszę i skrzypki, wziąłem to wszystko troje w kupę i tak się też jakiś czas trzymało to w kupie, bom chadzał po weselach, po jarmarkach, po odpustach i ruskich prężnikach, grywałem ludkom i z tego żyłem. Jak nie było komu grać, wracałem do Podborza, do starej Szymonowej, która mi u siebie mieszkać pozwoiliła, a ja babinie za to od czasu do czasu jaki grosz dałem. Kiedym raz tak wrócił, przysłał po mnie podstarości, zabrał mi skrzypki i mówi:

«Ty powsinogo, szelmo jedna, wagusie; na pańskie nie chodzisz, pogłównego nie płacisz, po jarmarkach się jeno włóczysz; darniujesz sobie, ladaczniku; owo będziesz mi służył!»

Kazał mi sobie izby zamiatać, koło krów chodzić, drwa rąbać, na parobka mnie swego obrócił, a skrzypki na klucz zamknął, bo, niecnota, rozbójnik, dobrze wiedział, że bez skrzypek mu nie ucieknę. Jak mi tak skrzypki moje wziął, to mi wszystko wziął: chleb mi wziął, rozum mi wziął, duszę mi wziął, już mnie całego miał, bo ano ciało przy chlebie, a dusza przy ciebie zostać musiała, zaś cały rozum w skrzypkach siedział. Ale jako to mówią: źle samo siebie kasa – prawil dalej Matysek – nie ma złego, co by na dobre się nie przydało. Musiał ja być w tej niewoli, ale teraz pewno i podstarości, i hajduk żałują tego, zem musiał, a i wam, Marku, i mnie także na dobre się to obróciło. Jednego razu przyjechał podstarości z zamku z Sambora i zaraz mi po Kajdasza iść kazał. Kiedym go przywiódł, poszli razem do izby, zawarli się i słyszę, jako do siebie naraz krzyczeć nawzajem poczną. Aha, myślę sobie, znalazł diabeł zgrzebło! pożarli się z sobą wilki! Pocznę podsłuchiwać pode drzwiami i oto czego się dowiedziałem: Przyszła dla was konfirmacja królewska na sołtystwo i wydano ją w zamku podstaroścemu, aby ją wam lub waszej żonie oddał. Podstarości tedy mówi Kajdaszowi:

«Albo ty mi, bratku, dobrze zapłacisz, tedy ja tę konfirmację tak schowam, żeby jej oko ludzkie nie widziało, albo nie zapłacisz, tedy ja ciebie z sołtystwa tak samo wyrzucę, jakosmy Marków wyrzucili».

Kajdasz w płacz, w prośby, groźby; na nic to wszystko; przyszła chwilka i na wilka; tedy targować się zaczęła jako dwa Żydy.

«Dasz mi 200 złotych!»

«Dam pięćdziesiąt!»

«Dasz dwieście!»

«Kat ciebie bierz; dam sto!»

Nie mogli się zgodzić; od złych matek sobie nałajali, mało się nie pobili. Potem Kajdasz rzecze:

«Jak będzie, tak będzie, a jakoś to przecie będzie; pogodzimy się pewno. Przyjdźcie dziś do mnie na wieczerzę; mam miód stary i wina mi trochę z Węgier przyszło; łącniej do końca rzecz poprowadzim».

«Albo ja chrzan, żebym ja z miodem dobry był; dobry ja i bez miodu – mówi podstarości. – Jak dacie, co żądam, to i bez miodu się obejdzie».

Ale w końcu stanęło na tym, że przyjdzie i że mnie i skrzypki weźmie z sobą, aby im wesoło było.

Tu Matysek pociągnął dobrze miodu, mówiąc: «Grzej się, Ewka, póki płoną drzewka», a potem tak dalej rzecz swoją prowadził, a ja i ojciec słuchaliśmy go z wielką ciekawością.

– Wieczorem jedli, pili, tańcowali, śpiewali, dobre myśli sobie czynili, a jam grać musiał i ślinkę połykać, a jenom Boga prosił, żeby się który z nich zadławił albo go paraliż ruszył, i tylko się pocieszał, że dłużej skrzypicy niżli tanecznicy. Podstarości pił za czterech, a hajduk Kajdasz, jako uważałem, bardzo sobie wstrzemięźliwie poczynał; snadź chciał, niecnota, trzeźwy na pijanego iść. Pijąc, ciągle się targowali, ale podstarości, choć już ledwie na nogach się trzymał i ledwie bełkotać mógł, ani rusz co opuścić; im więcej, szelma, pił, tym był twardszy. A miał przy sobie papiery w zanadrzu, a między nimi i wasza konfirmacja była, ale jej nawet pokazać Kajdaszowi nie chciał.

«Ja za worek, wy za dworek i – mówił – jak mi dwieście złotych wyliczycie na stół, zdrapię albo spalę przy was dekret królewski».

W ostatku podstarości już i siedzieć nie mógł; jeno patrzeć, kiedy się z zydlą obali; na czekanie się tylko rękami opiera. Powiada mu Kajdasz:

«Idźcie do alkierza, wysapajcie się; potem znowu mówić będziemy!»

Zawiódł go do alkierza do łóżka, siada na nim podstarości, ale się kłaść nie chce, a Kajdasz do niego podłazi, niby go ścisnąć i całować chce, a tymczasem pod żupan do papierów, złodziej, sięga, ale podstarości, choć pijany, na bacności się ma; co się Kajdasz do niego skradnie, to on za czekana i w łeb mu godzi. Odstąpił Kajdasz i wrócił do izby; snadź czekać chciał, aż podstarości zaśnie, ale przecież go się bał, bo woła mnie do kąta i mówi:

«Matysku, chcesz ty zarobić na przyjaciela i na pięć złotych?»

«Dobre jedno i drugie; czemużby nie?»

«Matysku, podstarości zły człowiek, szelma jest wierutny; on ciebie za psa nie ma; robić ci każe jak wołu, a jeść nie daje; skrzypki ci zabrał; jakby ciebie w więzieniu miał!»

Aha, tu tego Żyda grzebli, tędy tobie droga, niecnoto – myślę ja sobie, ale nic nie mówię tylko głową żałośnie kiwam.

«Matysku – rzecz dalej hajduk – ty umiesz czytać; idź ty do alkierza, wyjmij temu pijakowi papiery spod żupana, a między nimi jest jeden, co w nim o Marku Byстрыm stoi i pieczęć dużą ten papier ma. Uwaga dobrze, o Marku Byстрыm tam będzie; weźże ten papier i tu go przynieś. Nie będziesz ty za to szkodzien! Pięć złotych weźmiesz!»

«Albo czekaniem w łeb – mówię ja na to – a to pewniejsza rzecz niż waszych pięć złotych obiecanych. Obiecanka, gałka na wieży. Dajcie zaraz pięć złotych, a papier będzie».

«A jak nie będzie?»

«Co nie ma być; pewnie będzie; a jakbym tego nie dokazał, w rękach mnie przecie macie».

Dał mi pięć złotych na rękę ten Węgrzyn, a z wielką ciężkością mu to przyszło, chociaż, niecnota, pewno obiecywał sobie w duszy, że mi potem zaraz odbierze. Idę tedy do alkierza, ale z skrzypkami pod pachą; patrzę, podstarości siedzi na łóżku i drzemie. Zbliżę się do niego, a on otwiera oczy i zaraz do czekana, ale kiedy poznał, że to nie hajduk jeno ja, mówi:

«Matys, a gdzie ja jestem?»

«U siebie w domu, panie, jesteście».

«Tedy ty mi żupan zdejmij i buty mi wyzuj, bo spać pójdę».

Ściągnąłem mu buty, a on się zaraz położył i już chrapie. Ja pod żupan, dobędę papierów, trafię szczęśliwie na ów duży z pieczęcią; widzę, stoi tam Marek Bystry kilka razy wyraźnie dużymi literami wypisany; chwycę dekret, w zanadrze za koszulę schowam, otworzę z cicha okno i buch! do sadu wyskoczę, a potem w nogi, co tylko oddechu we mnie było; z sadu w pole, z pola do lasu i tyle mnie widzieli w Podborzu. Dostałem się pod Przemyśl i chciałem ku Węgrom dalej iść, ale kiedy ludziskom grałem w Niżankowicach, słyszał mnie jeden przejezdny muzykant dworski; podobała mu się moja gra, a że właśnie w Brzeżanach u pana



Mikołaja Sieniawskiego ujednał się był, zabrał mnie z sobą. Teraz to już i nuty trochę czytać umiem, a jak się lepiej poduczę, to może gdzie organistą zostanę.

Wysłuchaliśmy z niemałą uciechą tej całej opowieści Matyska, a ojciec jeszcze kazał dać miodu, choć w mieszkaniu mało miał.

– Bóg ci zapłaci, Matysku – mówi – do śmierci tego ci nie zapomnę! A nim zostaniesz organistą zawsze ci moja chata rozwarta będzie, jako i przedtem bywała; ostatnim kawałkiem chleba podzielimy się z tobą. Ale, Matysku, czyś ty mojej kobiecie znać dał, że dekret królewski przyszedł?

– Zaraz jej to przekazać chciałem, a i sam byłbym do Strzałkowic poszedł, choć to nie bardzo bezpiecznie było, ale Markowej nie ma w Strzałkowicach u tkacza Sebastiana.

– Nie ma jej! – zawołaliśmy razem ja i ojciec – a gdzież jej szukać teraz?

– Powiadali mi ludzie – rzecze Matysek – że poszła do Lwowa, bo jej pan Zybult z Sambora jakąś dobrą służbę naraił, a w Strzałkowicach, nieboga, wyżyć nie mogła. Tam ją też pewnie znajdziecie.

Ojciec posmutniał na tę wiadomość, ale mnie coś mówiło, że skoro to pan Zybult, wujek Marianeczki, służbę tę postręczył, tedy matka może być chyba u pana Grygiera Niewczasa, a nie gdzie indziej. A teraz tobym już chciał być na skrzydłach lecieć do Lwowa.

## XVIII

### TESTAMENT WOROBY

W Glinianach dopędzili nas Kozacy: stary Bedryszko z Semenem i Midopakiem. Chcieli mnie zabrać z sobą, abym prędzej z nimi stanął we Lwowie, bo my z tymi końmi pana Zachnowicza bardzo powoli drogę odbywali, ale nie chciałem opuszczać ojca i jeno prosiłem Semenę, aby skoro we Lwowie będzie, zaszedł do pana Niewczasu i zapowiedział, że już wracamy, bom prawie całe był pewien, że jeśli matka we Lwowie jest, to nie gdzie indziej, jeno właśnie u Niewczasów.

Droga z Glinian do Lwowa ledwie mi się nie zdała dłuższa od tej dalekiej tureckiej, którą odbywałem, tak mi już pilno i tęskno było. Bóg dał nareście, że jakoś dobrze z południa nadciągnęliśmy pod sam Lwów do Krzywczyc, a takiej radości, jaka mnie tu czekała, już potem w życiu nie miałem, a żem stary, kiedy to spisuję, co tu czytacie, tedy pewnie już mieć nie będę, boby to było zbyt łaski niebieskiej dla mnie, niegodnego grzesznika!

Owo, com miał kochanego na świecie, tu oczy moje razem zobaczyły! Zjeżdżamy ku gospodarzowi, a przed gospodarzem stoi moja matka, Marianeczka, pan Heliasz, pan Grygier Niewczas i mendyczek Urbanek! Puściły mi się łzy od tej ogromnej radości; od serdecznego płaczu słówka marnego przemówić nie mogłem! Jakie to było powitanie moje i ojca mego z matką, a potem moje z tymi dobrymi, cnotliwymi ludźmi, co mnie, ubogiego pacholika, wywołańca, żebraka, litościwie przygarnęli i zginać mi nie dali – tego ja tu opowiadać nie będę, a i nie umiem, i nie potrzeba, bo ano kto sam tego nie odgadnie, jeśli tylko trochę ma serca i trochę poczciwości w duszy?

Jednego tylko mi brakło i za jednym tylko daremnie się rozglądałem, a to za Worobą, który nie tylko że także bliski sercu mojemu był, ale nadto i sekret cały wiedział, dla którego Semen z ojcem i Midopakiem do Lwowa się wybrali. Pewnie słyszał od pana Heliasza, że wracam, a że go w Krzywczycach nie było przy powitaniu, trochę się dziwiłem, myślałem przecież, że jako sługa, ciągle w handlu do roboty potrzebny, wybrać się nie mógł. Kiedy już ruszyliśmy spod gospody i z gliniańskiej góry pokazał mi się Lwów, jakoby w głębokiej a dużej misie z wszystkimi basztami i wieżycami, pytam się mendyczka:

– Urbanku, a Woroba, co też porabia, czy zdrów jest?

– Woroba umarł – rzecze Urbanek.

– Umarł! – krzyknąłem z takim przerażeniem, żem aż wszystkich nastraszył, co mi jest.

– Dwa tygodnie temu umarł, a bardzo go wszyscy żałujemy – ozwał się pan Heliasz – bo był chłop poczciwy, sługa prawy i wierny, choć ubogi prostak, i takiego pewnego człeka niełatwo pan Jarosz dostanie. Szkoda go; byłby się on tobie bardzo ucieszył, bo ciebie kochał, Hanuszku; ciągle się o ciebie wypytywał, czyś nie pisał i czy słychu jakiego o tobie nie mamy, a i przed samą śmiercią ciebie wspominał.

Nie mogłem rzec ani słowa od żałości, a do tej żałości za dobrym przyjacielem przyszła trwoga niemała i ciężkie strapienie. Tak mi już przeznaczonym było, że ta Semenowa tajemnica ma mnie ciągle ściagać, ciągle nękać, ciągle spokojność mi zakłócać i radość wszelką zatrzuwać, i że kiedy inne moje umartwienia już koniec biorą, temu jednemu końca nie ma.

Powierzyłem Worobie miszek z owym żelaznym olsterkiem – obyż na samo dno piekielne zapadło, czartu na pożytek! – a teraz co pocznę, co Kozakom powiem? Co Woroba z tym zrobił, gdzie to ukrył i jakoż teraz wiedzieć, gdzie tego szukać? Czyli mi obaj Bedryszkowie uwierzą, że mówię prawdę? I co ten srogi zbójca Midopak powie, kiedy mu się część jego nie dostanie?

Zacząłem rozpytywać mendyczka, czy długo Woroba słabował, na co umarł, czy nie przekazywał czego dla mnie, «bo – mówiłem, choć to kłamstwo było – niektóre drobiazgi moje u niego zostały».

– Woroba, czy się przedźwignął jakim ciężarem – mówił mendyczek – czy też, bardzo przegorzały i spocony od gorąca, wody się zimnej opił, czy też inna jaka przyczyna temu była, nagle na wielkie klucie w piersiach zachorzał, gorączki dostał i czwartego dnia umarł. Ratował go pan Spytek, jakby to kto z jego własnej rodziny był, dwóch lekarzy najprzedniejszych do niego wołał, pana doktora Kampiana i pana doktora Syxta; czynili obaj, co tylko mogli, na nic to wszystko było. O tobie biedny Woroba ciągle mówił; koniecznie coś tobie chciał przekazać, aleśmy myśleli, że to w gorączce tak mu się coś marzy, bo bezustawnie powtarzał: «Gdzie Hanusz? Woroba świadom! Woroba świadom!» A kiedy już umierał, jeszcze mówił: «Woroba świadom».

Rozumiałem ja dobrze, co Woroba myślał, kiedy te słowa mówił, które oni za jakiegoś majaczenia w gorączce mieli, i serce mi się krajało od rzewności i wielkiego żalu za tą wierną duszą.

– Trzeciego dnia swojej choroby – opowiadał dalej mendyczek – wypowiadał się Woroba, przyjął Najświętsze Sakramenta, pożegnał się z panem Jaroszem, z panem Heliaszem i Dominikiem, a i ja byłem przy tym, bo Woroba posyłał po mnie; wszyscy płakaliśmy, a pan Heliasz najbardziej. Kiedy już odejść mieliśmy, on mi znak dał, abym został. Wyciągnął spod poduszki małą drewnianą deskę i dał mi ją, mówiąc: «– To jest testament mój, Woroby Dmytra. Woroba świadom! Urbanku, oddaj to Hanuszkowi, kiedy wróci. Woroba świadom! Ale tu mi zaraz przysięgnij na Trójkę Świętą, że mu oddasz do rąk własnych. To jest testament Woroby; mój testament, dla Hanusza testament. Słyszysz? Woroba świadom!» – Musiałem mu przysiąc, jako chciał – prawil dalej mendyczek, a ja słuchałem z największą ciekawością i uwagą – musiałem przysiąc, chociaż widoczna rzecz była, że Woroba już nie był wtedy przy zmysłach i że w gorączce tak bredził. Wziąłem od niego tę deskę, na której znaki jakieś czarną farbą są porobione.

– A gdzie ona jest? – zawołałem tak skwapliwie, że mendyczek zdziwiony na mnie spojrział.

– Jest u mnie; dam ci ją, kiedy chcesz, ale co by ci po tym kawałku drewna było?

Ledwie we Lwowie z wozu wysiadł, a stanęliśmy przed kamienicą Kłopotowską, bo nam dobry pan Grygier stancję u siebie dał, zaraz chwyciłem się ramienia Urbanka, aby go nie puścić prędeż, póki mi onej deski, testamentu Woroby, nie wyda, bom wiedział, że to musi być coś takiego, co mnie na ślad zaprowadzi, kędy szukać owego miszka z żelaznym olsterkiem. Szczęściem, że to zimą nie było, inaczej by pewnie testament Woroby poszedł był jak inne drewno do pieca, bo za piec rzucił go był mendyczek. Porwałem go, jakby to skarb był, jakoż dla mnie miał naprawdę wagę skarbu, i pobiegłem do naszej stancji u pana Niewczasa, aby się temu dobrze przyglądać.

Była to dość gruba deska, na półtora stopy długa, na dobre pół stopy szeroka, jakich w składzie w indermachu leżało zawsze dosyć po kątach z rozmaitych pudeł z zamorskimi kornieniami, a na tej desce czarną farbą, której pan Dominik używał do znaczenia pak i bel towarowych, kiedy je ze Lwowa dalej wysyłaliśmy, pomalował Woroba niezgrabną ręką rozmaite znaki, które snadź jemu, jako że pisać nie umiał, miały starczyć za litery czy też za całkowite słowa.

Przypatrywałem się długo tym znakom, łamiąc sobie głowę, co by znaczyć miały, ale daremnie, bo to była istna zagadka, której dociec nie mogłem, chociaż to pewna rzecz była dla mnie, że to niezgrabne malowanie odnosi się do tego, com Worobie pod przysięgą powierzył.

Wszystkie te znaki pisane były w jednym równym rzędzie. Tedy najpierw były dwie grube pałki, jedna niedaleko drugiej, a obie połączone trzecią pałką, a u tej trzeciej pośrodku było coś podobnego do haka; potem szło coś takiego jakby sierp, potem była już całkiem wyraźna siekiera, za nią szedł taki sam znak, jak przed siekierą, podobny do sierpa, za tym jakoby sierpem był krzyż, za krzyżem niby dziewiątka, bo Woroba numera znał, a za tym numerem stało coś jakby łopata albo rydel.

Owo tak wyglądał testament biednego Woroby! Nadumawszy się dość długo, a daremnie nad tą deską, zacząłem znowu dumać nad tym, co mam dalej czynić? Nie było innej rady, jak tylko pójść do Kozaków, bom tak obiecał, że skoro tylko we Lwowie stanę, pierwsza moja rzecz będzie od Woroby mieszek z olsterkiem odebrać i staremu Bedryszce go oddać.

Byłbym też zaraz poszedł, ale noc się już zrobiła i niebawem bramy miejskie zamykać miano, tedy byłbym się już nie wydostał z miasta albo wydostawszy się, nie mógł powrócić do domu, aż po ich rannym rozwarciu, bo Kozacy stanęli gospodą u niejakiego Wołyńca za murami miasta na Halickiem Przedmieściu. Rad temu bardzo byłem, że zaraz iść nie mógł, bom wieczór z ojcem i z matką zostać mógł, i mieliśmy czas nacieszyć się z sobą i naopowiadać, a potem z panem Grygierem i Marianeczką razem wieczorzaliśmy, a chociaż ani miodu, ani wina nie było, przecie takiej wesołej wieczery i takiego szumnego bankietu, jak owo przy tej kaszy z mlekiem, jako żyw jestem, nie pamiętam.

Z ciężkim sercem szedłem nazajutrz rano do Bedryszków, bo nie bez strachu, jak mnie powitają, kiedy im powiem, że Woroba umarł, a gdzie mieszek z tą nieszczęsną puszką żelazną ukrył, wiedzieć ani domyślać się nawet nie podobna. Zostałem wszystkich trzech Kozaków w domu, czekali już na mnie, a Midopak już się bardzo niecierpliwił.

Stanąłem przed nimi jakby winowajca, choć czyste sumienie miałem, i bardzo nieśmiało całą rzecz wywiódłem, a ona deskę czyli testament Woroby trzymałem przed sobą, jak Tatażyn tarczę, tak jak żebym się nią zasłaniać chciał, gdyby Midopak z szablą na mnie godził. I mało brakło, żeby tak naprawdę nie było, bo kiedy stary Bedryszko i Semen wysłuchawszy mnie milczeli, snadź dumając, co teraz robić, to Midopak z wielkim gniewem pięścią w stół uderzył i straszliwie kłąć i przegrażać się zaczął.

– Milcz ty, Midopak – zawołał nań stary Bedryszko – sobaczy synu, krzykunie durny, bo ty niczego nie wyszczekasz i nie wyklniesz, a po łbie pewnie weźmiesz! Już ja tobie mówię, że twoją część będziesz miał, wrogu nieznośny! Ja nie wezmę, Ryngasz nie weźmie, Semen nie weźmie, a ty swoje weźmiesz, a potem albo się udławisz, albo się powieszisz, albo na inny pohybel pewnie tobie będzie! Czort ciebie bierz, pohańcze, żeby cię moje oczy nie widziały!

Midopak dzikimi oczami łypnął, ale umilkł i jeno pod przerażanym nosem warczał jako zły pies, co chce kąsać, ale kija się boi.

– Pokaż tę deskę – rzecze do mnie Bedryszko.

Dałem mu ją, położyli na stole i wszyscy trzej poczęli się jej bacznie przyglądać.

– A co ty na to pisanie mówisz? – pyta mnie Semen. – Tyś Worobę tego znał, bywał z nim, rozmawiał, to ty lepiej myślisz jego zgadnąć możesz, aniżeli my, cośmy go na oczy nigdy nie widzieli.

– Co ja mówię? – rzekę na to. – Ja mówię, że Woroba z pewnością znaki dać chciał, po których jak po śladach trafić można do miejsca, gdzie mieszek ukrył albo zakopał.

– Tak to i będzie – mówi Opanas i patrzy na deskę, i myśli.

– A jako ty wiesz, durniu, że zakopał? – pyta mnie Midopak, kły mi swoje pokazując jak wilk.

– Bo idą znaki, jeden po drugim, a ostatni znak to pewno jest rydel. Tedy myślę, że zakopał.

– A co tu stoi na samym początku? – pyta Semen, kładąc palec na owych dwóch pałkach, połączonych u góry trzecią pałką. – To najważniejszy znak jest, bo to początek całego szukania.

– Wrota są, wyraźne wrota! – zawołał Midopak, bardzo dumny z tego, że odgadł, czego inni nie mogli. – Wrota są, jak byk wrota.

– Byk jest – rzecz Opanas – boś ty byk, ale wrót nie ma.

– A ja wam mówię, że to wrota! – woła znowu Midopak. – Chodźmy szukać tych wrót!

Zaczął się Semen bardzo śmiać, a Opanas za nim, tak że i ja od śmiechu wstrzymać się nie mogłem. Midopak oczyma nas jadł, jak orzechy byłby nas zgryzł, tak zębami zgrzytał, ale milczał. Opanas chwilę dumał, a naraz aż podskoczył i woła:

– A gdzie ja oczy mam? Hanusz, gdzie tu u was wieszają?

Popatrzył na niego zdziwiony, bom od razu nie zrozumiał.

– Gdzie u was szubienica stoi, na której złodziejów mieszczanie wieszają? Bo to wyraźnie szubienica jest, co tu Woroba na samym początku namalował. Dwa pale, jakie zwykle bywają, a na górze ślemię, a u ślenia hak, wyraźnie hak, tylko wisielca nie ma. Chodźmy, prowadź nas zaraz! A ty, Midopak, bież do Wołyńca, niechaj rydla pożyczysz, aby nie wracać do miasta, jeśli znajdziemy miejsce po tych śladach.

Stało się, jako stary Bedryszko chciał, i zaraz wszyscy czterej, rydel mając z sobą, poszliśmy na miejsce, gdzie złoczyńców tracono. Niedaleko nam było, bo szubienica zaraz za miastem stała. Tak się jakoś zdarzyło, że nikt nie wisiał, a wiedzieć wam trzeba, że we Lwowie, jako bardzo surowym magdeburskim prawem panowie ławnicy sądzą, nazbyt często nieszczęśliwych winowajców tracą; to im głowę ścinają, to kołem łamią, to palą na płonącym stosie, a już najczęściej wieszają; za proste złodziejstwo, kiedy się go kto po raz drugi albo trzeci dopuści, już według tego srogiemu prawa śmiercią tam karają niebogę. A takie prawo, widać mi się, bardzo jest okrutne i nieludzkie, i przeciw miłosierdziu Bożemu – jakoż znać zaraz, że to nie polskie prawo jest, tylko z Niemiec przyszło, bo my, Polacy, takiej srogości z przyrodzenia własnego nie mamy.

– Co tam jest dalej na tym testamencie? – pyta mnie Opanas, kiedy już stanęliśmy pod szubienicą.

– Jest taki znak, co jak sierp wygląda – odpowiem ukazując deskę.

– Tedy już mi świta w głowie, co Woroba na myśli miał. Widzicie to ściernisko, tamtędy pójdziemy, bo sierp to pewnie pole znaczy. A co jest po tym sierpnie?

– Siekiera – rzekę.

– Jużem teraz w domu! – zawołał Opanas. – Ten twój Woroba niegłupi był, pisać nie umiał, a przecie dobrze napisał. – Oto tam za polem jest las; a z czym się idzie do lasu?

– Z siekierą! – wyrwie się teraz Midopak i bardzo kontent po nas wszystkich spoglądnie, jakby coś bardzo trudnego odgadł.

– Ot, *mudrahell* – mówi Opanas – jak on zaraz wszystko wie! Midopak, tobie senatorem w Warszawie być, sekretarzem królewskim, burmistrzem w Krakowie, takiś bystry człek; na Kozaka ciebie szkoda!

Zaczął znowu Bedryszko dumać i na deskę spojrzeć, a potem oglądać się dokoła i mówi:

– Szubienicę mamy, pole mamy, las mamy, a przecie nic jeszcze nie wiemy. Las idzie wkoło, ściernisko na wszystkie strony świata. Szukaj wiatra w polu! W jaką stronę iść: wszędy ściernie, wszędy las!

Miałem ja swoją własną myśl, ale nie byłem pewien, czy dobra, tedy nieśmiało mówię:

– Tak idźmy, jak Woroba szedł. Jak szedł od miasta, tak stanął najpierw twarzą do przodu szubienicy, jako my teraz stoimy.

– A jakże ty wiesz, gdzie jest przód; z obu stron przód być może. Chyba ciebie już wieszano? – mówi Midopak.

– Bo taki zwyczaj we Lwowie – mówię – że złoczyńcę wieszają twarzą do miasta; Woroba mi tak zawsze powiadał. Sierp jest zaraz pierwszy znak, co następuje, tedy miarkuję, że trzeba nam iść od prawego słupa prosto w bok, jakby kto strzelił z tego miejsca.

– Dobrze mówisz – odzywa się po krótkim namyśle Opanas – tak i pójdziemy.

Szliśmy teraz przez pole, jakom mówił, że iść trzeba, a Opanas ciągle się obracał i uważał, czy dobrze. Potem kazał Midopakowi daleko naprzód wyjść, aż pod sam brzeg lasu i tam stanąć, a my patrzyli, czy kierunek jest dobry, i już wprost na Midopaka szliśmy. Kiedyśmy przyszli do lasu, rzecze Opanas:

– Jeżeli ten las w tym miejscu jest szeroki, to testament Woroby na nic się nie zda, bo w lesie trudno prościutko się kierować.

Kazał nam iść po jednym; wysunął się najprzód jeden, a my stali; kiedy ten jeden uszedł prościutko dobry kawał, ale tak, że się jeszcze mógł dać widzieć, to stanął, a drugi szedł ku niemu i luzował go, i tak ciągle, że jakby łańcuchem żywym las przecinaliśmy, nie schodząc z prostej linii. Niedługo tego trzeba było, bo na szczęście las w tym miejscu był wcale wąski i znowu znaleźliśmy się na ściernisku.

– Mamy tedy drugi sierp – rzecze Opanas – a co jest po drugim sierpnie?

– Krzyż – mówię, pokazując znak na desce.

– Krzyż? jest i krzyż! – woła Semen i wskazuje palcem przed siebie.

Daleko poza ścierniskiem na wzgórkach widniał duży krzyż, który nie wiadomo na jaką pamięć postawiła tam pobożna ręka ludzka. Teraz już łatwa była sprawa; rażno przebiegliśmy ściernisko i wkrótce stanęli pod krzyżem. Był to krzyż dębowy, bez figury, bardzo stary i już spróchniały; snadź wiek tu stał, a nikt nie dbał o niego, bo też i wieś była stąd daleko, a z miasta nikt tu nie chodził, bo to już całkiem za łańkami miejskimi i za Wołami było.

– Co dalej? – mówi Opanas – jak tam stoi na desce?

– Gdybym nie wiedział, że Woroba znał numer, tobym nie odgadł, co to za znak ma być. Ale że wiem, tedy myślę, że to jest dziewiątka.

– Jeśli tak, to co on mógł napisać – mówi Semen – dziewięć łokci? dziewięć sążni? dziewięć kroków?

– Woroba, kiedy tu był – rzecze na to Opanas – łokcia z sobą może nie miał, ani sąża, ale nogi pewno miał. Ta dziewiątka – to dziewięć kroków znaczyć będzie.

– Ja zaraz spróbuję! – zawołał Midopak i zaczął już rozstawiać nogi.

– Midopak, durna ty głowo – rzecze śmiejąc się Bedryszko – jak ty będziesz tak szukać, i do jutra nie znajdziesz! Tak potrzeba zrobić, jak już raz Hanusz nam poradził. Rydel napisany po prawej stronie krzyża; od prawego ramienia w prostym kierunku na dziewięć kroków będziemy kopać.

Odmierzył dziewięć kroków i zawołał:

– Midopak, teraz kop, teraz ty mądry!

Midopak wziął się żwawo do roboty i niedługo trwało, kiedy rydel natrafił na małe drewniane pudło.

– Jest! – zawołałem, bom poznał zaraz, że to takie pudło, jakich było dużo u pana Spytka w indermachu.

– Jest! – zawołał uradowani Kozacy, a Opanas Bedryszko wydobył z ziemi pudło i nożem odsadził wieczko.

W pudle był znany mi dobrze mieszek, w mieszkach było żelazne olsterko.

– Chwała Ci, Boże Święty! – zawołałem sam do siebie i odetchnąłem z całej piersi, jak gdybym teraz dopiero znalazł dosyć powietrza na świecie.

Uradowałem się bardziej aniżeli Kozacy. Czułem się jakoby wyzwolony ze strachu i utrapienia; spadł mi, jako powiadają, kamień z serca, bom już teraz był wolen od bezustannego niepokoju i trwogi o powierzona mi tajemnicę, wolen od przysięgi, wolen od kłamstwa i taje-

nia się przed dobrymi ludźmi, wolen od podejrzenia, żeś spółnikiem jakiejś sprawy niepo-  
czciwej, do której się ani przyznać, ani się też jej wyprzeć nie mogłem!

– Semen! – zawołałem – już się teraz szczęśliwie skończyło między nami! Wiarym ci do-  
chował, przysięgi dotrzymał; wolen już jestem, nieprawdaż, i nic tobie nie winien.

– Ale ja tobie – rzecze Semen.

– I ja tobie – mówi Opanas. – Jam ci dłużnik jeszcze. Sto cekinów ja tobie winienem,  
chłopcze!

– Winnicie mi tylko jeden cekin, Pańku – rzekę mu na to, a umyślnie nazwałem go tak,  
jak on sam kazał się nam nazywać, kiedy się z panem Harbaraszem ujednał był w Turczach  
za furmana – ale i tego cekina pewno nie wydobędziecie z tego mieszka, coście go wykopali,  
bo gdzie wy to sprzedacie?

– A wiesz ty, co w tym mieszk jest?

– Oko Proroka jest – rzekę – brylant, kamień drogi jest, który tak jest nazwany.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Wiem, bo pościg tu był za tym kamieniem i za ludźmi, co go zrabowali – powiadam,  
powtarzając to, co mi złotniczek Lorenc od pana Siedmiradzkiego swego czasu był opowia-  
dał – i to wiem, że lepiej tego we Lwowie na targ nie nieście, bo i głowy wasze wraz na targ  
poniesiecie.

– Nie bój ty się, Hanuszu, teraz o nas – mówi na to Opanas – mamy my już kupca, dobre-  
go kupca, a sto cekinów to już tak, jakbyś w kieszeni miał. Przyjechał do Lwowa czausz ze  
Stambułu, Effakir Mechmet, on zaraz kupi.

– Ale we Lwowie urząd jest i wójt jest, i kat jest – rzekę – i łącno tu skończyć na tym, od  
czego my dzisiaj szukać zaczęli. Małom ja tego na własnej skórze nie zaznał, a wszystko dla  
tego przeklętego Oka Proroka, bodaj oślepiło!

Zaczęli się śmiać Kozacy z tych słów moich, a stary Bedryszko powiada:

– Niegłupi ty pacholek jesteś, niegłupi; owszem całe mądry i bystry, boś to pokazał, ale i  
ja nie taki głupi, abym tu do was z gołymi rękami przyjeżdżał. Ja z panem hetmanem Chod-  
kiewiczem byłem jako żołnierz z żołnierzem i z nieboszczykiem panem hetmanem Żółkiew-  
skim jako żołnierz z żołnierzem, i z panem Stanisławem Koniecpolskim także. Razem my  
wojowali; znają dobrze Bedryszkę wasi panowie i królewic Władysław, lepski pan, kozacki  
przyjaciel, wie o mnie. Mam ja takie pisma z sobą, że jakby o nich wiedział wasz pan bur-  
mistrz i wasz pan wójt lwowski, toby pewnie czapki przede mną pozdejmowali! Obaczysz ty  
zaraz jutro; godzić się będziem na ratuszu albo na zamku, sam pan starosta Mniszech przy  
targu będzie, bo jego żona to kniahini Hołowczyńska, po Hryhorym, kniazium koszyrskim,  
Sanguszcze wdowa, a ta pani dobrze zna Bedryszkę, z dawien dawna go zna!

## XIX

### NA ŻŁOTYM DESZCZU

Jeszcze tego samego dnia poszedłem z ojcem do pana Heliasza, bo chciałem mu raz jeszcze ucałować ręce za jego dobrotliwość dla mnie, której i własny ratunek i wolność ojca zawdzięczałem, bo gdyby mnie był z panem Harbaraszem nie wyprawił, kto wie co by mnie czekało we Lwowie. Musiałem panu Heliaszowi wszystko opowiadać, com przeżył w drodze i jako za łaską cudowną Pana Boga powiodło mi się wydobyć ojca z turskiej niewoli, a potem już sam, nie pytany, opowiedziałem mu całą historię o Semenie i o tajemnicy, którą mi powierzył i która mnie w oczach pana Heliasza niejako złoczyńcą a spółnikiem rozboju i zło-dziejstwa robiła, a jam milczeć i przenieść to na sobie musiał.

Dziwił się wszystkiemu wielce pan Heliasz, a wszystko mu teraz jasne było, co mu się we mnie skryte i niedobre zdało, i sam się teraz cieszył, że pofolgował dobremu sercu swemu i przecie mnie nie opuścił, «bo – mówi – bliski ty byleś ratuszowego więzienia, a co wiedzieć, ażali nie kata także, a jam ciebie o bardzo niecnotliwe rzeczy posądział i sam tego w sumieniu moim pewien nie byłem, jeżeli dobrze czynię, że cię na ratusz nie daję».

Zaprowadził mnie pan Heliasz do samego pana, a pan Jarosz przywołał panią Jaroszową i znowu wszystko opowiadać musiałem, a tak mnie wszyscy w podziwieniu sobie mieli i tak mnie jako dobrego syna i wiernego człowieka, co zginie raczej, a wiary nie złamie, chwalili, że owo nie tylko słodką nagrodę sowicie za wszystko teraz brałem, com przecierpiał, ale nadto za wiele tego było na mnie i ponad zasługę moją, że mnie tak na trzy zbytki cukrowa-no, bom ja tylko chciał, a Bóg dał.

Dowiedziałem się też od pana Heliasza, i od samego pana Jarosza, że co mi Bedryszko za-powiadał, to się łącno ziścić może, bo naprawdę przyjechał do Lwowa wysłaniec tureckiego cesarza, czyli czausz, nazwiskiem Effakir Mechmet, a to z takiej przyczyny, że w Stambule, sułtańskiej stolicy, umarł jeden bardzo znaczny i sławny kupiec, który się zwał Resul Aga Czelebi, a cały jego majątek poszedł na skarb cesarski. Miał ten kupiec wielkie handle we Lwowie z Ormianami i Grekami, którzy mu ogromne pieniądze winni jeszcze byli, tedy wysłał sułtan turecki tego czausza z listami do naszego Króla Jegomości, aby te długi na ręce czausza mieszczanom lwowskim wypłacić kazał, a Król Jegomość, że był tego czasu w po-koju z cesarzem tureckim, uczynił jego wolę i przydał temu czauszowi dworzanina swego, pana Jana Kurskiego, który z czauszem do Lwowa zjechał i w odbieraniu długów mu poma-gał.

– Na wielkie to krocie liczyć – mówił pan Heliasz – co ten Turek ze Lwowa wywiezie, bo owo nie masz tu kupca większego w mieście, aby temu Resulowi winien nie był: za perły, korale, kobierce, korzenie, małmazję. Pan Spytek także mu jeszcze winien i jutro płacić bę-dzie, chociaż niewielka to suma, ale inni to na tysiące talarów wiszą; sam pan Grzegorz Der-lukasiewicz 120 000 asprów ma mu zapłacić. Tedy jeśli ten czausz Effakir chce wykupić owo Oko Proroka, a pewnie będzie chciał, bo słyszę, że ono z jakiegoś ich «świętego miejsca» pochodzi, to pieniędzy mu na to nie zabraknie, a ci Kozacy dobrze go pociągnąć będą mogli.



Ojciec mój, który do tego czasu myślał, że skoro ma konfirmację królewską w kieszeni, to już i sołtystwo także w kieszeni z sobą nosi, nacieszywszy się do syta, zaczął teraz frasować się znowu, czyli Kajdasz zechce ustąpić przed samym gołym dekretem i co mamy czynić, aby słowo królewskie stało się ciałem. Pokłonił się tedy ojciec panu Heliaszowi i rzecz mu całą opowiedziawszy, pokornie o radę prosił.

– Jam takich rzeczy nie świadom – mówi pan Heliasz – bom w prawie nie praktyk i nic wam dobrego nie poradzę, ale dam cedułkę do pana Kaspra Przeździeckiego; to jest jurysta zawołany, i do polskiego, i do niemieckiego prawa. Do niego idźcie, nic on od was nie weźmie, z przyjaźni dla mnie to uczyni.

Zaraz poszliśmy do pana Przeździeckiego, a on wysłuchawszy ojca, powiada:

– Gdyby to prawo było między mieszczanami, zaraz bym rumacją i intromisją wyrobił, ale że to rzecz między dwoma, z których żaden nie jest mieszczaninem i żaden szlachcicem, tedy to ani w grodzie, ani w sądzie ławniczym nie pójdzie i chyba tu pan starosta samborski albo urząd ekonomii królewskiej pomoc może.

– A to królewski dekret nic nie znaczy? – pyta ojciec.

– Znaczy, pewnie, znaczy – mówi pan Przeździecki – ale od króla jest droga do króla...

– Od króla do króla? – powtarza mój ojciec i oczy otwiera szeroko z wielkiego zdziwienia.

– A jako to być może, miły panie? Jednego tylko króla mamy w Polsce i jedna tylko prawda być może.

– Dobry człeku – rzecze pan Przeździecki na to – wy tego nie rozumiecie. Król jest jeden, ale was dwóch jest, co się prawujecie. Jak ten zły człowiek nie zechce ustąpić, tedy odwoła się na to, że wam król dekret wydał po złej opowieści, co się po łacinie *ad mole narrata* zowie, to znaczy: będzie twierdził, że króla źle i fałszywie powiadomiono o rzeczy. Przed dekretem czapkę zdejmie, pokłoni się pięknie, ale co wydarł, tego tak lekko nie odda.

– Mocny Boże – zawołał ojciec żałośnie – tom ja jeszcze sprawy nie wygrał?

– Wygraliście i nie wygraliście; wygracie na dobre, jak hajduka wypędzicie.

– A cóż ja pocznę teraz, nieszczęśliwy! – mówi już prawie z płaczem mój ojciec.

– A pan starosta za wami?

– Gdyby za mną był – mówił ojciec – toby mojej żony z sołtystwa wyrzucić nie pozwolił. Biegała moja do zamku, płakała i prosiła, nieboga, nie raz i nie dwa razy; za nic to było. Na zamku jej słuchać nie chciano, a sam pan starosta w Samborze nigdy nie mieszka.

Pan Przeździecki wrzucił tylko ramionami, jakoby bez słów rzec chciał: Człowiecze, daj ty mi spokój; idź sobie z Bogiem! Tak my to i zrozumieli obadwaj; bez żadnej rady i bez żadnej pociechy wyszliśmy od tego jurysty, a mnie gorycz oblała serce, bom zawsze myślał, że prawo to jest prawo, a dekret królewski to jest dekret królewski, a teraz słyszę, że prawo i na lewo skrócić może i że od króla do króla odwołać się można, jak kiedyby być mogły dwie prawdy w jednej rzeczy, dwie sprawiedliwości w jednej sprawie i dwa króle w jednym królu.

Stanął sobie biedny ojciec na rynku po tej rozmowie i ciągle jeszcze trzymał kapeluszynek w rękę i miał ją na wszystkie strony, anim go z tego umartwienia obudzić nie mógł, kiedy nadchodzi pan Bonarek. Zobaczył ojca, którego w drodze był polubił, bo ojciec zawsze pilnie i statecznie koło koni chodził i niepomahał się do tego przyczynił, że zdrowo we Lwowie stały, zatrzymał się i pyta:

– A co wy, Marku, taki frasobliwy?

Opowiadam mu, co jest i co nam jurysta mówił, a on zacznie krzyczeć:

– A po co wy do tych wyrwańców jurystów chodzicie, a czego wy z tymi krzywowiarkami gadacie? To są kauzyperdy, wyszczekacze, prawozdiercy, łupimieszki! Gdyby prawo było prawem, dekret dekretem, prawda prawdą, a z czegożby żył taki kauzydyka? Znam ja ich dobrze, radził ja się ich także, popamiętam to; na zdrowiu i na mieszkę dotąd ich czuję! Miał ja proces w ratuszu! Włóczyły mnie szelmy przez cztery komisje, trzydzieści relacyj, pięć

pozwów, dziewięć apelacyj, cztery kompromisy – a sześć lat to trwało, i to o jednego mizernego konia!

Ojciec słuchał z wystraszonymi oczyma, bo zamiast go pocieszyć, pan Bonarek jeszcze bardziej go tym przykładem pogłębił.

– A cóż ja pocznę, człek ubogi, jakże ja sobie poradzę? – mówi.

– Jak sobie poradzicie? Zaraz wam to powiem, Marku! Macie słuszość? Macie. Wasza prawda? Wasza. Macie dekret? Macie. Weźcie dekret w zanadrze, a do ręki kij! Idźcie do tego szarpacza, co wam własność waszą wydarł, i tak z nim pogadajcie: Twoje to było? Nie. Odziedziczył ty to? Nie. Kupiłeś ty to? Nie. Darował ja ci to? Nie. Masz ty na to dekret? Nie.

Ojciec aż wyłuszczył oczy na pana Bonarka, z taką uwagą słuchał, jako iż mu się to okrutnie podobało i do zrozumienia mu trafiało, jak strzała w tarczę.

– A potem wiecie, co? Bierzecie w jedną rękę dekret, a w drugą kij i tak mówicie: Szanuj dekret, a jak nie, poszanujesz kij. Kędyś tu wlaź? Kominem? Wyłaż kominem! Oknem? Wy-skoczże oknem! Drzwiami? Wynoś się drzwiami! Fora ze dwora!

– Daj wam Bóg zdrowie! – zawołał ojciec i oczy mu się zaświeciły i pięści pozaciskał. – Daj wam Bóg zdrowie za dobrą radę. Otworzyliście mi oczy! Ja tak zrobię, ja tak zrobię! Hanusz, jutro idziemy do Podborza!

Mnie się także bardzo podobała rada pana Bonarkowa i byłbym zaraz z ojcem biegł, i bił, i rąbał, i pędził Kajdasza z naszej chaty, bo na taką krzywdę i najpokorniejsza dusza byłaby się buntować musiała, ale kiedy chwilę pomyślałem, nie bardzo bezpieczna mi się ta rzecz zdała, bo na gwałt jest gwałt, na kij jest kij, tedy i Kajdasz będzie wiedział, jako nas powitać, a kiedy nas dwóch tylko będzie, on na nas i czterech, i dziesięciu łącznie znajdzie. Ale nie mówiłem tego ojcu, bom wiedział, że go żadnym sposobem od tego nie odwiode, jenom go prosił, abyśmy dopiero pojutrze jechali do Podborza, bo niejedną jeszcze sprawę mam z panem Heliaszem i z Urbankiem, i tom też u niego wyjednał, że zaczeka.

Wieczorem przysłali do mnie Kozacy, abym nazajutrz rano o godzinie 10 przed ratuszem czekał ich koniecznie, bo ważną sprawę ze mną mają. Jakoż stawiłem się nazajutrz jeszcze wcześniej, niż mi kazano, i czekam. Nadeszli obaj Bedryszkowie, Opanas i Semen, a i Mido-pak był z nimi, wszyscy bardzo przystojnie w obłoczyste żupany ubrani i przy szablach, jakoby na wielkie święto. Pytali się woźnych, czy panowie są już w izbie rajeckiej, a że jeszcze nikogo nie było, tedy czekaliśmy dalej. Pytam się Semen, po co by mnie tu chciano?

– Jakże by ty przy tym nie miał być? – rzecze Semen – tu dzisiaj komisja będzie; panowie komisarze zejdą się w izbie i będziemy się z tym sułtańskim czauszem godzić o Oko Proroka. Deszcz złoty będzie tu padał; i na ciebie też kapnie! Toś ty przecież dobrze nabiedował się i natrapił przeze mnie; słuszna, że się teraz z nami ucieszysz. Pomagałeś w młynie przy mące, pomagałeś przy piecu, teraz kiedy z tej mąki chleb jeść będziemy, jakoż ty nie masz go jeść z nami?

– Wolałbym ja nasz chleb żytni, a bogdaj i owsiany placek w Podborzu – mówię – kiedy-by go nam nie broniono.

– A toż dekret królewski już macie? – powiada stary Bedryszko.

– Dekret jest, ale powiadają nam, że dekretem samym nie wypędzimy Kajdasza; trzeba jeszcze kija.

– Kije wszędy rosną; łącniej wam teraz o kij, niż było o dekret.

– Do dekretu trzeba kija – rzekę – a do kija trzeba ręki. My z ojcem tylko po jednej prawej ręce mamy; we dwa kije iść na Kajdasza trudno; najdzie on ich więcej na nas!

– Zajedziemy go! – zawołał teraz nagle Semen i uderzył po szabli. – Po szlachecku go zajedziemy! *Bat'ku* – dodał, obracając się do Opanasa – pojedziemy z nimi wytrząść Kajdasza!

– Czemuby nie? – mówi Opanas – ma twój ojciec dekret królewski, może teraz zrobić to, co nazywają egzekucją dekretu. Król ci dał, to ty bierz, siłą bierz, kiedy po dobremu nie mo-żesz!

Nie mogliśmy o tym mówić dalej, bo teraz zaczęli się schodzić panowie komisarze, a i ów czausz sultański Effakir Mehmet na białym koniu jechał z dworzaninem królewskim, w wysokim turbanie na głowie, w złocistym chałacie i przy bogatej szabli, co połyskiwała w słońcu od złota i drogich kamieni. Ruszyli Kozacy do ratusza, a jam bał się iść z nimi, mizerny pacholek, i woźni też nie byliby mnie puścili, ale Semen za ramię mnie wziął między siebie a swego ojca i tak mnie prawie mocą po schodach do wielkiej izby zawiódł.

Zasiedli tam przy dużym stole pan starosta Bonifacy Mniszech, pan burmistrz miasta doktor Syxt, dwaj panowie rajcy a zarazem złotnicy Siedmiradzki i Kudlicz, dworzanin królewski Kurski, czausz sultański, pan tłumacz miejski Bajdułowicz i ksiądz karmelita Benignus, a na osobnej ławie Kozacy i ja koło nich, w strachu będąc, czy mnie lada chwilę za drzwi iść nie każą panowie.

Pan starosta Mniszech miał przed sobą pisma, które przywiózł Opanas, a kiedy się rozglądał po izbie i widział, że wszyscy są, każe Opanasowi podać sobie ów mieszek z olsterkiem. Otworzył je drobnym kluczykiem, o którym ja nie wiedziałem, że w mieszkku jest, bo był ukryty w osobnej zaszywce, i wyjął zeń Oko Proroka, ów brylant czyli diament, który jam tak długo przy sobie nosił, za którym się ja tak dużo strachu najadł, a którego dotychczas nie widział, a ci się domyślając, jak to licho wygląda.

Podniosłem się z ławy, aby lepiej widzieć i z wielką ciekawością patrzyłem. Zawsze przedtem myślałem, że jak to czarne puzderko otworzą, to zeń ognisty diabeł wyskoczy albo naprawdę jakieś cudowne żywe oko błysnie, albo światłość niezmierna zeń buchnie jak od pioruna, że aż człowieka olśni – a tu nic z tego wszystkiego!

Owo kawałek jakoby czystego lodu albo też kryształu, z jakiego widziałem czareczkę u pana Spytka, nie taki nawet duży jak gołębie jaje – między dwoma palcami trzyma to pan starosta ku światłu, a wszyscy na to patrzą z okrutną ciekawością, jakby na cudowne zjawisko, że się im oczy aż z powiek wysadzają; zda się, że wszystkie te oczy do tego jednego Oka Proroka na stół wyskoczą!

Myślę sobie: miły Boże, taka nikczemna rzecz, a tyle krwi dla niej się polało, taki marny kamyczek, a furę złota dano by za niego; gdyby te łzy, co je moja matka wypłakała przez jedną noc po naszym nieszczęściu, na szkło stwardniały, byłby z tego większy kryształ niż ten kamień, a przecie tym kamieniem tysiącom i tysiącom biednych ludzi gorzkie łzy osuszyć by można!

Pan starosta Mniszech, osoba okazała, w karmazynowej delii, z wysoką sterczącą czupryną jak mleko białą, czerwony bardzo na twarzy, a jakby do złotego koguta podobny, schował brylant do olsterka i tak rzecze:

– Kilku panów koronnych, dobrych przyjaciół moich, wstawiało się u mnie za wami, Bedryszko, jako za człowiekiem rycerskim, abym na was łaskaw był i pomógł wam do zbycia tego kamienia, i pisano mi, że się całe na umiarkowanie moje zdajecie. Czy tak?

– Tak jest, wielmożny panie starosto – powiada Bedryszko.

– Chcąc wygodzić i przyjaciołom moim, i wam, i temu tu oto wysłańcowi cesarza tureckiego Jego Mości, kazałem oszacować brylant panom rajcom Siedmiradzkiemu i Kudliczowi, obu mistrzom złotniczego kunsztu. Powtórzcie tym ludziom, panie Siedmiradzki, jakoście orzekli z panem Kudliczem!

– Szacunek tego diamentu trudny jest i snadno może być omylny – odzywa się na to pan Siedmiradzki – bo to surowy kamień jest i w takim stanie, w jakim go ziemia wydała. Tedy do szlifierzy posyłać by go trzeba, do Amsterdamu albo do Wenecji, a rzecz to niepodobna jest pomiarkować dzisiaj, co z niego odpadnie i jaka mu wielkość i waga zostanie. A druga rzecz ważna jest, że na taki klejnot kupiec jest bardzo rzadki i niełatwo się zdarzy, tedy kto by diament na handel kupił, a czekać na kupca musiał, procent od wielkich pieniędzy tracić będzie i co wiedzieć, czy za swoje mu stanie. Owoż według naszego wynalazku, 4 000 czerwonych złotych taksy na ten diament kładziemy.

– *To mało, duże mało!* – zawołał Midopak. – Więcej to warto!  
Pan starosta Mniszech popatrzył surowo na Kozaka i rzecze:  
– Komu to mało, łącznie może nic nie dostać! Ja tę takse zatwierdzam!  
Chciał Midopak jeszcze coś mówić, ale Opanas potrząsnął nim i milczeć mu kazał.  
– Tych dukatów cztery tysiące podzieli się tedy na pięć części – zaczął dalej pan starosta.  
– Jakże pięć? – zawołał znowu Midopak, przerywając staroście. – Nas tylko czterech jest do tego!  
Powstał na te słowa ksiądz Benignus i rzecze:  
– Jam jest piąty w imię Chrystusa!  
– Tak jest – mówi starosta – ksiądz Benignus jest piąty do działu, bo 800 dukatów ma być odłożonych na wykupienie naszych polskich chrześcijan, którzy nędznie marnieją w niewoli tatarskiej i tureckiej.  
– *A ja ne chcę!* – zawołał zuchwale Midopak. – A ja nie chcę i nie pozwalam!  
Poczerwieniał jeszcze bardziej pan Mniszech, że zdało się, iż mu krew wytryśnie spoza skóry, namarszczył groźnie brwi a ona wysoka czupryna jeszcze mu się bardziej najeżyła.  
– Słuchaj ty, Kozacze – zawołał – mam ja taras na zamku, gdzie takich jak ty sadzają na same dno! Tu nie Sicz, nie jesteś ty w Koszu ani na dzikim ostrowiu w oczeretach z wilkami, ale we Lwowie, przy grodzie, pod moim prawem i mieczem! Ten kamień nie jest zdobyczna rzecz; nie w sprawiedliwej on wojnie wam się dostał, jeno w swawolnej wyprawie, bo wtedy król nasz w pokoju był z cesarzem tureckim, kiedyście go zrabowali. Mógłby z was każdy za to gardłem odpowiadać i jeno możnemu wstawiennictwu to dziękować macie i temu, żeście rycerscy ludzie i żeście w potrzebach ostatnich wierność królowi i waleczność okazali, jeżeli każdy z was z workiem złota stąd wynijdzie!  
Midopak spokorniał na takie słowa i już milczał.  
– Każdy z was – mówił dalej starosta – po 800 czerwonych złotych weźmie, jakom już rzekł, ale każdy z was po 25 czerwonych dać ma temu oto chłopcu, Bystremu, bo, wierę, zasłużył na to i każdy z was jemu dziękować za to ma, że on nie |bez szwanku, a nawet z zagrożeniem życia wiary wam dochował. A ja tak stanowią, bo mi dobrze mówią o tym chłopcu; godzien się tego okazał, kiedy owo własną głową i tylko za boską pomocą ojca swojego z niewoli wywiódł.  
– Zgoda, panie starosto, zgoda! – zawołali obaj Bedryszkowie, ojciec i syn.  
– Nie ma zgody – ozwał się na to Midopak. – Ja nie dam!  
– A ja nie wezmę! – zawołałem.  
– I ty dasz, i ty weźmiesz – rzecze pan starosta. – Taki jest mój sąd i tak być musi! A teraz się rozpląćcie.  
Miał z sobą ów czausz turecki, Effakir Mechet, na ratuszu szkatułkę dużą, mocno kowaną, bo cała opleciona była żelazem jakby gęstą siecią, a kiedy ją otworzył, zaczął z niej wyjmować jakby wałki papierem okryte, a w każdym takim wałku było po sto dukatów. Długo się rozplącano, a kiedy się to skończyło, pan starosta Mniszech dał mi własną ręką jeden taki wałek, na swoją maleńkość nad podziw ciężki, bo to szczerze złoto było. Już się wszyscy rozchodzić mieli, kiedy Opanas Bedryszko rzecze:  
– Hanusz Bystry! Winien ja tobie sto dukatów, któreś mi pożyczył w Ruszczuku!  
I dał mi drugi taki wałek.  
Brałem to złoto jakby przez sen, nic nie mówiąc i nie dziękując nawet, bom był jakby bezprzytomny i nie wiedziałem sam, co czynię, tak mnie to nagłe bogactwo moje jakby upoiło i od zmysłów odwiodło. Dzwoniło mi i szumiało w uszach, i gorąco mi się zrobiło, iż czułem, że mnie twarz piecze, jakobym w żar dmuchał.  
Nic nie mówiąc i nic nawet nie myśląc, wybiegłem z izby; nie czekając, aż inni wyjdą, zleciałem ze schodów i pędziłem przez rynek do kamienicy pana Niewczasa, jako gdybym

był owo złoto ukradł w ratuszu. Już dobiegałem do kamienicy Kłopotowskiej, kiedy mnie ktoś łapie z tyłu za ramię, a kiedy się oglądnę, obaczę Opanasa z Semenem.

– Nie uciekaj tak – mówi śmiejąc się Opanas – nie bój się, ja ci tego złota nie odbiorę!

Dopiero teraz ochłonę i zacznę dziękować Bedryszce, a wtem wychodzi z bramy mój ojciec, a kiedy mu mówię, z czym z ratusza wracam, wierzyć mi nie chce. Dopiero kiedy wałki z dukatami zobaczył i na dłoni zważył, a także opowieści Bedryszki wysłuchał, przekonać się dał, że nie bajka to, ale prawda.

– Teraz – rzekę – możemy na Kajdasza prawem iść, bo mamy o czym; nie potrzeba nam go gwałtem wypędzać.

Ale ojciec teraz dopiero w wielką śmiałość urósł i mówi:

– Wolę ja się potem z nawiązką opłacić na zamku w Samborze, a tego zbrojaka z zagrody mojej na kiju wyniosę!

– Tak i będzie – ozwie się teraz Semen – będę ja miał pojutrze jeszcze kilku Kozaków, przyjaciół moich, ruszymy na tego złodzieja; szczęście to jego będzie, kiedy zdrowo wyskoczy oknem z waszej chaty!

A tak stanęło na tym, że pojutrze zbrojno najedziemy na Kajdasza.

## XX

### FORA ZE DWORA

Bawiliśmy jeszcze całe dwa dni we Lwowie. Ojciec z początku ani rusz nie chciał wziąć ode mnie pieniędzy, «bo – mówił – twoje to szczęście i twoja w tym głowa była; chowajże to sobie, abyś miał na przyszłe postanowienie i na złe godziny, bo widzisz jakom ja dlatego, iż w czas stu złotych dla podstarościęgo i hajduka nie miałem, na moje nieszczęście do Turek musiał jechać i w pogańską niewolę się dostał». Ale kiedym ojca bardzo prosić począł, a już osobliwie kiedym mu poradził aby we Lwowie, gdzie ku temu właśnie dobra okazja była, kupił sobie wóz i parę koni, które mu do gospodarstwa w Podborzu będą bardzo potrzebne, odezwała się w nim żyłka furmańska i oczy mu wesoło zajaśniały, tak mu to do smaku przypadło. Zaraz też poszedł z panem Bonarkiem dobierać koni i już go prawie nie widzieliśmy przez ten cały czas, ja zaś z matką poszedłem do złotnika Prusznica i zamówiłem dla naszego kościoła w Podborzu lampę z szczerego srebra, aby ją zawiesić przed obrazem Najświętszej Panny.

Nie zapomnieliśmy także o Matysku, który ciągle jeszcze był we Lwowie z kapelą pana Sienławskiego i jak tylko miał wolny czas, do nas przybiegał. Uradzieliśmy z ojcem dać mu dwadzieścia dukatów, bo wart był tego za swoją poczciwość i za uratowanie królewskiego dekretu. Matysek rzewnie się rozplakał, kiedy to usłyszał, ale pieniędzy zaraz brać nie chciał, jeno prosił, aby mu je ojciec u siebie przechował aż do czasu, kiedy się dobrze w Brzeżanach muzyki poduczy i jako organista chleba szukać zacznie. Kiedy mu powiedziałem, że z Kozakami do Podborza jedziemy i sami sobie sprawimy egzekucję królewskiego dekretu, aż podskoczył z radości i zawołał:

– To i ja z wami pojedę, już koniecznie pojedę! Jakożby to być mogło, abym ja przy tym nie był, kiedy Kajdasza będziecie pędzić z waszej zagrody! Wyproszę się na dwa dni; i tak już wesele się skończyło, a choćbym i służbę stracić miał, to przecież pojedę!

Obaj Bedryszkowie z dwoma mołojcami, których sobie dobrali z starosielskich Kozaków, stawili się raniutko przed kamienicą Niewczasa, wszyscy konno i zbrojno, przy szablach i z pistoletami w olstrach; ojciec zajechał nowym kowanym wozem, uprzężonym we dwa rosłe konie, daleko lepsze niż te, którymi był do Turek z karawaną wyjechał; siedliśmy z matką i Matyskiem i żegnani serdecznie przez pana Niewczasa, Marianeczkę i mendyczka Urbanka, który na zimę już do szkoły krakowskiej miał jechać, ruszyliśmy ze Lwowa, a Kozacy z nami jakby za kasztelańską karetą.

Niedaleko już było wieczora, kiedyśmy wjechali do Podborza. Zagroda nasza była za wsią, jak to na swoim miejscu mówiłem; musieliśmy przez całą wieś jechać. Spostrzegli nas ludzie, z ciekawością wielką wybiegali z chat, kto by to tak jechał z Kozakami; ten i ów zaraz nas poznał i wołać zaczął, i witać, i drugim przekazywać; co żyło, biegło za nami, chłopcy, baby, dzieci i psy szczekające, a niektórzy wołali na całe gardło:

– Marek wrócił z Turek! Marek wrócił z Turek!

Wawrzyniec, dziad kościelny, już przygłuchy, zasłyszał tylko coś o Turkach i myśląc, że to ludzie taki hałas czynią, bo Turcy albo Tatarzy idą, wylazł co tchu na dzwonnice i począł

na gwałt bić w dzwony. Tedy wszystko, co jeszcze zostało było w chałupach, z najdalszych nawet zagród bieg za ludźmi z krzykiem wielkim poczęło – i tak z całą tą hurmą, a wśród bezustannego wrzasku i wołania jechaliśmy do naszej zagrody, a do tego wszystkiego Matyszek skrzypki z sobą miał, wygrywał na nich jakby opętaniec i Kozacy po swojemu także hukali.

Ale im bardziej zbliżaliśmy się do naszego domu, tym ciszej się robiło, aż całkiem krzyku zaniechano, nie wiedzieć, czy ze strachu przed hajdukiem, czy jeno z wielkiej ciekawości, co dalej będzie. Tymczasem z domu naszego dochodzi nas muzyka i wesoły gwar, i wiwaty hukackie, snadź Kajdasz ma gości i bankietuje z nimi. Jakoż tak było; wyprawiał sobie hajduk, niecnota, dobre myśli; zaprosił sobie takich samych, jako on, był tam podstarości, który snadź z Kajdaszem znowu się pobratał, jako to między szelmy bywa, że u nich łącno z wroga brat, a z brata wróg; był podsadek od spryńskiej żupy, mytnik spod Sambora, Niemiec nadstawnik nad tymi ludźmi, co w lasach popioły palili; był jakiś oberwany szlachetka czynszowy, jeden z takich, co to o nich się mawia: «szlachcic z Pomyjewa, pana Wiehcia syn», i jeszcze drabusów kilka – a to wszystko piło i hulało przy cygańskiej muzyce.

Nikt nas tam w domu nie słyszał nadjeżdżających; choćby ta gromada, co z nami szła, krzyczała sobie była jeszcze głośniejsze, nie byłoby ich zasłyszano, taki hałas pijacka owa kompania czyniła, hukając przy muzyce, że aż okna brzęczały. Ledwie wóz był przed bramą, wyskoczył mój ojciec i lejce jakiemuś chłopu rzucił, aby konie pottrzymał, a sam leci przez podwórze do swojej chaty. Matka za nim, że go prawie za poły trzyma, bo się bała, aby w pierwszym gniewie nieszczęścia jakiego nie nabroił, ja za matką, a za nami Kozacy.

Wpadł ojciec pierwszy do izby, a miał taką naturę, że kiedy srogi gniew go wzięł, to bladł na twarzy jak chusta; jakoż kiedy wpadł do izby, drzwi prawie wywaliwszy, można go się było łącno przestraszyć, bo wyglądał w tej bladeści swojej raczej na upiora aniżeli na człowieka tego świata.

Kiedy go ujrzał Kajdasz, stanął, jakby się w martwy kamień obrócił, oczy tylko na wierzch wylupił i jedną rękę do góry podniósł, jakby się przeżegnać chciał. Ojciec, ciągle jako trup bladej, z sinymi ustami, skoczył do Kajdasza, porwie go za gardło i trząść nim po cnie, i woła:

– Zbóju! Fora ze dwora!

Wysadziły się oczy jeszcze bardziej na wierzch hajdukowi, poczerwieniał na twarzy jak mak, ani odsapnąć już nie mógł, i byłby go ojciec może naprawdę udusił w tej pierwszej zapalczowości, gdyby nie ja i matka, bośmy poczęli szarpać ojca za plecy i za ręce i wołać nań, aby się opamiętał, i takeśmy go z biedą wielką od Kajdasza oderwali.

Zrobiło się cicho w izbie jakby mak się, muzyka grać przestała, a Kozacy, aby nie próżnować, jak się rzucają z nahajkami na gości, jak poczną okładać, tak jak kto może ucieka, a podstarości pierwszy przez okno skacze, jeno go jeszcze Semen dopadł i po plecach kilka razy nahajką dobrze przeciągnął. A co który oknem lub drzwiami uciecze, to go ów tłum na ulicy, a cała wieś tam była, hukaniem i śmiechem wita i psy wściekle na każdego ujadają, że jeno chyłkiem w pole drze i Boga prosi, aby cało uszedł z tego bankietu.

Kajdasz także chciał uciekać, skoro go tylko ojciec puścił, ale Kozacy go zatrzymali, a Bedryszko nań zawołał:

– Żegnaj się ty teraz ze światem; zaraz wisieć będziesz!

Rzucił się Kajdasz na kolana, ręce wznosił jak do modlitwy, czołga się na klęczkach do mego ojca i do matki i zlitowania błaga, bo ano już pewien był, że go śmierć na gałęzi czeka. Ojciec wyjął teraz dekret królewski, rozłożył papier i przed nos go Kajdaszowi podsuwa, mówiąc:

– Znasz ty to?

– Znasz ty to? – powtórzyli Kozacy. – Króla nie szanujesz, dekretu jego nie szanujesz, psubracie? – i łup, łup, łup! padają nahajki na grzbiet hajduka, że się aż w kłębek zwinął.

Nie dała go matka przecież długo bić, ale i tak dostał dosyć na niezapamiętanie, a kiedy znowu prosić się i rodziców moich po nogach całować zaczął, rzecze do niego Opanas Bedryszko:

– Darujemy cię życiem i zdrowiem, bo za tobą ta dobra kobieta prosi i dla niej to czynimy z miłosierdzia. Ale pamiętaj to sobie, biesi synu, że jeśli byś nastawał kiedy na tych ludzi, na zdrowie lub chleb ich godził, włoski na ich głowie skrzywić chciał, my tu zaraz powrócimy i na szablach cię rozniesiem, że kawałki z cię jako grzyby do kosza zbierać będą, aby je w kupie zagrzebać! Czuj duch, Magierku, wiedz o tym, że nam egzekucja dekretu królewskiego jest poruczona! Nie uchronisz ty się przed nami, nie obroni cię nikt, bo my królewscy żołnierze i hetmańskie dzieci, nie boimy się ani samborskiego zamku, ani starosty! Uciekajże do czarta!

Kajdasz z wielkim strachem i pokornie wysłuchał słów Bedryszki i za drzwi chyłkiem się wyniósł jak obity pies, ale ledwie go ludzie podborscy na podwórzu zobaczyli, zaczęli nań huknąć i przeklinać go, i lżyć sromotnie, bo ten zły człowiek ciężki był całej gromadzie i nie było nikogo we wsi, kogo by nie był skrzywdził, tedy cała owa złość i mściwość ludzka, co się przedtem pod bojaźnią dusiły jakby tłumiony ogień, wybuchła teraz jakoby srogim płomieniem, że jeno: gore! wołać.

Poczęły nań pierwsze baby i dzieci kamieniami i błotem miotać, psy na niego zażarte szcuć, a chłopcy już koły z płotów łamać na jego kości, tak że byłby pewnie żywy nie uszedł, gdyby nie Kozacy, którzy go między siebie wzięli i na pole wyprowadzili. Uciekał Kajdasz jak wilk, co się z sieci wydarł, choć mu zawiesziste brzuszysko mocno zawadzało, ale strach go popędzał przez pola, że go wnet i widać nie było pod lasem.

Kiedyśmy tak zostali sami nasi, rzecze stary Bedryszko:

– Wszystko to dobrze poszło, ale trzeba pomyśleć o tym, co jutro będzie. My stąd odjeżdżamy; w dalekie strony nam droga, a wy zostaniecie i podstarości zostanie. To nie Zaporozże u was, jeno królewszczyzna; na karku wam zamek i służy jego. Bóg wysoko, król daleko, wróg na karku. Jest u nas przysłowie: *Czeszy dit'ka z ridka* – nie skrobaj nazbyt diabła, bo cię na rogi weźmie. Musimy pogadać z podstarościami. Dajcie mu, Marku, dobre słowo i jakąś nawiązkę za te nahajki, którymi go Semen przeszkrobał; niechaj on cicho siedzi!

– Obiecaliście – odezwę się na to do ojca – dać mu jeszcze sto złotych, kiedyście do Turek wyjeżdżali, i daliście mu już ów dukat królewski z Janowa; chodźmyż teraz do niego i zanieśmy mu tych sto złotych, a pewnie mu gębę zatkamy.

Matka także radziła dla miłego spokoju tak uczynić, chociaż to wydarty grosz będzie, bo podstarościami ani marny szeląg się nie należy, posłuchaliśmy tedy Bedryszkowej rady i odliczywszy dwadzieścia dukatów nie bez żalu diabłu na ofiarę, udaliśmy się do dworu we trzech, to jest ojciec, Opanas i ja.

Przychodzimy przed dwór; drzwi zatarasowane, na podwórzu jakoby wszystko wymarło, ale z dymnika na poddaszu wychyla głowę podstarości i widzimy, jako mierzy do nas z muszkietu i woła:

– Zbliź się który, a łeb kulą roztrzaskam! Stój, bo strzele!

Snadź podstarości myślał, że go w domu napaść chcemy i na życie jego godzimy, a sam jeden był, bo parobcy go byli opuścili, biegnąc za innymi ludźmi, i dopiero teraz po jednemu wracali.

– Schowajcie tę rusznicę, panie podstarości – mówi mu ojciec – jako przyjaciele my tu przyszli.

– Porwaneś ty katu z twoją przyjaźnią! – woła podstarości i ciągle muszkiet na nas kieruje.

– Buntownik jesteś, ludziś na mnie i na pana starostę pobuntował, gwałty czynisz; zobaczysz ty, co jutro będzie!

– My obaczym – odezwie się teraz Bedryszko – ale ty łącznie możesz już nie obaczyć! Bo kiedy ty nam jutrem grozisz, złej matki synu, to my to sprawić możemy, że jutro ty już nie



doczekasz! Jest nas tu więcej i my strzelać możemy! Kiedybyśmy imać ciebie chcieli, ty dur-na głowo gorzałczana, tobyśmy tu wszyscy przyszli zbrojno i całe chłopstwo za sobą przywiedli. Nie ostałbyś ty się w twoim kurniku i chwili; żywcem byśmy w nim ciebie spalili! Nie szczekaj ty na nas jako pies z budy, ale milcz i słuchaj, póki czas! Nas tu trzech tylko jest; spokojnie z tobą gadać chcemy, a ty sromocisz, przegrążasz się, *hadiugo!* Na twoją głowę to pęknie, jeśli z nami grzecznie mówić nie będziesz!

Wiedział Bedryszko, jako z takimi ludźmi gadać, bo na taką przemowę jego podstarości zaraz zmałał i spokojniał, rurę muszkietu z okna cofnął i mówi całe już inaczej:

– A cóż wy mi powiecie, dobrzy ludzie? Jakoż ja wiedzieć mogę, że jako przyjaciele przychodzicie, kiedy taki huk stał się w całej wsi?

– Pieniądze wam przynieśliśmy! – wołał ja teraz do niego.

– Jakie pieniądze?

– Sto złotych wam przynoszą – mówi ojciec – jakom wam był obiecał przed moim wyjazdem. A zem się w terminie spóźnił, tedy z lichwą wam to chcę zapłacić. Znijdźcie do nas albo nas do izby wpuśćcie, a dwadzieścia dukatów wam na stół odliczymy.

Chwilę jeszcze namyślał się podstarości i z niedowierzaniem na nas spoglądał, ale w ostatku przecież zmiarkował, że Bedryszko prawdę mówi i że gdybyśmy chcieli, tobyśmy go snadno dostali jak borsuka z jamy. Zeszedł tedy na dół, drzwi otworzył i do izby nas wpuścił.

– Jam zawsze mówił – powiada – że wy, Bystry, uczciwy człowiek i że wam się krzywda dzieje, ale ten hajduk Kajdasz...

– Kajdasz wam ani brat, ani swat – rzecze mój ojciec – co wy o niego stać macie?

– Albo ja o niego stoję? – zawołał podstarości. – To szelma jest, szarpacz, łotr zawołany! Ja bym o niego stać miał!

– Tedy trzymajcie z nami – rzecze ojciec. – Co się stało, to się stało; ja wam już tego nie pamiętam, ale teraz już mnie zaniechajcie i osobę królewską uszanujcie, bo ano widzieliście, że i ja obronić się potrafię, choć zemsty na nikim nie szukam.

– Ja dekretu królewskiego szanować bym nie miał? – mówi podstarości i, obłudnik, niecnota, kułakiem w piersi się bije, i oczyma pobożnie zawraca – to dla mnie święta rzecz! Ja przed dekretem króla jak przed Sakramentem! Ja ten dekret u siebie chował dla was, ja się o was rozpytywał, ja na was czekał, aby wam dekret wydać i na sołtystwo was powrócić, ale gdzie was szukać było? I wasza żona wywędrowała, i Hanusz wywędrował; tedy komu było dekret dać? To ten złodziej Kajdasz ukradł mi dekret, ale Bóg sprawiedliwy, bo i jemu dekret ukradzono, i tak się do rąk waszych dostał, jako powinien był. A teraz sami mówcie: winien ja?

– A Kajdasza bierzecie na siebie? – pyta ojciec.

– Już ja go biorą na siebie! Noga jego tu w Podborzu nie postanie ani wy go widzieć będziecie! Niechaj ten drabus w zamku samborskim w piecach pali i izby zamiata, jako to jego rzecz z dawna była.

Kiedym tak słuchał, co ten Judasz gadał, tę jedną miałem pociechę, jako to przecież Pan Bóg tak dał, że między złymi ludźmi przymierza nie masz, a spółka między nimi rychło się zawsze rozpęka, bo pod ich wiarą zdrada siedzi jak wąż pod świeżym sianem i zawsze tak bywa, że jeden drugiemu za pokaranie stanie! Ten człek przed małym czasem z hajdukiem się kumał, z nim przewodnię ścisłą miał, jego pierogi jadł, jego miód pił, przy jego muzyce tańcował, a teraz go się zaprzął i pod miecz byłby go rad wydał!

Podąłem ojcu dukaty; zaczął je ojciec na stół wyliczać, a podstarościemu oczy gorzały, tak łakomie na złoto spoglądał; co jeden dukat na stole brzęknie, to on smaczno wargami ruszy, iż się zdało, że każdy dukat z osobna jak cukrowaną pigułkę łyka. Kiedy już dukaty leżały na stole, on palce jak grabie rozszczepił, aby je zagarnąć, alem go uchwycił za ramię i rzekę:

– Postójcie chwilkę, panie podstarości, jam u kupca lwowskiego w nauce był, a tam tak powiadano: Pierwej pisz, potem płąć...

– Jam u kupców nie służywał – rzeczce podstarości – ale mnie tak uczono: Pierwej bierz, potem pisz.

– Może obaj rację mamy – odpowiem – ale niech to złoto leży na stole, dopóki nam nie napiszecie poświadczenia, że ani czynszów żadnych, ani poglówszczyzny, ani podwód, ani żadnej rzeczy, zamkowi albo wam należnej, nie winniśmy z naszego sołtystwa.

Pochwalili to moje żądanie ojciec i Opanas, a podstarości złym okiem na mnie spode łba łypnął, ale usiadł i pismo wygotował, jako chciałem.

Skończywszy tak z podstarościm, wróciliśmy do naszej zagrody, a tam matka z Semenem i Matyskiem już ogień roznieciła, a że jako przezorna gospodyni nawiozła z sobą ze Lwowa kaszy, słoniny, wędzonych schabów, zaś już we wsi kupiła jaj i mleka, a podstarości miodu dwa gąsiory nam sprzedał, w trójnasób go kazawszy zapłacić, tedy mieliśmy czym uraczyć Kozaków, i tak weseliliśmy się wszyscy do późnej nocy, że już kury piałły, kiedyśmy o spaniu pomyśleli.

Nazajutrz raniutko Bedryszkowie i obaj Kozacy byli już na koniach; pilno im było wracać, żadną prośbą nie dali się nam nakłonić, aby choć do południa zostali.

Jam się jak dziecko rozplakał, kiedym się z Semenem żegnał, jakżebym przeczuwał, że to na zawsze rozstanie – jakoż ani Semena ani jego ojca już nigdy potem nie widziałem, ani też zasłyszeć o nich mi się zdarzyło. Stary Bedryszko pewnie już nie żyje, kiedy to piszę, ale Semen łącno żyw jeszcze, bo mało co starszy ode mnie był, a Bóg niechaj mu zawsze i wszędy pomaga, bo mi dobrze czynił i za brata go sobie miałem.

## XXI

### ZAKOŃCZENIE

Na tym skończyły się przygody mojej młodości i na tym ja tę moją opowieść kończę. A co by jeszcze dodać potrzeba, tego już niewiele jest i krótkimi słowy to zbyć mogę.

Ojciec mój, iż już całe porzucił kupiecką furmankę, na roli zaczął pracować, tedy ja, iż w domu nie tak potrzebny byłem, chleba własnego szukałem. Jeszcze we Lwowie mówił mi pan Heliasz, że mnie pan Jarosz do swego handlu znowu przyjmie, więc też wróciłem do służby, a wyćwiczywszy się w rzemiośle kupieckim, już i w sklepie mogłem być użyteczny, i myto większe pan Jarosz mi płacił. Ale kiedy pan Grygier Niewczas umarł, a Marianeczka przeniosła się do swego wuja pana Zybulta w Samborze, zaś pan Zybult, jako że już sam w wieku był, pomocnika w handlu potrzebował, tedym do niego przystał, a po kilku latach wiernej służby Marianeczkę za żonę mi dał i do spółki na trzecią część zysku w handlach swoich przyjął.

Pobłogosławił mi Pan Bóg, cnotliwą żonę mi dał i dobrą matkę dzieciom moim, a trzech synów mam, zaś córki żadnej i to jedyne jest utrapienie mojej miłej Marianeczki, bo dziewczeczce by bardzo rada była. Uczyli się moi synowie w farskiej szkole w Samborze, a potem jednego z nich do szkół w Zamościu posłałem, gdzie się nim Urbanek, niegdyś mendyczek, a dzisiaj, jako sobie był przepowiadał, doktor Urbanus, profesor i sekretarz królewski, po ojcowsku opiekował. Teraz ten syn mój u pana Spytka syna w handlu pierwszym sprawcą jest, a to go nie minie, że kiedyś sam znacznym kupcem będzie.

Drugiego syna do rzemiosła przeznaczyłem i uczy się teraz u Lorenca, który jest już dawno mistrzem złotniczego rzemiosła i sławę wielką w swojej sztuce ma. Trzeci syn gospodarzem rolnym będzie i już przy dziadku swoim jest na sołtystwie, bo ojciec mój, staruszek spracowany, sam już gospodarstwem parać się niezdolen, a wczas i wygoda mu się należą pod koniec żywota.

Dobudowałem do naszej chaty w Podborzu dwie izby, a te dla nas będą, dla mnie i dla Marianeczki, małżonki mojej miłej, bo kiedy już pracować nie będziemy mogli, tam się przeniesiemy, a syn najstarszy handel samborski od nas weźmie. Bo lubo-ć ja domek mój przystojny w Samborze mam i prawo miejskie przyjąłem, przecież ja pod wiejską strzechą umierać chcę, jakom się pod nią urodził i w tej kochanej ziemi kości złożyć, w której dziadowie moi spoczywają. W tym samym wiśniowym sadku, starzec, siadywać sobie będę, kędym jako pacholę, boso biegał, i tacy sami ptaszki śpiewać mi będą, i ten sam strumień szumieć, którego w dzieciństwie słuchałem.

Tak to Bóg łaskawie dał, że kogom kochał w młodości, z tegom i później pociechę miał, i że się dobrym powodzeniem przyjaciół moich radować mogłem. O Urbanku już mówiłem, że we Włoszech w Padwie doktorem nauk, a potem profesorem i sekretarzem królewskim został; Matysek jest teraz organistą przy samborskiej farze, ożenił się z cnotliwą panną; dobrze im się dzieje.

Nastały także lepsze czasy i dla Podborza; poszedł dawny podstarość, z wielkim wstydem się wyniósł, bo go na fałszywej liczbie i na różnych oszustwach wyłapano, a ten nowy, co

teraz jest, człek uczciwy i stateczny, Boga ma w sercu, sprawiedliwie z biednym ludem się obchodzi, co musi, tego po nim wyciąga, ale ponad to nie szarpie, nie krzywdzi, nie uciska; bardzo go sobie ludek chwali i daj Boże, aby wszyscy starościńscy urzędnicy tacy byli.

A o tych ludziach, co mi źle czynili, to całe już nie pamiętam, jakoby ich na świecie nigdy nie było; ani pomsty na ich głowy nie żądam, ani im źle życzę, raczej im dobrze czynię, kiedy na to przyjdzie, jako na ten przykład Kajdaszowi, który na zamku samborskim w grubach palił i izby zamiatał, a nędzy zażywając, nieraz ode mnie wspomóżenie wziął.

Bo tak być powinno: prawa swojego dochodź, od krzywdy wszelką siłą się broń, nogami i rękami przy swoim stój, a choćby zębami się odgryzaj, bo to twoje prawo jest, ale pomstę Bogu pozostaw. Zawsześ ty więcej wziął, aniżeliś wart, a kiedy na tamym świecie liczbę czynić będziesz z żywota swego, dłużeń zostaniesz i miłosierdzia potrzebny.

KONIEC